

J. WICHERT-KAJRUKSZTISOWA



Antologia

POEZJI

LITEWSKIEJ

TEJŻE AUTORKI

w y s z ł y:

BŁĘDNE OGNIE poezje, Wilno 1924
KWIATY I CHWASTY MIŁOŚCI erotyki,
Wilno 1925

w p r z y g o t o w a n i u:

1000 AFORYZMÓW
ŻYWE KWIATY

ANTOLOGIA POEZJI LITEWSKIEJ

WYBORU CELNIEJSZYCH UTWORÓW
DOKONAŁA, PRZEŁOŻYŁA, ORAZ
SŁOWEM

OPATRZYŁA Z DODANIEM
PRZYPISÓW BIOGRAFICZNYCH

JULIA WICHERT - KAJRUKSZTISOWA

Z PRZEDMOWĄ

ARTURA GÓRSKIEGO

W A R S Z A W A 1 9 3 9

SKŁAD GŁÓWNY

KASA im. MIANOWSKIEGO, INSTYTUT POPIERANIA
WARSZAWA, PAŁAC STASZICA, NOWY ŚWIAT 72

Z zasiłku
FUNDUSZU KULT
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
wydał
ZWIĄZEK PRZYJACIÓŁ LITWY
w Warszawie, ul. Marszałkowska 97

Okładkę projektował: Balys Macutkevičius

PRZEDMOWA

Pokażny tom poezji litewskiej, podany nam w przekładzie z Kowna — zdarzenie to prawdziwie osobliwe. Tłumaczka, „Laszka synowa“, porwana przed laty przez litewskiego Budrysa, wychowawszy mu synów swoich na prawych Litwinów, kiedy wiek osrebrzył Jej skronie a dzieci odeszły w świat z gniazda domowego, poszła na łąki i uroczyska poezji litewskiej i poczęła zrywać na nich kwiaty, uczyć je przemawiać po polsku — i całe bogate ich naręcze rzuca nam teraz przed oczy, jako chlubę i bogactwo Mendogowej ziemi — a może razem i jako symbol swojej miłości dwoistej. Z sercem zawsze młodym mimo późnej zimy swego wieku, zawsze po dziewiczemu ufnym w pojednawczy urok piękna, staje nasza Laszka litewska nad brzegiem granicznego Niemna i po wierzchu jego wód przechodzi na drugą stronę, darząc i czając. Poezja ma swoje własne prawa — i z prawem grawitacji jest także trochę na bakier.

Wspominam o tych personaliach, bo mickiewiczowski stary Budrys był zbyt wielu rodzinom patronem po obu stronach granicy, żeby dwa te sąsiedzkie narody nie miały znaleźć w końcu wspólnego języka do rozmowy. A miło stwierdzić przy tym i to, że jednak zdrowe i mocne musi być ziarno litewskie, jeżeli zdołało przebić się przez język białoruski, który był przecież językiem państwowym dawnej Litwy, a potem przez język polski, którym mówiło tyle pokoleń warstw oświeconych i czynnych dziejowo — i ostać się, przetrwać, a potem wyrosnąć i zakwitnąć. Patrząc dzisiaj na lud litewski, który prawie na oczach naszych staje się po przerwie wieków narodem

o pełnej kulturze, możemy tylko rzetelną przyjaźnią otoczyć to stawanie się w Litwie tego najwyższego szczęścia, jakim jest zdobycie własnej osobowości.

Mówimy przytem Litwinom nie tylko: *Likitės sveiki!* — bądźcie zdrowi!, idźcie swoją drogą. Mówimy także: *Sveiki!* — witajcie! — myśląc o tym trzecim języku, który nas łączy, nas, tak daleko na północ i wschód wysuniętych; o tej trzeciej, wspólnej myśląc ojczyźnie, która wyrasta z jednakich porządków moralnych, z podobnych dążeń duchowych, ze wspólnego ciężenia do tego samego ośrodka kulturalnego.

Granice dwóch naszych państw stanowią równocześnie wschodni front europejskiego humanizmu, jaki się zrodził na bruku Aten, w łatyńskich prawach dwunastu tablic, w katakumbach Rzymu, w odrodzeniu karolińskim, w odrodzeniu franciszkańskim, w długich walkach o niezależność sumienia, o niezależny krąg życia osobistego, o niezależność narodów. Od wieku XV licząc, wspólna praca historyczna Polski i Litwy posunęła ten front po za Dźwinę i dopływy Dniepru.

Praca historyczna tego typu wytwarza uczciwe sumienie historyczne, a z uczciwego sumienia w narodzie wyrasta dar poezji czystej, wymowa uczuć czystych. I cała ta litewska antologia tchnie nią; jest to może główny tych wierszy urok, ów proces odbywający się w nich, w którym uczucia te dochodzą do świadomości o sobie. Są one wielką potęgą twórczą w swym naporze na otoczenie społeczne, zbiorowe, jako antynomia demonizmu. Mistycy utrzymują, że czystość duszy przerasta jednym skokiem wszystko to, co mogą pojąć inne uczucia, doświadczenie albo inteligencja. W każdym razie rzecz to godna podziwu, jak daleko już zaszli pisarze tego nielicznego dzisiaj ludu, nie opartego o żaden wielki czy wyższy a językowo pokrewny naród.

I Polska ma tę czystość w sobie, i tym duchem tchnie w poezji swojej współczesnej — o ile ta poezja jest pol-

ską. Wtedy jest wolną od hysterii, od anarchizowania życia naszego, od trywialności seksualnej, od wszystkiego tego, co otwiera tak usłużnie drzwi demonizmowi.

Dlatego z taką żywą chęcią wraca się do tych kartek antologii, jaką Pani Kajruksztisowa opracowała. Poeci, tu przez nas poznani, idą w tym samym kierunku po swoich literackich drogach; idą ze swą zwartą po źmudzku osobowością, z siłą dośrodkową swej psychiki, lekceważącą błyskotliwość, szarżę, kostium. I chyba nigdzie — poza swoją ojczyznę — pisarze ci nie mają życzliwszych od nas i uważniejszych czytelników.

Artur Górski

S Ł O W O W S T Ę P N E

Czuając chęć i potrzebę przysłużenia się choć w skromnym zakresie sprawie kulturalnego zbliżenia narodów polskiego i litewskiego, jak również sprawie pogłębienia w społeczeństwie polskim znajomości duszy litewskiej i jej odrębnych wartości twórczych, powzięłam zamiar opracowania i wydania antologii poezji litewskiej.

W tym moim postanowieniu zachętą i moralnym wsparciem były mi życzliwe słowa litewskiego *Pen-Clubu*, skierowane do mnie pisemnie przez jego Prezydium w Osobach P.P. *Liudasa Giry* i *V. Mykolaitisa-Putinasa*. Słowa te pozwalam sobie przytoczyć tutaj w ich oryginalnym brzmieniu:

„Pendant une soirée littéraire, organisée au Club des Artistes lithuaniens au cours de l'année dernière, une poétesse polonaise, Madame J. Wichert Kairukštis, qui résidait alors provisoirement à Kaunas, nous a fait connaître ses traductions de poèmes lithuaniens en langue polonaise.

Les écrivains lithuaniens présents à cette soirée ont été très heureux de constater le talent avec lequel Madame J. Wichert Kairukštis a fait de ses écrits des traductions correspondants fidèlement au contenu et à la forme des originaux.

Les poèmes que Madame J. Wichert Kairukštis a ainsi traduits ont été choisis par elle-même et bien que ne représentent qu'en partie la poésie lithuanienne, les traductions, une fois éditées, formeraient un

ouvrage de valeur certainement précieux pour les personnes voulant bien s'intéresser à notre création poétique contemporaine.

Nous gardons la plus cordiale reconnaissance à Madame J. Wichert Kairukštis pour l'oeuvre qu'elle a entreprise et si parfaitement accomplie“.

W książce niniejszej znajdzie Czytelnik na wstępie **słowo o rozwoju literatury litewskiej ze szczególnym uwzględnieniem poezji**. Zwięzły ten zarys daleki od naukowego wyczerpania przedmiotu — ma jedynie na celu wprowadzenie i przygotowanie Czytelnika do lektury *Antologii*. Staralam się w nim — dla lepszego zrozumienia odrębnego charakteru, swoistych cech i specjalnych warunków rozwojowych literackiej twórczości Litwy — podkreślić i zobrazować pokrótce okoliczności historyczne, które przez długie wieki wpływały na kształtowanie się litewskiej literatury pięknej i przeważnie tamowały jej rozwój.

Chociaż jestem Polką, to jednak związana węzłami rodzinnymi z Litwą byłam świadkiem tych trudności i zmagañ w walce o prawo do rodzinnej twórczości i dlatego nie jest mi obcy proces odradzania się ducha litewskiego i twórczych sił narodu.

W układzie *Antologii* starałam się przedstawić obraz poetyckiej twórczości Litwy od pierwszych utworów XVIII w. aż po najnowsze kierunki dnia dzisiejszego, poprzedzając tę całość wyborem litewskich pieśni ludowych, t. zw. *dajn*, których początki sięgają jeszcze czasów pogańskich.

Z łatwo zrozumiałych powodów uwidocznienia rozwoju poezji — zastosowałam w *Antologii* układ chronologiczny, podając na każdej stronie dla ułatwienia orientacji imię i nazwisko autora (na pierwszym miejscu), ewentualnie także jego pseudonim (na drugim miejscu).

Całość tę zaopatrzyłam w pomieszczone na końcu

książki „Przypisy biograficzne“ z życia niektórych poetów litewskich, wykorzystując w tym celu, skromny zresztą, materiał biograficzny, przezemnie zebrany.

Przy tłumaczeniu utworów musiałam się kierować pewną swobodą przekładu, aby pozostać w zgodzie z duchem języka polskiego; miałam zresztą w tym kierunku wyrażoną pełną zgodę ze strony starszych i osobiście mi znanych poetów, jak ś. p. *Maironis, Ludwik Gira, Vaičiūnas, Putinas, Vaitkus, Binkis*.

Zbierając więc te kwiaty z różnego pola poetyckiej twórczości Litwy z dużą pieczołowitością, dobierałam — w moim przekonaniu i smaku — co najpiękniejsze i najbardziej charakterystyczne. Przesadzając je zaś na niwę polską, starałam się zachować ich swoistą barwę i woń — w zgodzie jednakże z duchem i właściwościami terenu, któremu mają służyć. Jeżeli zaś przy wyborze autorów w dużej stosunkowo mierze uwzględniłam młodych i najmłodszych poetów, których twórczość nie osiągnęła może jeszcze zupełnie skryształizowanych form i ustalonej już zupełnie pozycji w literaturze ostatniej doby, to uczyniłam to z pełną świadomością, aby dać Czytelnikowi możliwość poznania i bezstronnego sądu, jak pracuje, tworzy i po jakie ideały sięga najmłodsze pokolenie literackie współczesnej Litwy.

Jeżeli praca moja przyczyni się choć w drobnej części do żywszego zainteresowania się i poznania odrębnych właściwości i wartości duchowych Litwy, jeżeli ułatwi zrozumienie przejawów jej życia kulturalnego, a tym samym stanie się bodźcem do przyjaznego ustosunkowania się i zbliżenia obu narodów, będzie to spełnieniem moich najgorętszych marzeń i sowitą nagrodą za poniesione trudy.

W końcu niech mi wolno będzie wyrazić serdeczne podziękowanie tym Instytucjom i Osobom, które okazały pełne zrozumienie dla podjętej przezemnie pracy i pospieszyły z życzliwą pomocą dla zrealizowania zamierzo-

nego dzieła. Przed wszystkim wyrażam głęboką wdzięczność: *Funduszowi Kultury Narodowej Józefa Piłsudskiego* w Warszawie za zainteresowanie się moją pracą i umożliwienie jej wydania przez przyznanie zasiłku pieniężnego, następnie *P. Arturowi Górskiemu* za poświęcenie swej cennej uwagi i swego autorytetu literackiego mej pracy, wreszcie *Związkowi Przyjaciół Litwy* w Warszawie za podjęcie wydawnictwa oraz *P.P. Przewodniczącemu Zarządu Inż. Janowi Straszewiczowi* i *Członkowi Zarządu Płk. Alfonsowi Thomanowi* za ideową, bezinteresowną pomoc, związaną z techniczną stroną wydawnictwa.

Kowno, w grudniu 1938 r.

Julia Wichert - Kajruksztisowa.

SŁOWO O ROZWOJU LITERATURY LITEWSKIEJ

Kreśląc tutaj krótki szkic rozwoju literatury, a przede wszystkim poezji litewskiej, uważam za celowe z jednej strony poprzedzić go kilkoma uwagami o warunkach i okolicznościach historycznych, które wpłynęły na takie a nie inne ukształtowanie literatury litewskiej, jak również z drugiej strony zakończyć go specjalnym omówieniem znaczenia i roli, jaką w literaturze litewskiej odegrała pieśń ludowa.

I.

Twórczość literacka nie znalazła na ogół w dziejach Litwy sprzyjających warunków rozwojowych (wyjąwszy może tylko czasy ostatnie):

W początkach tworzenia się państwowości litewskiej cała energia narodu skierowana była na ekspansję w kierunku ziem ruskich i na ciężkie zmagania z Krzyżakami. Powodzenie oręża litewskiego na wschodzie dało Litwinom sposobność zetknięcia się z kulturą bizantyńsko-ruską, której wpływ był tak duży, że zagrażał zupełnym zniszczeniem rodzimej kulturze litewskiej.

Przyjęcie przez Litwę katolicyzmu w XIV wieku oraz zjednoczenie państwowe z Polską proces powyższy zahamowały i ochroniły Litwę od wchłonięcia przez kulturę wschodu. Jednakże te nowe warunki również nie były momentem sprzyjającym rozwojowi rodzimej kultury: Wyższe warstwy społeczne Litwy (t. j. bojarzy) nie potrafiły pogodzić świeżo przyjętego chrześcijaństwa i kultury łacińskiej z pierwiastkami kultury własnej. Datująca się jeszcze od czasów Jagielly penetracja wpływów polskich zarówno w dziedzinie politycznej i gospodarczej, ja-

ko też w zakresie języka i kultury, — objęła z czasem w ciągu pięciowiekowego procesu i inne warstwy społeczne, a mianowicie duchowieństwo i stan mieszczański. Jedynie tylko te warstwy społeczne i te części kraju, które stały zdala od wspomnianych wpływów, a więc Żmudź, mniejsze miasteczka, a przede wszystkim lud wiejski, — pozostały wierne starym obyczajom i pierwotnej rodzimej kulturze litewskiej, sięgającej jeszcze czasów pogaństwa.

Początków kulturalnego odrodzenia Litwy należy szukać w latach 1803 do 1832, w okresie wspaniałego rozwoju uniwersytetu wileńskiego, na którym licznie studiowała młodzież szlachecka, pochodząca przeważnie ze Żmudzi, a więc tej części kraju, gdzie jeszcze nie wygasł płomień dawnej kultury litewskiej. Młodzież ta, zachęcona pracami wileńskich uczonych i profesorów uniwersytetu (Tad. Czacki, ks. Fr. X. Bohusz, Ign. Żegota Onacewicz, Joachim Lelewel, Ign. Daniłowicz, Józ. Jaroszewicz) do zainteresowania się swoją przeszłością, językiem, obyczajem, tworzy ruch odrodzenia kultury narodowej na Żmudzi (*Poška, Stanevičius, Nezabitauskas*). Tego ducha odrodzenia nie zdołały już stłumić późniejsze represje rządu rosyjskiego po upadku powstania listopadowego, objawiające się w zamknięciu uniwersytetu wileńskiego, skasowaniu szkół i surowej cenzurze pism. Raz rzucone ziarno zainteresowań etnograficznych w stosunku do Litwy wydaje obfity plon i wywołuje — zarówno w Polsce jak i Litwie — ruch umysłowy, który coraz bardziej uwzględnia etniczny pierwiastek litewski (Ad. Naruszewicz, J. U. Niemcewicz, Narbutt Justyn i Teodor, Fel. Bernatowicz, a później Adam Mickiewicz, Mich. Baliński, Ign. Chodźko, Ludwik Ad. Jucewicz, J. I. Kraszewski, Ludwik Kondratowicz i inni).

Przełomową datą w dziejach Litwy był rok 1861: zniesienie pańszczyzny na ziemiach litewskich, znajdujących się pod zaborem rosyjskim. Chłop litewski, który

jedynie nie uległ wpływom obcych kultur i zachował tradycję narodową stał się (przynajmniej częściowo) człowiekiem wolnym i został dopuszczony do brania udziału w życiu społecznym. On to i wywodząca się od niego młoda inteligencja stali się piastunami budzącego się ruchu odrębności kulturalno - narodowej i podjęli w tym kierunku intensywną pracę.

Był to trud ogromny, bo już po powstaniu styczniowym w r. 1864 władze rosyjskie wprowadziły język rosyjski do szkół i zakazały wydawania oraz rozpowszechniania książek litewskich, drukowanych alfabetem łacińskim, nakazując stosowanie kirylicy. Zarządzenia te miały na widoku oczywiście cele rusyfikacyjne, toteż zostały one przyjęte przez naród litewski, jako pogwałcenie jego najżywotniejszych praw. Potajemnie uczono języka litewskiego w mowie i piśmie, ze wstrętem zaś odrzucono książkę, chociaż litewską, lecz drukowaną kirylicą. Świadczą o tym liczby: w okresie od 1864 do 1905 władze rosyjskie wydały tylko 41 książek, drukowanych kirylicą, a Litwini w tym samym czasie, wydali za granicą 3281 książek, drukowanych czcionkami łacińskimi.

Zawrzała zacięta walka, walka nierówna: z jednej strony silna i bezwzględna Rosja, z drugiej — niezorganizowana, dopiero co oswobodzona z więzów pańszczyźnianych Litwa. Zakazane książki i pisma wydawano przede wszystkim w Prusach, kolportując je na ziemie litewskie między wierny lud. Transport ich odbywał się wśród niesłychanych trudności w ciemne, słotne noce, poprzez rojsty i trzęsawiska pogranicza. Bardzo wielką rolę odegrali tu t. zw. *knygnešiai* (nosiciele książek), którzy z narażeniem życia przenosili przez granicę i rozpowszechniali w kraju zakazane druki litewskie. W krótkim też czasie całą ziemię litewską ogarnęła sieć zakonspirowanego kolportażu książek litewskich, Książki te ceniono jako relikwie narodowe i przechowywano z pietyzmem w ukryciu. Władze rosyjskie stosowały surowe kary aż do wygnania na Sybir nie tylko za przenoszenie książek, lecz także za ich

posiadanie lub przechowywanie. Żandarmi nie wzdrygali się nawet przed wkraczaniem do kościołów i wyrywaniem z rąk modlących się ksiązek do nabożeństwa. Odebrane książki publicznie palono. Od 1891 do 1902 r. skonfiskowano około 170.000 egzemplarzy rozmaitych druków.

Represje moskiewskie niewątpliwie były ogromną przeszkodą w rozwoju kultury litewskiej, a szczególnie piśmiennictwa, niemniej jednak osiągały one skutek wręcz przeciwny od zamierzonego: wywoływały bowiem opór, dawały wytrwałość w walce, budziły umiłowanie książki i mowy litewskiej i były niejako ogniem, w którym hartował się duch narodowy.

Olbrzymią rolę w tej walce odegrały powstałe tymczasem pierwsze narodowe czasopisma litewskie, wydawane za granicą, a przede wszystkim: *Aušra* (Zorza 1883—86 r.), *Šviesa* (Światło 1887—90 r.), *Varpas* (Dzwon 1899—1905 r.), *Ūkininkas* (Gospodarz 1890—1905 r.), *Apžvalga* (Przegląd 1890—96 r.), *Apšvieta* (Oświata 1892—94 r.), *Tėvynės Sargas* (Stróż Ojczyzny 1896—1904 r.) i inne. Żądają one od zaborców uznania odrębności narodowej Litwinów oraz stworzenia dla niej odpowiednich warunków rozwojowych.

W r. 1904 — w związku z niepowodzeniami wojny rosyjsko-japońskiej oraz z wzmagającym się wrzeniem rewolucyjnym i ruchem wolnościowym w Rosji — zniesiono w Litwie zakaz stosowania alfabetu łacińskiego w druku. Fakt ten miał niewątpliwie bardzo duży wpływ dodatni na rozwój literatury litewskiej. Jednakże dopiero odzyskanie niepodległości w r. 1918 przez naród litewski stworzyło w całej pełni sprzyjające warunki dla jego rozwoju pod każdym względem, a więc także pod względem rozkwitu literatury i poezji.

II.

Początków literatury litewskiej należy szukać w XV wieku i w pierwszych latach XVI wieku. Literatura ta, choć była pisana początkowo w języku ruskim, a później w łacińskim, jest jednak wyrazem ducha litewskiego. Najlepszym tego przykładem jest *Statut Litewski*, pisany w języku ruskim, będący zbiorem praw obowiązujących na ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego (1529 r.).

Jakkolwiek pierwszymi pisarzami litewskimi byli *Stanislovas Rapagelionis* (*Stanislaus Rapagellonus*, Stanisław Rapajłowicz) i *Abromas Kulvietis* (*Abraham Culviensis*, Abraham z Kulwy), obaj profesorowie teologii protest. w Królewcu, autorowie i tłumacze pieśni religijnych (obaj zmarli w r. 1545), to jednakże właściwa literatura litewska datuje się od roku 1547, w którym ukazuje się pierwsza książka w języku litewskim: *Katechismusa prasty szadei* (Proste słowa katechizmu). Autor jej *Martynas Mažvydas Vaitkūnas* (Marcin Możwid † 1562), duchowny protestancki, podobnie jak i pastory wie *Jonas Rēza* (Jan Reza † 1629), *Jonas Bretkūnas* (Jan Bretkun * 1535 — † 1602) *Bartlomėjus Mažvydas Vilen-tas* (Bartłomiej Możwid † 1587) i pisarz ziemski *Merkelis Petkevičius* (Melchior Pietkiewicz) zajmowali się pisaniem katechizmów i postyll oraz tłumaczeniem biblii, ewangelii, i psalterza na język litewski; ten ostatni zaś przetłumaczył na język litewski Postyllę Mikołaja Reya (1600). Podobnie więc jak w Polsce reformacja i w ślad za nią idąca walka religijna spowodowała potrzebę zastosowania w pismach religijnych i polemice języka powszechnie zrozumiałego dla mas, o których pozyskanie w tej walce chodziło. Ze strony pisarzy katolickich wyróżniają się wśród wielu: biskup żmudzki *Merkelis Giedraitis* (Melchior Giedroyć * 1577 — † 1608), opiekun litewskiego piśmiennictwa katolickiego, zagorzały przeciwnik reformacji, który działalnością swą przypomina rolę biskupa Hozjusza w Polsce; jezuita wileński *Konstanti-*

nas *Širvydas* (Ks. Konstanty Szyrwid * 1564 — † 1631), autor kazań i słownika polsko-litewskiego; oraz kano-
nik żmudzki *Mikalojus Daukša* (ks. Mikołaj Dauksza),
autor pierwszej książki litewskiej wydanej w Wilnie w r.
1595 (przekład z języka polskiego katechizmu jezuitę hi-
szpańskiego Ledesmy) i tłumacz Postylli ks. Wujka. —
Okres literatury religijnej sięga do końca XVIII wieku.
Największą jej zasługą jest przechowanie właściwości
dawnego języka litewskiego XVI i XVII wieku.

Końcowym zjawiskiem tego okresu jest największy
poeta litewski *Kristijonas Duonelaitis* (Chrystian Dona-
litius * 1714 — † 1789), pastor w Tolminkiemiacz w Prus-
sach, który właściwie rozpoczyna okres literatury świec-
kiej. Poeta wielkiej miary, zasłynął przede wszystkim swo-
im poematem *Keturi Metai* (Cztery pory roku), w któ-
rym wspaniałym heksametrem daje opis przyrody i życia
wieśniaków litewskich w Prusach (t. zw. Małej Litwie).
Język i styl poematu stoją na bardzo wysokim poziomie.
Duonelaitis mimo wielkiego swego talentu nie wywarł
jednakże większego wpływu na późniejsze kształtowanie
się literatury, a to z tego powodu, że ówczesne społec-
zeństwo litewskie, spóźnione pod względem kultural-
nym, nie było przygotowane do przyjęcia tego rodzaju
wysokiej twórczości, czego dowodem jest fakt, że *Keturi
Metai* zostały wydane w 40-ci prawie lat po śmierci po-
ety t. j. w r. 1818. Poemat ten tłumaczono na kilka języ-
ków, między innymi także i na polski (Akielewicz, Osso-
wski, Andryson, a ostatnio w r. 1933 K. Paszkiewicz).

W drugiej połowie XVIII wieku i na początku XIX
piszą dwaj poeci: *Dionizas Poška* (Dionizy Paszkiewicz
* 1760 — † 1831) i *Antanas Strazdelis*, (*Strazdas*, ks. An-
toni Drozdowski * 1763 — † 1833). Pierwszy z nich —
Poška, obywatel i pisarz ziemski, pisał w stylu pseudo-
klasycznym; pozostawał w kontakcie z uczonymi polski-
mi; tłumaczył Eneidę; napisał znaną satyrę na obywateli
uciskających chłopów p. t.: *Mužikas Žemaičių ir Lietuvos*
(Chłop żmudzki i litewski), w której opiewa niedolę lu-

du wiejskiego. Drugi — Strazdelis w swoich *Giesmės svietiškos ir šventos* (Pieśni świeckie i święte) porusza ten sam temat: pańszczyznę i opłakany stan wsi — w sposób bardziej zdecydowany; każe on chłopom rozpocząć walkę z istniejącym porządkiem i dlatego jest uważany za prekursora litewskiej poezji rewolucyjnej. Strazdas jest też autorem między innymi także znanej pieśni kościelnej *Pulkim ant kelių*, przełożonej na język polski p. t.: „Padnijmy na twarz“ i do dziś dnia w Litwie i w Polsce śpiewanej.

W tym czasie piszą jeszcze:

Silvestras Valiūnas (Wolenowicz * 1790 — † 1831), autor znanej i dotychczas śpiewanej pieśni o Birucie*); *Jozepas Arnulfas Giedraitis* (ks. Józef Arnold Giedroyć * 1754 — † 1838), biskup żmudzki, gorliwy krzewiciel oświaty wśród ludu, tłumacz na język litewski Pisma św., św. Augustyna, Tomasza a Kempis i Torquata Tassa; *Liudvikas Rėza* (* 1777 — † 1849), profesor uniwersytetu w Królewcu, zbieracz dąjń i autor cennych prac w zakresie piśmiennictwa litewskiego; *Simanas Daukantas* (Szymon Dowkont * 1793 — † 1864), wybitny historyk, badacz folkloru, zbieracz pieśni i autor słownika oraz pierwszej po litewsku pisanej historii Litwy (poza Kojalowicza „*Historia Lithuaniae*“); biskup żmudzki *Motiejus Valančius*. (Ks. Maciej Wołonczewski * 1801 — † 1875), wielki działacz oświatowy i społeczny, wzorowy stylistą i autor *Žemaičių Vyskupystė* (Biskupstwo Żmudzkie) oraz „Pamiętnika domowego“, ciekawego dla dziejów Polski z r. 1863; *Laurynas Ivinskis* (Wawrzyniec Iwiński * 1808 — † 1881), autor znanych kalendarzy, tłumacz Milтона; *Kajetonas Aleknavičius* (Ks. Kajetan Olechnowicz) i w końcu *Simanas Stanevičius* (ks. Szymon Staniewicz † około 1846), badacz i znawca ję-

*) Biruta, księżniczka żmudzka, wajdelotka strzegąca Znicza na świętej górze (tej samej nazwy) koło Połagi, później żona Kiejstuta, a matka Witolda, słynna z cnót i dobroczynności.

zyka litewskiego, zbieracz pieśni ludowych i bajkopisarz.

Nieprzeciętnym talentem wśród innych wyróżnił się po Duonelaitisie biskup sejneński *Antanas Baranauskas* (*Baronas*, ks. Antoni Baranowski * 1825 — † 1902). Rozpoczyna on nowy okres poezji litewskiej t. zw. *okres odrodzenia narodowego*, który z drugiej strony zamyka największy poeta tego czasu, *Maironis*. Poemat Baranauskasa *Anyščių Šilelis* (Lasek Oniksztyński) niezwykle barwnie i wnie oddaje przyrodę lasu litewskiego. Język poematu jest bardzo piękny. Jak podanie głosi, geneza tego utworu była osobliwa: Będąc w seminarium duchownym w Worniach, jako uczeń, usłyszał poeta zdanie nauczyciela literatury, że język litewski wskutek swej ubóstwa nie nadaje się do tak pięknych opisów przyrody, jakie Adam Mickiewicz dał w Panu Tadeuszu; postanowił więc udowodnić, że to twierdzenie jest niesłuszne i w tym celu napisał wspomniany poemat, który jest wzorem eposu litewskiego.

Baranauskas pisze w okresie ciężkich zmagania narodu litewskiego z caratem. W czasie tym duch odrodzenia Litwy budzi się coraz żywiej, co znajduje wyraz w twórczości literackiej. Z przedstawicieli tego okresu wymienić należy ważniejszych, jak:

Antanas Vienožindys (*Vienožinskis*, Antoni Wienożyński * 1841 — † 1892) pisarz rzewnych liryk, elegji i poezyj popularnych wśród ludu, jednocześnie kompozytor, układający melodię do swych utworów; *Silvestras Gimžauskas* (Sylwester Gimżewski * 1846 — † 1897), twórca poezyj patriotyczno-moralizatorskich; *Valerijonas Ažukalnis* (Walerian Zagórski), piszący w latach ok. 1840—50 poeta oraz tłumacz Mickiewicza, Krasickiego i Karpińskiego; wreszcie jeden z najzdolniejszych Varpasistów, liryk, beletrystyka i publicysta *Vincas Kudirka* (Wincenty Kudyрко * 1858 — † 1899), autor zbiorów wierszy p. t.: *Laisvos valandos* (Wolne chwile) i zbioru

artykułów publicystycznych p. t.: *Tėvynės varpai* (Ojczy-
ste dzwony), twórca pieśni z muzyką przez siebie skom-
ponowaną p. t.: *Lietuva tėvynė mūsų* (Litwa, ojczyzna
nasza), która się stała litewskim hymnem narodowym,
ponadto autor przekładów stojących na wysokości orygi-
nału: Mickiewicza, Słowackiego, Asnyka, Schillera i
Byrona; w końcu *Adomas Jakštas* (pseudonim ks. Aleks-
sandra Dąbrowskiego czyli *Dambrauskas'a* * 1860 — †
1938), poeta i krytyk literacki; oraz *Pranas Vaičiaitis*
(Franciszek Wajczajtis * 1876 — † 1901), autor wiers-
zy patryjotycznych, liryk i elegij, tłumacz Kondratowicz-
a, Konopnickiej, Puszkina i innych.

Kończy ten okres najzdolniejszy z nich poeta-liryk,
którego stawiają na trzecim miejscu po Dounelaitisie i Ba-
ronasie: *Maironis* (pseud. Ks. Jana Maczulewicz, zwane-
go także *Mačiulis'em* * 1862 — † 1932), profesor uniwers-
ytetu kowieńskiego; wprowadza on wiersz toniczny
w miejsce sylabicznego, jest autorem poezji o nastroju
patriotycznym i romantycznym, zasłynął poematem *Tarp
skausmų i garbę* (Przez ból ku sławie), przeredagowany
na *Jaunoji Lietuva* (Nowa Litwa), i większym poema-
tem *Mūsų vargai* (Nasze biedy) oraz zbiorem wierszy
Pavasario balsai (Odgłosy wiosny) i innymi dziełami; na-
pisał też w polskim języku poemacik p. t.: „Z nad Biru-
ty“.

Tutaj zwrócić należy uwagę na ciekawe, odrębne i
głębsze niż u innych autorów okresu odrodzenia ujęcie
patriotyzmu, które głosi równieśnik Maironisa, Litwin
pruski: *Vydūnas* (*Vilhelmas Storostas* * 1868), poeta, pu-
blicysta, filozof i dramaturg. Jest on mianowicie obrońcą
cywilizacji duchowej i przeciwnikiem materializmu, a u-
znając moralność za potęgę kulturalną, głosi, że szczytem
patriotyzmu jest działalność w kierunku moralnego pod-
niesienia narodu. Oprócz wielu rozpraw na tematy wy-
chowawcze i teozoficzne napisał on znane traktaty o wza-
jemnym stosunku narodu i jednostki p. t. *Mūsų užda-*

vinys (Nasze zadanie) i *Mūsų laimėjimai* (Nasze zwycięstwo), a ponadto jest autorem kilku misteriów symbolicznych, z których najważniejsze są: *Prabočių šešėliai* (Cienie praocjów) i *Amžina ugnis* (Wieczny ogień).

W beletrystyce okresu odrodzenia wśród pisarzy powieści, nowel, felietonów i szkiców wybijają się wiele kobiet. Oto kilka ważniejszych nazwisk: *Gabrielė Petkevičaitė* (pseud. *Bitė*, Petkiewiczówna * 1861); *Julija Beniuševičiutė = Žimantienė* (pseud. *Žemaitė*, Julia z Benuszewiczów Żymontowa * 1845 — † 1921); *Vincas Pietaris* (pseud. *Savasis* * 1850 — † 1902); *Sofija Ivanauskaitė — Pšibiliauskienė* (pseud. *Łazdynų Pelėda*, Zofia z Iwanowskich Przybylewska * 1877 — † 1926), *Marija Pečkauskaitė* (pseud. *Šatrijos Ragana*, Maria Pieczkowska * 1878 — † 1930), tłumaczka Sienkiewicza („W pustyni i w puszczy“) i Prusa („Placówka“); oraz *Jonas Bilūnas* (* 1879 — † 1907).

Kończąc na tem krótki zarys okresu odrodzenia narodowego, zaznaczyć należy, że powszechnie nosi on także miano *okresu majronisowskiego* od nazwiska największego poety tej doby. Główną, dominującą i charakterystyczną cechą twórczości poetów i pisarzy tego okresu jest gorący patriotyzm, wielkie umiłowanie narodu i kraju oraz ideowy program walki o wyzwolenie z apelem: „wstawajcie i walcie“. Ich pieśni i hasła trafiają pod strzechy, wzywają do walki, krzepią wiarę w moc narodu i zwycięstwo idei odrodzenia. Jednocześnie nie tracą oni z oczu szerokich horyzontów literackich, wykazując zainteresowania z dziedziny powszechnej literatury, o czym świadczą liczne przekłady wybitnych obcych pisarzy.

Tak więc doba romantyzmu, datująca się od czasów Baranauskasa, a chronologicznie przypadająca na majronisowski okres odrodzenia narodowego, ma się już ku schyłkowi z chwilą osiągnięcia zwycięstwa w prowadzonej walce. Nadchodzi okres wolności druku (1904), a wkrótce potem okres odzyskania państwowej niepodle-

głości (1918), które wybitnie sprzyjają szybkiemu rozwojowi piśmiennictwa. Po zrealizowaniu wielkich celów politycznych i narodowych wysuwają się w literaturze na pierwszy plan problemy społeczne, a przede wszystkim zagadnienia estetyczne i artystyczne.

Zywiołowo budzą się w nowszej literaturze litewskiej prądy i kierunki analogiczne do tych, z którymi spotykamy się już dawniej w literaturach europejskich. Prądy te, idące nieraz w rozbieżnych kierunkach, o różnych nazwach, zaczerpniętych z dziedziny ich problematyki filozoficznej, społecznej i artystycznej, jak: realizm, impresjonizm, ekspresjonizm, symbolizm, futuryzm, dekadentyzm, modernizm, indywidualizm, estetyzm, idealizm, syntezyzm i t. d., — rosną na sile zwłaszcza w czasach najnowszych po wojnie, co świadczy tylko o wzmożonym tempie poszukiwań nowych form i dróg twórczości litewskiej.

Jest rzeczą zrozumiałą, że literacki grunt litewski, leżący prawie ze odlegiem przez długie wieki, okazuje się szczególnie chłonnym i podatnym na różne wpływy obce, idące zarówno z zachodu jak i wschodu; mamy tu na myśli między innymi także prądy materializmu filozoficznego, przeważnie pochodzenia rosyjskiego. Niemniej jednakże — poprzez kierunki dnia dzisiejszego — spod różnych naleciałości wszelakich „izmów“ wyziera r o d z i m a gleba litewska, kryjąca w sobie niespożyte moce żywotności i zieleniąca zdrowymi roślinami własnej kultury. Pewien prymitywizm i prostota, które cechują literaturę litewską, są wyrazem aktywności, zdrowia, tężyzny narodu i tej świeżości atmosfery, która znamionuje nowo rozbudzone narody.

Nową literaturę litewską trudno by było podzielić według pewnej szablonowej klasyfikacji, jednakże wśród całego szeregu poetów i pisarzy, hołdujących stale czy przejściowo różnym wspomnianym wyżej prądom i szkołom, rozróżnić przecież można trzy wyraźniejsze kierunki ogólne, a mianowicie:

1) epigonów okresu majronisowskiego, nawiązujących do tradycji odrodzenia i patriotyzmu, 2) estetów — idealistów, których można by określić mianem neoromantyków, oraz 3) realistów i społeczników różnych odcieni.

Z kolei przystępując do omówienia tego bujnego okresu najnowszej literatury, przytoczyć należy kilku ważniejszych pisarzy, których twórczość poetycka przypada głównie na wspomniany powyżej okres wolności druku i niepodległości państwowej, którzy jednak rozpoczęli swą działalność jeszcze w ubiegłym okresie walki o odrodzenie lub przynajmniej w tym okresie wyrosli. Tu należą:

Motiejus Gustaitis (Ks. Maciej Gustajtis * 1870 — † 1927), który rozpoczął działalność swą literacką wydając w Krakowie w 1907 r. wraz z Józefem Herbaczewskim pierwszy litewski Almanach literacki *Gabija* (*Znicz*), poświęcony już nie tyle literackiej propagandzie narodowej, ile raczej samej poezji i to w jej odrębnej, nowatorskiej formie, której wyraz nadawał właśnie wspomniany J. A. Herbaczewski; Gustajtis jest poetą - lirykiem, autorem symbolicznego poematu *Meilė* (Miłość) i oratorium *Auredlė* oraz tłumaczem klasyków łacińskich, jak również Mickiewicza („Sonety Krymskie“), Słowackiego („Anhelli“), Sarbiewskiego i innych;

Krytyk i cięty polemista w swoich artykułach i rozprawach publicystycznych *Juozas Albinas Herbačiauskas* (Józef Albin Herbaczewski * 1876), b. profesor uniwersytetu kowieńskiego; wychowanek Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, pozostawał pod wybitnym wpływem literatury „Młodej Polski“ i pisał więcej po polsku, mniej po litewsku; z litewskich utworów wymieniam: *Dievo šypsenos* (Uśmiechy Boga), *Erškėčių vainikas* (Cierniowy wieniec) i misterium dramatyczne o św. Franciszku z Asyżu („Pustelnik“); podobnie jak i brat jego Bolesław Szczęsny, dokonywa wielu przekładów z literatury litewskiej na język polski;

Liudas Gira (Ludwik Gira * 1886) redaktor pierwsze-

go literackiego czasopisma litewskiego *Vaivorykštė* (Tęcza 1913 — 1914 w Wilnie), autor licznych zbiorów wierszy jak: *Dul, dul, dudele* (Graj, graj, fujareczko), *Žalioji pievelė* (Zielona łączka), *Tėvynės Keliais* (Drogami Ojczyzny), *Ziežiurbos* (Iskry), *Amžių Žingsniai* (Kroki wieków) *Žygio godos* (Duma o czynie) i ostatnio *Prie Rubikono* (U Rubikonu); napisał też kilka dramatów i misteriów; w pewnym zakresie nowator stylu i techniki poetyckiej, wprowadza też do literatury formę pieśni ludowej; obok nuty patriotycznej w jego twórczości wybijają się nastroje i przeżycia osobiste; jako krytyk znany jest pod pseudonimem *E. Radzikauskas*. (E. Radzikowski); opublikował też niemało przekładów z polskiego i na polski.

Z grupy pomajronisowskich estetów, zwolenników, czystego piękna w literaturze, wymieniam wybitniejszych, jak:

Vincas Mykolaitis (pseud. *Putinas* * 1893), profesor literatury litewskiej uniwersytetu kowieńskiego, poeta-liryk. Jego poezje, spośród których wymieniam zbiory: *Keliai ir kryžkeliai* (Drogi i rozstaje) i *Tarp dviejų aušrų* (Między dwiema zorzami), odznaczają się klasyczną formą, bogactwem rymu, dźwięcznością rytmu oraz siłą ekspresji i nastroju. W ostatnich latach przechodzi do beletrystyki powieściowej i swoją 3-tomową powieścią *Altorių Šešėly* (W cieniu ołtarzy), tłumaczoną obecnie na język polski, wybija się na czołowe miejsce współczesnych powieściopisarzy. Próbuje też sił swoich na polu dramatu (*Valdovas* — Władca i *Motina Vaidilutė* — Matka Wajdelotka). Poza tym jest znany publicystą i krytykiem literackim oraz uczonym badaczem i historykiem literatury litewskiej (*Naujoji lietuvių literatūra*, Kaunas 1936 — Nowa literatura litewska, Kowno 1936).

Mykolas Vaitkus (Ks. Michał Wajtkus * 1883), kanonik jest poetą lirycznym oraz autorem kilku utworów dramatycznych i powieści.

Tutaj też wymienić należy dwóch młodych i utalentowanych, a przedwcześnie zmarłych poetów. Są to: *Edmundas Steponaitis* (* 1892 — † 1908) i *Zigmas Gaidamavičius* (pseud. *Gėlė*, Zygmunt Gajdamowicz * 1894 — † 1912).

Zbliżeni do wspomnianego kierunku estetycznego, chociaż mocno nawiązują do tradycji patriotycznych u biegłego majronisowskiego okresu odrodzenia, są następujący pisarze:

Petras Vaičiūnas (* 1890) liryk — romantyk, oraz najpłodniejszy dramaturg. Sztuki jego przekładane były na obce języki, a także na polski jak: *Tuščios pastangos* (Daremne wysiłki) i inne. Jest również tłumaczem dramatów i dzieł naukowych z obcych literatur, w szczególności z polskiej: przełożył Słowackiego („Lille Wenedę“ i „Balladynę“), Przybyszewskiego („Śnieg“), i historię literatury polskiej Bronisława Chlebowskiego i Ignacego Chrzanowskiego.

Sofija Kymantaitė Čiurlionienė (Zofja Czurlonisowa * 1886), wdowa po znakomitym malarzu i kompozytorze Czurlonisie, zaczęła sił swoich próbować na polu beletrystyki, jednakże rozgłos uzyskała przez napisanie dramatu patriotycznego z czasów walki narodu litewskiego o wolność druku p. t.: *Aušros sūnūs* (Synowie zorzy). Ostatnio wydała charakterystyczną powieść z życia religijnego Żmudzi p. t. *Šventmarė*.

Beletrystkę literacką w okresie pomajronisowskim silnie i wyraziście wzbogacają swymi utworami następujący wybitniejsi pisarze, przeważnie prozaicy:

Antanas Žukauskas (pseud. *Vienuolis*, Antoni Żukowski * 1882), poczytny nowelista i barwny stylistą jest jednym z pierwszych współczesnych pisarzy, który zdobył powszechne uznanie swoimi utworami, a mianowicie: zbiorem nowel p. t.: *Paskenduolė* (Topielica), powieścią *Prieš dieną* (Przed dniem), nowelami i powieściami z

życia litewskiej inteligencji oraz bajkami i obrazkami z Krymu i Kaukazu ze wspaniałymi opisami przyrody.

Vincas Mickevičius (pseud. *Krėvė*, Wincenty Krewe-Mickiewicz * 1884), profesor sławistyki i literatury polskiej uniwersytetu kowieńskiego, pisze w pięknym stylu podania ludowe p. t. *Dainavos šalies padavimai* (Podania z Dajnowy) i z dużym artyzmem potraktowane realistyczne obrazki z życia chłopskiego p. t. *Šiaudinėj pastogėj* (Pod słomianą strzechą); napisał dramat *Šarūnas* z czasów Litwy pogańskiej, wysnuty z dajń oraz dramat historyczny *Skirgaila*. Pisał też po polsku.

Juozas Tumas (pseud. *Vaižgantas*, Ks. Józef Tumas * 1869 — † 1928), jakkolwiek co do wieku równieśnik Majronisa, wypłynął jednak na widownię literacką stosunkowo dość późno. Do czasu bowiem wojny światowej pracował przeważnie na polu społecznym i był znany jako wybitny w tym kierunku działacz, energiczny publicysta i autor niewielkich obrazków scenicznych oraz nowel z życia ludu. Dopiero w czasie wojny światowej, a mianowicie w okresie swego pobytu w Szwecji, zaczyna pisać na szerszą skalę i już w Litwie niepodległej wydaje szereg większych swych powieści, które od razu zajęły przedniejsze miejsca w beletryście, jak np.: *Pragiedruliai* (Przebłycki). Pisał też prace z zakresu biografii i bibliografii literatury litewskiej.

Ignas Jurkūnas (pseud. *Šeinius*, Ignacy Jurkunas), były dyplomata litewski, ostatnimi czasy radca gubernatury kłajpedzkiej, jest oprócz innych utworów autorem cenniejszych powieści: *Kuprelis* (Garbusek) oraz *Siegfried Immerselbe atsijaunina* (Zygryd Immerselbe od mładza się), która dotyczy problemu rasowości.

Wracając do dalszego przedstawienia kierunków rozwojowych twórczości poetyckiej okresu pomajronisowskiego zwrócić należy uwagę na przedstawicieli symbolizmu litewskiego. Są nimi:

Faustas Kirša (Faustyn Kirsza * 1891) autor poezyj:

Verpetai (Wiry), *Suverstos vagos* (Przewrócone skiby), *Aidų aidužiai* (Echa ech), *Idijotas* (Idiota) i poematu satyryczno - społecznego *Pelėnai* (*Popioły*); wielbiciel Kraśnińskiego, którego „Irydiona“ i „Nieboską Komedię“ przetłumaczył na język litewski; oraz

Balys Sruoga (* 1896), profesor literatury rosyjskiej w uniwersytecie kowieńskim, który wydał parę tomów poezji, jak *Saulė ir smiltis* (Słońce i piasek) *Dievų takais* (Ścieżkami boków) i dramat kontuszowy „*Radvila Perkūnas* (Radziwiłł Perkun), a pozatem napisał kilka monografij teatralnych, studia nad poetyką pieśni ludowych i historię literatury rosyjskiej.

Popularnym poetą ekspresjonistą jest *Kazys Binkis*, (pseud. *Alijošius*, * 1893) autor zbiorów poezji *Eilėraščiai* (Wiersze), 100 *pavasarių* (Sto wiosen) i innych; opracował dwa tomy antologii poezji litewskiej pod tytułem *Vainikai* (Wianki). W roku, 1921 wraz z *Petrenas*'em *Salys*'em, *Semerys*'em i *Antanas*'em *Rymidis*'em tworzy Binkis młodą grupę *Keturi vėjai* (Cztery wiatry), reprezentującą manifestacyjnie futurizm litewski.

Zbliżonym do nich poetą jest poeta modernista *Juozas Tysliava*.

Kierunek socjalny o charakterze lewicowym reprezentują: rozgoryczony do życia *Julius Janonis* (pseud. *Vaidilos Ainis* * 1896 — † 1917) i mistykujący *Juozas Butkus* (pseud. *Butką Juzė* * 1893).

Ideologicznie zbliżoną nieco do nich grupą poetów był późniejszy *Trečias Frontas* (Trzeci front) wyrażający aktywizm literacki o zabarwieniu socjalnym. Do poetów — społeczników o podobnym nastawieniu lewicowym, którzy nieraz w sposób bezwzględny i jaskrawy apelują do proletariatu litewskiego, chcąc go wyrwać z bezczynności i bierności, należą:

Kazys Boruta (Kazimierz Boruta * 1905), autor zbiorów poezyj: *Dainos apie svyruojančius=gluosnius* (Pieśni o chwiejących się wierzbach), *Kryžių Lietuva* (Litwa

Krzyżów), *Duona kasdieninē* (Chleb powszedni) i inne; *Antanas Venclova* (* 1906); *Kazys i Alfonsas, Jakubėnas* - owie; *Vytautas Montvila* (Witold Montwiłł); oraz *Salomėja Bančinskaitė* (psend. *Salomėja Nėris*, Salomea z Baczyńskich Bugasowa * 1904), autorka zbiorów poezyj p. t.: *Ankštį rytą* (Wczesnym rankiem) *Pėdos smėly* (Ślady na piasku), *Per lūžtantį ledą* (Przez łamiący się lód) i *Diemedžiu žydėsiu* (Zakwitnę bożym drzewkiem), wyróżniona literacką nagrodą państwową w r. 1938.

Wszyscy oni opiewają dolę chłopca i robotnika, stając w jego obronie.

Przechodząc do pisarzy ostatniej doby wymieniam spośród beletrystów i prozaików kilku, którzy wysuwają się na czołowe miejsce jak: *Jurgis Savickis*, *Petrėnas Tartulis*, *Petras Cvirka* (* 1909) *Liudas Dovydėnas* (* 1908), *Jieva Symonaitytė* (Ewa Simonajtisówna, Liwinka Kłajpedzka * 1897), *Juozas Grušas* (* 1901), *Antanas Vaičiulaitis* i inni.

Wśród najmłodszego pokolenia literackiego wyróżniają się poeci różnych kierunków jak: płodny pisarz i dramaturg *Kazys Inčičūra* (* 1906), laureat nagrody literackiej z 1937 r. *Bernardas Brazdžionis* (* 1907), *Jonas Kosu-Aleksandravičius* (* 1904), *Antanas Miškinis* (* 1905), *Jonas Graičiūnas* (* 1908), *Petras Babickas* (*Babickis* * 1903), *Vytautas Sirijos Gira* (* 1911) i cały szereg innych, którzy częściowo zostali uwzględnieni w Antologii, a których bodaj pobieżne omówienie na tym miejscu przekraczałoby ramy niniejszego opracowania.

Wszyscy ci młodzi pisarze i poeci reprezentują ogromnie żywy i błyskotliwy nurt życia literatury młodolitewskiej, gorączkowo poszukują nowych dróg i form wypowiedzenia swoich myśli, nastrojów i uczuć, rozwijają styl i technikę poetycką, dając w ten sposób wyraz swej nowej i oryginalnej twórczości. To też młody ruch litewski przebywa w przyspieszonym tempie i niejako odrabia wszystkie te etapy i kierunki twórczości literackiej, któ-

re w innych krajach o lepszych i bardziej literaturze warunkach historycznych rozwijają się ewolucyjnie i ciągną się nieraz dziesiątkami lat.

Jeżeli przy stanie ludności, przekraczającym nieznacznie $2\frac{1}{2}$ miliona ludności, uwzględnimy wielką ilość wydawanych w Litwie książek i istniejących bibliotek (około 2.000) oraz ilość wydawanych w roku 1937 czasopism periodycznych (157 wydawnictw periodycznych, czego 19 dzienników, 38 tygodników i 100 innych w ogólnym nakładzie 800.000 egzemplarzy, z czego jeden tylko tygodnik rolniczy *Ūkininko Patarējas* ma tygodniowy nakład 80.000 egzemplarzy), — to będziemy zdumieni tym olbrzymim postępem oświaty wśród ludu i tym młodzieńszym rozmachem kulturalno-literackim, który ogarnia całą odrodzoną Litwę.

Reasumując niniejszy krótki zarys literatury litewskiej stwierdzić należy że mimo trudnych warunków historycznych przeszła ona wszystkie etapy rozwojowe, właściwe literaturom Zachodu, a także literaturze polskiej: Rozbudzona i do życia powołana wpływami humanizmu, reformacji i kontrreformacji, po okresie literatury religijnej, wykazuje ona znamienne ślady każdego europejskiego kierunku literackiego od pseudoklasycyzmu (Poška) poprzez romantyzm okresu majronisowskiego aż do skrajnego modernizmu i indywidualizmu ostatniej doby.

III.

Specjalny rozdział należy poświęcić omówieniu znaczenia i rozwoju litewskiej pieśni ludowej:

Liryzm litewski znajdował ujście od prastarych, niezapomnianych czasów w pieśni ludowej nazwanej *daina*. W niej się przechował najczystszy, rdzenny i wolny od wszelkich naleciałości duch narodu.

Specjalne warunki upartej, jawnej czy podziemnej walki przeciwko przemocy i uciskowi, z którymi parął się Litwin na przestrzeni dziejów, nie mogły pozostać bez

wpływu na jego psychikę i charakter jego twórczości ludowej:

Litwin jest poważny w stosunku do życia, serdecznie i głęboko czuje, lecz nie uzewnętrznia łatwo swych myśli i nastrojów, jest zwykle zamknięty w sobie i skłonny do cichego lecz głębokiego liryzmu. Umiłowanie ziemi ojczystej i przyrody stało się głównym źródłem jego natchnień, bo Litwin kocha przyrodę, rozumie ją, odczuwa, obcuje z nią jak z uduchowioną a bliską istotą. Zasłuchany w tęskną melodię przyrody wyzwolił z swej piersi pieśń również pełną rzewnej zadumy i melancholijnego smutku.

Pieśni ludowe stanowią niewyczerpaną skarbnicę najczystszej poezji i są podstawą nowoczesnej liryki litewskiej. Co do ich treści, tematu i rodzajów, znajdujemy wśród nich pieśni mitologiczne z czasów pogańskich, pieśni historyczne, okolicznościowe, obrzędowe, a zwłaszcza barwne pieśni weselne, pełne swobody, fantazji i swobodnego dowcipu, to znów rzewne i pełne nastroju pieśni płaczu i żalu, śpiewane na pogrzebach (t. zw. *raudos*). Nie słychać w nich prawie nigdy szczęku oręża i surmy wojennej, ale stale rozbrzmiewa tam nuta miłości i tęsknoty, które to dwa pierwiastki uczuciowe stanowią dominantę poezji litewskiej.

Jak z jednej strony dajna jest tworem sięgającym do najgłębszych pokładów duszy litewskiej, tak z drugiej — jest doskonałym obrazem cech charakteryzujących jej twórcę, t. j. lud litewski. Zapoznanie się z dajną odsłania całą dziedzinę cech narodowych Litwina, jego charakter, wierzenia, obyczaje: głębokie umiłowanie przyrody i ziemi, poszanowanie ogniska domowego, sumienne traktowanie obowiązków, surową czystość myśli i uczuć, cichą i łagodną melancholię, prostotę — słowem — cały zakres jego psychicznych właściwości i moralnych wartości.

To też litewska pieśń ludowa od dawna zwróciła na siebie uwagę ludzi nauki i poetów zarówno litewskich jak i

obcych. Interesowali się nią: Kant, Goethe, Herder, Lessing, a ten ostatni, odkrywając przypadkiem w litewskim słowniku Ruhiga „wielką rzadkość, która mnie nieskończenie uradowała, mianowicie litewskie śpiewki Dainos, co je proste dziewczęta śpiewają“ — tak pisze o nich dalej: „Jaki naiwny dowcip!“ Co za miła prostota! Można się z nich przekonać, że pod każdym niebem rodzą się poeci, że łagodne uczucia nie są wyłącznym udziałem ucylizowanych ludów“. A inny niemiecki uczoney Fr. Tetzner mówi, że „Litwini są najbogatszym w pieśni narodem na świecie“ (Dajnos, Lithuanische Volksgesänge, Leipzig 1877).

Zbieraniem pieśni litewskich oraz ich tłumaczeniem zajmowało się wielu, że wymienię: Kazimierza Brodzińskiego, Ludwika Osińskiego, Leona i Adama Rogalskich, Ludwika Jana Rezę (zbiór wydany w Królewcu 1825), Emeryka i Szymona Stankiewiczów (*Simanas Stanevičius: Dainos Žemaičių*, 1829); Ludwika Adama Jucewicza (*Jucevičius*, Ludwik z Pokiewia: *Pieśni litewskie*, Wilno 1844), J. Zatorskiego (zbiór, Warszawa 1844), Oskara Kolberga (*Niektóre pieśni litewskie w różnych okolicach Litwy Nadniemeńskiej i Żmudzi*), Karola Brzozowskiego (*Zbiór pieśni nadniemeńskich z okolic Aleksoty*), braci Ks. Antoniego i Jana Juszkiewiczów (*Juškevičius* 1880 — 82), Ks. Sobolewskiego (*Sabaliauskas*), prof. Niemi; a dalej wskażę na zbiory niemieckie Nesselmana (1853), Lautenbacha (1896), Brugmanna i Leskiena (1882) oraz Bartscha (1887—89).

Ilość zebranych pieśni litewskich jest zadziwiająca i idzie w dziesiątki tysięcy. Już Juszkiewicz, zbieracz dajni i etnograf, zebrał ich około 3000, a kilka tysięcy ma zebranych i spisanych Wileńskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Intenzywne badania folkloru i prace nad zbieraniem podań i pieśni prowadzi osobna sekcja Uniwersytetu Wiktolda Wielkiego w Kownie, a pomaga jej w tym całe kulturalne społeczeństwo Litwy. O rozmachu tych prac świad-

czy ta okoliczność, że w przeciągu jednego tylko roku ubiegłego (1938) zebrano około 80.000 legend, mitów, podań, przysłów, dajń, raud i t. d., w czym samych tylko pieśni 24.000 i 700 tekstów muzycznych.

Kończę moje uwagi o litewskiej pieśni ludowej poetycką metaforą o dajnie młodego poety litewskiego Boruty, który powiedział, że jedynie ze swą ukochaną dajną na ustach, posłuszny porywom serca „wyszedł Litwin w ponurą noc, aby poranne słońce przynieść na plecach”. Niech i mnie wolno będzie wypowiedzieć się, jak odczuwam tę litewską „pieśń gminną” przez przytoczenie fragmentów mego wiersza p. t.: „Dajna”:

O Litwo stara! Daleka Ty, Litwo!
Śpiewasz tak tęskno, miękko i żałośnie,
Że dajna Twoja — dla Ciebie modlitwą,
Twą kołysanką, co pieści miłośnie:
Ona Ci ciszą, ona Ci ostoją,
W chwilach załamań powiernicą Twoją,
Pełną słodczy i rzewnej prostoty,
Jak lud litewski i jego tęsknoty.

.....

Nie masz tam surmy, ani szczęku zbroi,
Słów nie czerwienią ni mord ni pożogi,
Zew jej nie wzywa Cię do krwawych bojów,
Nie zieją zemstą jej prastare bogi.
Pieśni nie mącą zbrodnicze grabieże,
Łuną pożogi nie płomieni wojna,
Nie wichrzy najazd dalekich rubieży...
Tęskny dajń urok i nuta spokojna —
To nie krzyk krwawy, — to szept Twego łona,
To pieśń tak jasna przez lud wypieszczona...

.....

Śpiewna beztroska tam rzadko zagości,
Nawet gdy w spichrzach śpią buje ozimy
I brawne w świrnach już leżą kilimy
I prześpiewana już pieśń dożynkowa,
Rzadko weselem skrzą się dajny słowa.
Cała treść życia w tej pieśni zakłęta!
Więc ją śpiewają: lud cały, dziewczęta!
Kapłani, prządki, dojrzały i młodzi
I dziewczosłęby, družbowie i swaci...
Śpiewają w każdej litewskiej ją chacie...

Kowno w grudniu 1938.

Julia Wichert — Kajruksztisowa.

ANTOLOGIA POEZJI LITEWSKIEJ

D A J N Y *).

I

Hej, słoneczko! Boże dziecię,
Gdzieś tak długo zabawiło?
Gdzieś tak długo zamieszkało,
Ześ nas wszystkich porzuciło?

— Z tamtej strony morza
Wiele pracy miałem,
Strzegłem ja sierotki
I pastuszków grzałem.

Hej, słoneczko! Boże dziecię,
Kto na niebie w rannej dobie
Ogień pali, a wieczorem
Poduszczkę ściele tobie?

— Mam jutrzencę, zorzę,
Mam krewniaków wiele:
Pierwsza ogień pali,
Druga pościel ściele.

II

Księżyc z słońcem się pobrali
Hej! pierwszą wiosenką,
Księżyc słońce wnet porzucił
Już wczesną jutrzencą.

*) Dajny — litewskie pieśni ludowe. .

Gdy samotny księżyc chodził
 W zorzy zakochany,
 To go mieczem przepołowił
 Perkun zagniewany.
 Czemu słońce porzuciłeś,
 Włóczyś się po nocy?
 Czemu zorzę pokochałeś?
 Serce smutek toczy?

III

Pod klonikiem, gdzie źródelko,
 Tam bogów synowie
 Tańczą z swymi siostrzycami
 W nockę księżycową.
 Przy źródelku, pod klonikiem
 Lice swoje myłam
 I w źródelku modrym, czystym
 Pierścionek zgubiłam.
 Czy z jedwabną tu siateczką
 Przyjdą boga syny?
 Czy wyłowią mój pierścionek
 Z wodnej tej głębiny?
 I przyjechał chłopiec młody
 Na koniu bułanym,
 Żłocistymi podkówkami
 Pięknie podkowanym.
 — Chodźże tutaj, o dziewczyno,
 Chodźże tutaj, młoda!
 Pójdź na słówko jedno,
 Pójdź na rozmyślanie:
 Gdzie najgłębsza woda,
 Najmilsze kochanie...

IV

Ty, koziołku czarnobrody,
Rośnij i nie zwlekaj,
Bo nasz bożek już na ciebie
Czeka... czeka... czeka!..
Nad rzeczułką jest pagórek,
Gdzie, jak gwiazdy, we dnie, w nocy
Ognie płonąć muszą.
Tam Raginis*) ze Zwaginiem*)
Bogu kozły duszą...
Duszą...
A po sierpniu, a po wrześniu
Pójdiesz z nami, czarnobrody,
Hej! na tamto owo wzgórze,
Na pagórek hej! nad wodę,
Gdzie Raginis ze Zwaginiem
Na cześć, chwałę naszych bogów
Ciebie też uduszą...
Uduszą...

V **)

Śpiewaj, siostrzyczko!
Czemu zmiłkłaś ty?
Czemu się zamyślasz,
Czemu rączka drży?

— Jak się mam weselić,
Jak mam śpiewać, młoda,
Kiedy w mym ogródku
Wyrządzona szkoda?

*) Bóstwa pogańskie dawnych Litwinów.

**) Dajna ta nosi tytuł: „Szkody w ogródku“.

Ruty wydeptane,
Róże już zerwane,
Lilie rozrzucone
I rosy strącone.

Czy rzeki wezbrały?
Wiatr północny wiał?
Błyskawice były?
Czy Perkunas grzmiał?

— To nie wiatry wiały,
Ni rzeki topiły,
Ani gromy grzmiały,
Ni pioruny były.

Brodaci mężowie
Zza morza przybyli,
Na brzegu wysiedli,
Ogródek zniszczyli.

Ruty wydeptali
I róże zerwali,
Lilie pozrywali,
Rosy postrząsali.

Nawet i ja biedna
Ledwie pozostałam,
Ledwie swój wianuszek
Z ruty uchowałam.

VI

Wyprawiała zorza gody...
Jechał Perkun tam przez wrota
I wywrócił dąb zielony.

I krew dębu zakapała,
Mą sukienkę poplamiała
I wianuszek zapryskała.

I córeczka słońca, płacząc,
Przez trzy lata zwiędłe liście
Wciąż zbierała.

— A gdzież to ja, o matusiu,
Prac bieliznę będę białą
I gdzie zmyję z niej tę krew?

— O! córeczko moja młoda,
Nad jeziorne idźże wody,
Skąd wypływa dziewięć rzek.

— A gdzież to ja, o mateczko,
Tę bieliznę suszyć będę,
Gdzie powieszę ją na wiatr?

— W tym zielonym ogródeczku,
O! córeczko moja młoda,
Tam, gdzie kwitnie róży kwiat.

— A kiedyż to ja, matulu,
Nowe suknie przyodzieję
I bieliznę czystą już?

— O! córeczko moja młoda,
Kiedy dzionek się zaśmieje.
I zaświeci dziewięć zórz.

VII

Hej! leć, jastrzębiu,
Hen! przez jeziorko,
Tam gdzie w jeziorku
Wiry się kłębią.

A przy tym wirze
Ruty pachnące,
A w tym ogródku
Dziewczę płaczące.

— Nie mam mateczki,
By wiano dała,
Nie mam ojczulka,
By posag składał,

Nie mam siostrzyczki,
By wianek wiła,
Nie odprowadzi
Braciszek miły.

Słońce*) — mateczka,
Słońce — mateczka,
Słońce — mateczka
Wiano gotuje.

*) Słońce — po litewsku: saule — rodzaju żeńskiego.

Księżyc — ojczulek,
Księżyc — ojczulek,
Księżyc — ojczulek
Posąg rachuje.

Gwiazda — siostrzyczka,
Gwiazda — siostrzyczka,
Gwiazda — siostrzyczka
Wianuszek splata.

Sietinas *) — braciszek,
Sietinas — braciszek,
Sietinas — braciszek
Zastąpi brata.

VIII **)

Kuka w lesie kukuleczka
I sierota tam zawodzi:
Czego płaczesz, o niebożę,
Czy odeszła cię mateczka?
Już na desce leży matka,
A córeczka u nóg płacze:
Ach! matusiu, ach! mateczko,
Czy nie długa nocka dla cię?
— Czemuz nocka ma być długa,
Czy nie miękkie me łódeczko?
Lniane cienkie prześcieradło,
Z białych stróżek poduszczyca.

—————
*) Gwiazdozbiór Plejady.

**) Rauda — ludowa pieśń żałobna.

Trumna moja — pałac dla mnie,
A ojczyznę — ta mogiła,
Grajki — orszak uroczysty,
A chorągwie — goście miłe.
Świece — to me drużki w bieli,
Narzeczeni — nosiciele.

IX

Hej, Żemino! hej, kwieciarko!
Gdzie posadzić róże mam?
— Na wysokim sadź pagórku,
Przy zatoce morskiej tam.

Hej, Żemino! hej, kwieciarko!
Gdzie ja znajdę ojca, matkę?
— Na wysokie idź, na wzgórze,
Nad zatokę, hej! nad morze.

Z pieńka róży
Buja drzewo... ma już kwiaty,
Kwiaty duże,
A gałęzie kryje w chmurze...

Z I M O W E T R O S K I.

Z poematu „Cztery pory roku“.

Gdy tak wszyscy jęczeli, niebo wyjaśniało,
Wicher północny zawiał, trzepocząc skrzydłami,
Na południe gna słotę, tam gdzie są bociany...
A zima spoza chmury głowę swą wysuwa
I jak złoźnica z błotem jesiennym się kłóci
I lodowatym tchnieniem suszy je i skuwa.
A gdy z błotem jesieni tak się uporała,
Przez moczary i bagna drogę zbudowała.
Ochoczo jeździć sanna wtedy uczy ludzi.
I oto tam, gdzie przedtem, radując się wiosną,
Z różnobarwnego kwiecica rwaliśmy wiązanki,
Gdzie kończyliśmy lata zabawę radosną —
Utworzyły się zasy jako góry całe,
Strojne w zimy bukiety puszyste i białe.
I jeno dziwnie patrzeć, jak młode sośniaki
Z kędzierzawymi czuby, jak hardzi panicze,
Stoją napudrowane i podparte w boki.
Pod nimi nagie chrusty kornie pochylone
Dygocą pod ich dachem, jakby wylęknione,
I gdy wicher zagwiżdże, kłonią się z lamentem.
Nawet pnie i wykroty przestkach też owiewa,
Gdy, jak w miechy, zaczyna dąć wicher północy,
Śnieg rozpyła i jakby przez sita przesiewa.
— Przeto wszystko co żywe w lasach się ukrywa,
Gdy wichry się wściekają, huczą i wirują —
Po norach się zagnieżdża wnet zwierzę leniwe,
Lub też drzemki próbuje na gałęzi drzewa.

J E S I E Ń.

Z poematu: „Cztery pory roku“.

Wszystko to, co w podniebiu świętowało lato
I fruwało w przestworzach z trzepotem figlarnym,
To, co mknęło w błękity falangą skrzydlatą
I z radością chwyciło żuczki, muchy, ziarna —
Wszystko to już w odlocie gdzieś się pochowało.
Puste pola owiewa martwota żałoby,
A ich piękność — to starej mogiły uroki.
W cichych lasach śmierć błędzi i smutek głęboki,
Gdy wiatr szarpie i zrywa drzew letnie ozdoby.
— A tam, gdzie się wylęgło nowe pokolenie
I w gniazdku, jak w kołysce, świergocąc kwiliło,
Aż wreszcie wyfrunęło szukać pożywienia,
Już bez matki próbując młodych lotów siły —
Te zakątki swą krasę straciły urocą,
Tylko suche tam chrusty, chwiejąc się, grzechoczą.
— Gdzie niedźwiedź — stary pszczelarz — z barci
zbierał miody,
Niedźwiedzica karmiła niedołączone młode,
Gdzie łosie od drapieżnych wilków umykały,
A wilki swoją młodzież mordu nauczały,
Gdzie jastrzęb z swymi dziećmi kurczęta nam kradnie,
A kruki młode gąski szarpały gromadnie,
— Wszędzie zmiękła ich radość; martwotą się żalą,
Tylko wrony jesienną tę brzydotę chwalą,
A ptaki z swymi pieśni w dziuplach się skurczyły
I drzemiąc, nawet troski zimowe uspiły.

CHŁOP ŻMUDZKI.

Wyjątek.

— Jak tylko kur zapieje, trzeba ci sen skrócić,
Co prędzej trza iść z cepem do stodoły młócić,
Albo do żarn przykuty, masz w najsroźsze mrozy,
Szepcząc cicho pacierze, czekać świtań zorzy.
I choć czasem o brzasku zamieć śniegiem wionie
Iomalże twa szkapa w śniegu nie utonie,
Nie patrząc, czy to odwilż, a choćby ulewa,
Wież z lasu wyrąbane tam przez ciebie drzewa,
Albo wędruj daleko, czuwaj niewyspany,
do Wilna lub Warszawy przez zasy, kurhany.
— Chłopie, jam w tym opisie mocny i zuchwały...
— Nie, wszak częstkę wyliczasz, a nie trud nasz cały,
Jak kucharka, co zbiera z wierzchu tłuszczu szkliwo.
A kto zagon obsiewa, plon kto zbiera w żniwo?
Kto usuwa ci bagna, błota i moczary?
Kto rozszczepia kamienie bez ognia i pary,
Albo kto ci uprząta z rzek olbrzymie skały,
O które się twych łodzi czoła rozbijały?
Kto kopie i prostuje gościńce szerokie
I pomiędzy rzekami kanały głębokie?
A kto drzewa ci sadzi w ogrodach rzędami?
Znosi góry i równa pagórki z dołami?
Buduje kamienice, miejskie domy białe
I kościoły z kamieni, cegieł, wiecznotrwałe?
I kto kraj twój we złoto i srebro wzbogaca?
Toć ten cały trud krwawy — chłopskiej dłoni praca.

— Chłopie, słowom twym wierzę, ty prawdę powiadasz,
Przeto zechciej powiedzieć, jak żyjesz, co jadasz!
— Chatynka moja kurna, w której mam mieszkanie,
Ciemna jest, bo jej okno ma z desek łatanie,
A dym, co z pieca bucha wciąż we dnie i w nocy,
Krwawi, kłuje i łzawi ciągle moje oczy.
Chleb z plewami, liść jarzyn — to twoje jedzenie,
Czystą wodę czerpając, gasisz swe pragnienie,
Miał łóżka — grochowiną masz ławę usłaną,
Obuwie twe — to łapcie z kory wyplatane,
Kozuch, powróż i szmaty — to twoje odzienie,
Gdzie przeróżne robactwo ma swoje schronienie.
Sprzęt pracy — to już wszystko, czym chata bogata:
Cep, sierp, kosa, motyka, brona i łopata.
— Bracie mój, co wzgardliwe nosisz chłopa miano,
Czy ci wszędzie, nieszczęsny, taką dolę dano?
Nędza twoja głęboko przenika me serce;
Powiedz, czy też pan myśli o twej poniewierce?
— Toć myśli — trza mu nieść gęsi, jagody, grzyby,
Kozuchy, wełny, sery, orzechy i ryby.

O dni moje kłopotliwe!
Gdzie mam podziąć się na świecie?
Bo gdziekolwiek bym nie poszedł,
Wszędzie bieda, nędza gniecie,
Gnębi, ściga mnie!

Jakże gorzki świat szeroki,
Gdy gdzie nie masz głowy skłonić!
Chyba z rybą pływać w wodzie,
Albo z wiatrem chmurę gonić,
Co po niebie mknie.

Lichy, skąpy chleb biedaka
I łyż słone — uczta cała.
Gdy pod głowę pięść podłoży,
Ma spoczynek doskonały:
Nędzne jego dni!

Ale płakać nie ma czasu,
Ani chorzeć nie ma prawa.
Gdy kur pieje — krzyk go budzi —
To gospodarz każe wstawać:
„Dość już, leniu, gnić!”

Choć mu serce z bólu pęka,
Choć i niemoc w ciele czuje,
Jakże leżeć ma czy płakać!
Czyż gospodarz się zlituje? —
Powie: „Ruszaj w świat!”

Gospodarski syn przyjeżdża —
„Hej, parobku, biegnij żwawo!
Śpiesz wyprzegać z wozu konie,
Otwórz stajnię, gotuj strawę!“
Wnet zakrzykną tak.

Matka krząta się przy synu,
Puchy ściele mu w komorze,
Drzwi zamyka na zasuwę,
Gdy synaczek się położył.
— Niech spokojnie śpi!

Tylko jeden ja nieszczęsny
Dni w niewoli, w znoju pędzę,
Nikt mi nawet nie współczuje,
Zewsząd czyha śmierć i nędza —
Przyjdzie zginąć mi!

Pójdę, pójdę na mogiły,
By zawołać swą mateczkę
I ojczulka będę budził
I zakukam kukuleczką —
Niech usłyszą mnie!

Lecz do matki mojej grobu
Drzewa drogę zawaliły —
I zarosła zielskiem ścieżka
Do ojcowej już mogiły.
Hej, nie dojdę, nie!

Ach! Ty Boże dobrotliwy,
Ojciec niebios sprawiedliwy,
Ja do Ciebie modły ślę:
Bądźże dla mnie litościwy,
Przytul, przytul mnie!

I PRZYLECIAŁ KRUK CZARNY...

I przyleciał kruk czarny,
Złożył skrzydła tułacze,
Na żerdź usiadł — słuchajcie,
Co on głosi i kracze:

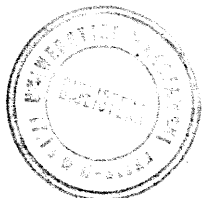
Gdy świat był już stworzony
I Bóg równość darował,
Człek zapomniał o Bogu,
Diabła tylko miłował.

Ten bałwany czić kazał
I wyznaczył ród panów,
A chleb czarny dał chłopom,
Na znój, nędzę skazanym.

Więc panowie hulają,
Śpią w pościeli puchowej,
Pysznie, hardo się noszą,
Nie chcą ojców znać mowy.

I na pracę — pańszczyznę
Człeka z chaty wzywają,
By ostatnią krew ciągnąć,
Gdy do dworu pojniają.

Choć ich ciało jak nasze,
Jednak dręczą nas co dzień.
Lecz nakuto dość stali —
Dzień odwetu nadchodzi!



Robotnikiem i chłopem
Jasne pany się brzydzą,
Podatkami ich gnębią,
Mianem „chamów“ z nich szydzą.

Lecz nie tacy bywali
Ich ojcowie i dziady,
Ale, odkąd odeszli,
Nikt nie stąpa ich śladem.

Oni Litwy kraj, mowę
I kochali i czcili,
Dla swych braci — prostaczków
W sercach przyjaźń żywili.

KOŃ I NIEDŹWIEDŹ.

Alegoria *).

Tam, gdzie modra Niewiaza Czerwony Dwór mija
I do Niemna zdążając, wody niesie czyste,
Gdzie w cichy letni ranek, kiedy słońce wschodzi,
Szczyty górskie i fale mienią się złościć —
Raz po łące zielonej koń spętany brodził.
Wspominając swe trudy, nad niewolą biadał,
Jak to wczoraj dzień cały ciężką mierzwę woził,
Jak krótko w nocy drzemał i jak mało jada.
„Oto jasna jutrzienka znowu w polu świeci
I krople rosy srebrnej z traw już pospadały,
Więc znów będę zmuszony stanąć do roboty,
Wóz ciągnąć, jak i wczoraj, tak przez dzień dziś cały“.
Gdy koń sobie tak dumal w ten letni poranek,
Ujrzał nagle w pobliżu niezwykle zjawisko:
Ciągnąc łańcuch za sobą po trawie zielonej,
Wśród leszczyny chodziło wielkie niedźwiedzisko.
Aż podskoczył nasz gniady, wielce przelękniony!
„Nie lękaj się! Nic złego wszak ci się nie stanie!“
— Z powagą niedźwiedź mu powie —
„Od wieków żyli w zgodzie nasi pradziadowie,
Razem się tu zrodzili, rośli, postarzel...
Ot i teraz — jednakie losy nas spotkały:
Mnie łańcuch na szyi, tobie pęta zostały.

*) Pod tą alegorią rozumieć należy Pogoń i Zmudź.

CZAPKA KUBY

(satyra).

Już się zdarła i rozlazła
Czapka Kuby, zmięta, stara,
Ze trzydzieści lat jej było,
A na setkę wyglądała.
Choć na wylot świecą dziury,
Kupić nową — nie te czasy!
(Tak jak pies, co nie ma za co,
A kupiłby kęs kiełbasy).
Poprzez czub do potylicy
Rozwichrzone wiszą kłaki.
Wierzch się świeci obrzydliwie,
Ucha sterczą jak dwa grzyby,
A opaska, choć skórzana,
Niczym miotła rozchlastana.
Tu przyszyte — tam odpada
— Widzę, już byś spocząć rada
I zawisnąć gdzieś na kołku,
Lecz poczekaj — wstawięć kliny,
Tak szerokie, jako bliny.
I choć lat przybędzie tobie,
Razem spoczniesz ze mną — w grobie.
Czapko stara! Tak cię lubię,
Boś stroiła mię przy ślubie.
Na weselu — ruty kita

Tyle razy ci przyszyta...
Na kiermaszach, gdzieśmy byli
I hulali młodzi szalem,
Nie zapomnę aż do śmierci,
Jak na ucho cię zsuwałem,
Jak kręciłem wtedy wąsa,
Jak płonęły wciąż dziewczęta,
Jak mnie, niby od niechcienia,
Oglądały ich oczęta.
I pytały, co za chłopiec,
Taki młodzian urodziwy?
I mówiły o tym wiele:
„Czyta z książki on w kościele“.
Dziś jam stary, a ty — w latach,
Nie znaczymy nic dla świata...
Kogoż więc obchodzić mamy?
Jeno Bogu dzięk składamy...
— Oj! ty czapko, od waszeci,
Już nam koniec żyć na świecie...
Lecz po śmierci, gdzie cię podziać,
Czy na głowę ciebie odziać?
Za blin taki, aż się boję —
Nieba zamkną mi podwoje...

LASEK ONIKSZYŃSKI.

Fragment.

Las nie tylko dźwiękami czaruje i wonią,
Kiedy huczy wesoło i rozgłośnie dzwoni...
O północy tam cicho, że słyszysz, jak wzbiera
Liść młody, lub pąkowie kwiatem się otwiera;
Jak szemrze drzew gałęźmi lasu święta mowa,
Jak lśnią gwiazdy i rosa spada brylantowa...
Więc i w sercu, co ziemskie, wszystko ci ucicha.
Duch w modlitwie ulata, spokojem oddycha.
A gdy zorza rozblaskiem już ranek zasili
I kwiat, rosą brzemienny, główkę swą pochyli,
Wtedy ze snu się budzi bór, w ciszę zakłęty,
Rozpoczyna się praca — trud dnia zbożny, święty.
— Co tak w gęstwie szeleści? — To liść załopotał...
Co tam trzasło? — Wilk pewnie — w obawie świtania —
Cicho, chyłkiem z nocnego wraca polowania...
Tam znów w zębach do nory lis gąsiątko niesie,
Tam borsuk jak najdalej z swej kryjówki rwie się,
Tam sarenka w podskokach mignęła z pagórka,
Tam znów z sosny na sosnę wciąż skacze wiewiórka,
A tam ujrzysz: łasica i kuna śmigają.
Tak przeróżne zwierzęta po lesie hulają...
Kto tam stuka? — To dzięcioł kuje korę drzewa.
Kto tam jęczy? — To bekas w gąszczu się odzywa.
A kto syczy? — Patrz! Zoczysz i gadziny skręty.
Tam znów szemrzą i szumią fale rzeki Świętej...
Kto tam gada? — To gęsi gęgają ochoczo,
To bociany w podlasiu na gnieździe klekocą.

Tam znów kaczkę: pry! pry! pry! — przyleciały z trzciny,
A dudek pyta żonkę, pyta swoje syny:
— Co, co? Co wam dziś przynieść? Jakie to przysmaki?
Co, co? Czy ziarna, muchy, a może ślimaki? —
Tam widzisz, jak kukulka rozgląda się wkoło,
To kukając lka niby, to kuka wesoło.

Dzwoni las... wciąż las dzwoni... Wilga głosem drżącym
Przedrzeźnia: „Ewo, Ewo, nie paśże na łące!“
Tam nad rzeką: ri-u! ri-u! ri-u! — kulik się odzywa
I głosów rozmaitych sypie się ulewa.
Coraz to inne sprawy i inne głosiki:
Szczygły, gile i drozdy, pliszki i czyżyki,
Sojki, sroki i inne swoją pieśń śpiewają,
To się śmieją, to jęczą, to fraszki gadają.
Ale już głos słowika, z wszystkich najdzwięczniejszy,
Silny, rzewny i tkliwy, pełny, najpiękniejszy,
Dzwoni, huczy, co chwila przelewa się, zmienia —
I tak wciska się w duszę, jako dajny pienia.

WSZYSTKO MI JEDNO!

Zgasła już dla mnie gwiazda nadziei,
Świat przysłoniły szarej mgły zwoje...
Czy mi kto radość pod stopy ściele,
Czy gorzką żółcią usta me poi —

Wszystko mi jedno! Wszystko mi jedno!

Czy z ostrych ostów, czy z wonnej ruty
Chcecie mi uwić wieniec na skronie,
Jednaką będzie dla mnie pociechą,
Czy mię kto chwali — potępia — broni —

Wszystko mi jedno! Wszystko mi jedno!

Czy na warownej zamieszkać górze,
Będę miał pałac, jedwabne stroje,
Czy będę z trudem zdobywał grosze
I w nędznej chacie żył w biedzie, znoju —

Wszystko mi jedno! Wszystko mi jedno!

Kto umrze, ten już nie widzi więcej,
Ani nie słyszy, świata nie płacze,
Czy na mogile krzyż mu postawią,
Czy ktoś go przeklnie w złości, w rozpacz,

Wszystko mu jedno! Wszystko mu jedno!

W sercu mym skrzepła już krew gorąca
I nic już w życiu dziś mię nie bawi.
Oszczercy moi — niech ze mnie szydzą:
Ni ich przeklinam, ni błogosławię —

Wszystko mi jedno! Wszystko mi jedno!

Jeden dzień tylko, czy sto lat jeszcze
Na nędznym świecie żyć będzie trzeba,
Tak dla każdego, jak też i dla mnie
Wystarczy ziemi, by nas pogrzebać —

Wszystko mi jedno! Wszystko mi jedno!

VINCAS KUDIRKA

(1858 — 1899)

H Y M N N A R O D O W Y L I T E W S K I.

Litwo! Ojczyzna nasza, Ty ziemio mocarzy!
Niech z wielkiej Twej przeszłości czerpią moc Twe syny,
A święty płomień cnoty w ich piersiach się żarzy!
Dźwignią Jutra — Narodu będą wielkie czyny!
Niech jasne słońce Litwy im rozświetla mroki,
Niech prawdy miłowanie kieruje ich kroki!
I niech dla Ciebie, Litwo, w imię Twej miłości,
Na Twej ziemi kwiat kwitnie zgody i jedności.

S E R C E M A T K I.

Mając pierś już pozogą występku splamioną,
Starą matkę jam zabił w szaleństwie morderczym.
I nóż swój zatapiając w skrzepłe bólem łono,
Wyjąłem jej tętniące, jeszcze żywe serce.
I nogami je depcząc — oszalały, wściekły —
Poślizgnąwszy się, padłem, ciepłą krwią ociekły...
Wtedy serce matczyne, nowym bólem drgając,
Spytało: „Synu, czyś się nie zranił padając?“

NIE TEN CZŁEK WIELKI...

Nie ten człek wielki, przed którym miliony —
Łańcuchem skuci — głowy pochylają;
Choć krzywdę czyni, biją mu pokłony,
Tyрана chwałą — w duchu przeklinając.

Lecz ten jest wielki, kto z życia swojego
Niesie ofiarę dla szczęścia ludzkości
I słońcem czynu oświeca bliźniego;
Świat przed nim klęka — lecz ze czcią wdzięczności.

Nie ten człek wielki, którego moc cała
We łzach wciąż brodzi, gwałtów idąc drogą,
Którego wielkość z ludzkich krzywd powstała
I ślad swój znaczy mordem i pożogą.

Ten tylko mocen, kto walczy — nie mieczem,
Lecz łą braterstwa — miłości orężem,
Odczuwa sercem wszystkie ból człowieczy
I ulgę niosąc, mrok nędzy zwycięża.

Nie ten jest śmiały, kto w swą przemoc wierzy,
Zgrzyta zębami i jak zwierzę się wścieka,
Nie zna, co bliźni, gdy weń cios wymierza
I w duszy swojej zabija człowieka.

Odważnym można nazwać tylko tego,
Kto śmiało wyzna, co w swej piersi nosi,
Męźnie, wytrwale broni praw bliźniego,
Nędznym tej ziemi światło prawdy głosi.

P R A G N I E N I E.

Gdybym mógł swoją pieśnią nakarmić głodnego,
To pieśń w chleb bym zamienił i nim was nasycił,
Was, którym ten kęs chleba bardziej jest potrzebny,
Niż pieśni słodkie tony i głos jej zwodniczy.

Gdybym pieśniami swymi mógł okryć nagiego,
To tkalbym z nich na krosnach przedziwne spowicia
I osłoniłbym nędzę, co gnębi bliźniego,
Bo nie pieśni mu trzeba, lecz trzeba okrycia.

A gdybym ze swych pieśni mógł postawić ściany,
To bym ducha wyśpiewał, by każdy w ich cieniu
Mógł skryć się przed żywiołów niszczącą potęgą
I schronić się od słońca palących promieni.

Lecz pieśń moja w dal leci... Pragnienie zostaje,
Niemoc gniecie wciąż ducha, nicość niepokoju.
Więc cisnąłbym mą kankłę*) o ziemię w żałości,
Bo wszak zbędna wam ona, o biedacy moi!

A jednak... leć, ma pieśni! Na świeżych ruinach
Bądź tam posłem — nie płaczu, nie krwi — lecz pokoju!
Kiedy ciała nie służysz, nieś pokarm dla ducha
I głoś, że nie na darmo lży tu płyną twoje!

*) Kankla — stary litewski instrument ludowy.

Wokół nie objęty okiem, bezbrzeżny Atlantyck...
 O! ileż to razy
 Przetoczyło się słońce przez nieba sklepienie,
 Odkąd oczy nie widzą ziem Starego Świata,
 Tylko niebo błękitne, tylko fal pierścienie!
 A morze wciąż się gniewa... O statek łopocą
 Spienionych wód zielonych rozwścieczone wały,
 Za to — że śmie przecinać dumną twarz olbrzyma
 Taka nędzna kruszyna — jakby mścić się chciały!
 Jak sierotę z piosenki, tak nasz wątły statek
 Pchają fale w bezdroży otchłanne przestrzenie.
 Ale statek — pierś stawiając złym wichrom i burzom —
 Nie zna ludzkich zawodów, nie zna, co cierpienie.
 Na pokładzie samotny, złym losem znękany,
 W smutnej tonię zadumie, w bolesnym wspomnieniu:
 — Gdzież swe serce zgubiłem? Czemu znikł rozsądek,
 Żem się nie strzegł tej sieci, tkanej mi złudzeniem?
 I pytam własnej duszy, za kim myślą błędną
 Po nieznanym mi świecie w beznadziei gonię...
 O, sny moje! Wracacie? Czy ogrzeję wami
 Serce dawno ostygłe — tak, że znów zapłonie?
 Ach, odżyć! Dać się unieść ożywczej nadziei!
 Ciężkie brzemię tułacze raz już z bark swych zrzucił
 Lecz gdzież znajdę na świecie cudotwórczą siłę,
 Co by mogła potęgę młodych lat powrócić?
 Wichor morski na statek bryztał białą pianą —
 Jedna kropla padając oczy mi zwilżyła
 I zmieszana ze łzami mych źrenic tęskniących,
 W jedną wielką i gorzką łzę się zamieniła.
 Może kiedyś ta kropla w fale Niemna wpadła,
 Stoczywszy się z Litwina smutnego oblicza,
 I — aby mię pokrzepić — po morzach błędziła,
 By mię zbudzić do pracy i nowego życia.

P O M N I K.

Już chyli się, zachodzi słońko życia mego,
Coraz dłuższe się stają jego mroczne cienie,
Uczucia w walce słabną z pragnienia spokoju
I coraz bliżej czuję grobu zimne tchnienie.

A może niezadługo życia kij pątniczy
Zmuszony będę złożyć u progu wieczności...
Lecz tak bym pragnął wysłać do ludzi w gościnę
I tam już pozostawić pieśni mej młodości.

O lećcież, pieśni moje — wy z nędzy narodzone,
Od wsi do wsi wędrujcie, do starych i młodych!
Budźcie wszędzie uczucia, kójcie łyzy niedoli,
Dla serc męką steranych stańcie się osłodą!

Lecz jeśli nie znajdziecie miejsca na tym świecie,
Jeśli serca mych braci już was nie odczują,
To wtedy powracajcie do mnie — do mej trumny,
Gdzie mrok śmierci i cisza już tylko panują.

Nie rozstanę się z wami, o pieśni wy moje,
Siostrzyce nieodstępne moich dni szczęśliwych!
I już razem spoczniemy w świątyni spokoju
Po tych ziemskich zmaganiach i walkach burzliwych.

CHCIAŁEM DIAMENTY WYRWAC TEJ ZIEMI...

Chciałem diamenty wyrwać tej ziemi —
Zebrałem tylko łez rosy lśniące.
Pragnąłem szczęście zdobyć na świecie —
Zdobyłem osty, ciernie kolące...

Pragnąłem zbudzić braci do czynu,
W wspólnym wysiłku sprząc ich ramiona,
Chciałem przemówić do nich swą pieśnią —
Chłód mieli w sercu, lód w głębi łona...

Jednak i dzisiaj pragnę wciąż wierzyć,
Że w sercach ludzkich — cuda tajemne,
Dobra i piękna skarby się kryją,
Jak w wód głębinach — perły bezcenne...

OPUSZCZAJĄ MIĘ SIŁY...

Opuszczają mię siły i jako liść wędnę,
Umysł już leniwieje, serce w lód się zmienia,
Niezdługo przygniecie mię wieko trumienne
I cicho ukołyszają fale zapomnienia.

Lecz serce pragnie wiedzieć... jedno ma pragnienie:
Kiedyż lepiej Ci będzie, Ojczyzno Ty moja?
Czy zaświecą Ci wreszcie szczęścia jasne zorze
I lżej będzie oddychać pierś zdrętwiała Twoja?

O! kiedyż to na Twoim pooranym łonie
Hymn mocarny wolności Twe dzieci zanucą?
Niedolę pomnąc ojców i pradiadów siwych,
Westchną i w swoich sercach pamięć ich ocucą?

J E Ż E L I K I E D Y P Ę T A O P A D N Ą ...

Jeśli kiedyś z nas wreszcie pęta hańby spadną
I Jutro rozśłoneczni nowy, jasny dzień,
Czy dzieci nasze pojną, sercem czy odgadną
Naszych zmagañ beziłę, naszej nocy cień?
 O! cóż nam przyszłość niesie? — Beznadziei mękę,
 A nam trzeba w cierpieniu wiarę w Jutro krześć,
 I choć nikt nam pomocnej nie poda dziś ręki,
 Choć i Bóg nas zapomniał — sztandar wiary nieść.
Wciąż nam w bólu, w żałobie upływają wieki,
Wypłakane źrenice opłynęły krwią.
Szczęśliw, kto już na zawsze zamknął swe powieki,
Bo nie splami on ducha złą rozpaczczą łzą.
 Tak bez rosy ożywczej, zbłądzeni bez drogi,
 Na swych barkach niesiemy jarzmo ciężkich dni,
 Lecz czy burze nam wyją, czy wichur dmie srogi,
 Zawsze w Wszechmoc Twą, Panie, wiara w sercu tli.
Ani jednej łzy więcej nie wypłacze oko,
Opancerzył nam serca czas w pozorny chłód.
Lecz my jak bohaterzy czujemy głęboko,
Zgnębić, zmiążdżyć w nas ducha — to daremny trud!
 O! powietrza, powietrza w umęczone łono,
 Aby wspólny wysiłek wielkim w czynach był!
 Mamyż wizję pogrzebać w duszy wymarzonej,
 Potęgą swoich własnych pogardziwszy sił?
O, jakże los nam ciężki!... Czy to kto zrozumie?
A może imię nasze zmiecie zamęt burz?
Kto w swym sercu ma ufność — walcząc śpiewać umie,
A więc pieśń dziś zanućmy i... czekajmy zórz!

JURATA I KASTITIS

(bałtycka legenda).

Wieczór... słońce się dopala...
Kastitisie! śpiesz do domu!
Matka czeka, patrzy w dale,
Łzę wylewa po kryjomu,
Bo tak groźne dzisiaj morze,
Wicher burzy wód przestworza...

Kastitisie!
Zachód gore...
Widać zdobycz nęci ciebie,
Ze tak czas ci prędko leci,
A myśl twoja buja w niebie,
Gdy na rybki rzucasz sieci.

Już i fala śpi leniwa,
Drży na niebie gwiazd poświata...
Z morskiej toni ktoś wypływa...
To bogini wód — Jurata!
Biała jak fal morskich piana,
Wodorosty opasana.

— Hej, Kastitis! —
Zawołała. —
Po cóż wabisz rybki moje,
Wód królestwo niepokoisz?
Tu ma władza niepodzielna,
Jam Jurata nieśmiertelna!

Kastitisa lęk nie wstrzyma —
Ogniem jego oko błyska,
Męstwem, siłą pierś się wzdyma,
Cała postać ogniem tryska,
Jeno zachwył w sercu czuje —
Prosto ku niej łódź kieruje.

Gdy Jurata
Go ujrzała,
To — radością drżąca cała,
Już niepomna swej boskości,
Ni swej władzy, ni piękności —
Syna ziemi pokochała.

Wnet się sroga burza wszczyna,
Fale wód się zapieniły —
Podziwiając ziemi syna,
Że Juracie jest tak miły,
Że bogini go miłuje,
Oczy, usta mu całuje.

Sen cudowny,
Sen czarowny
Śnił Kastitis w upojeniu.
Szedł w głębiny wód perłowe
I w pałace bursztynowe
Na kochanki swej skinienie.

Perkun, mocny władca świata,
Pierś swą gniewem wnet rozżarzył,
Że syn ziemi do Juraty
Boskiej zbliżyć się poważył,
Skry piorunne rzucił, grzmoty —
Strzaskał cud bursztynów złoty.

Za te winy —
Ziemi syna
Falom kazał umiłować
I w Połudze, gdzie sośniaki
Żółty piasek kryją krzaki,
Aż do śmierci zacałować.

Posłuchajcie wieczorami,
Jak się burzą mórz głębiny,
Gdy z odmętów swych garściami
Wyrzucają nam bursztyny!
Przy tym słyhać jęk, rozpaczę,
Któs zawodzi, któs tam płacze.

Wiesz, kto jęczy,
Łzy wylewa?
To Jurata nieszczęśliwa
Swoją miłość wciąż wspomina...
— O! pałace, co z bursztynów,
Nie dla ziemi nędznych synów!

Gdy Litwinka brzegiem błądzi,
Dar jej niosą mórz głębiny.
Czyjeś serce znajdzie — sądzi —
Gdy ustroi się w bursztyny,
Więc na szyi wciąż je nosi,
Śpiew żaloszny, smętny głosi.

Chociaż milczy,
Kochać umie
I Juraty ból rozumie,
Bo jej pierś jak morskie tonie,
Jak otchłannych wód głębiny —
Śpią tam skarby nieprzebrane,
Tak jak w morzu śpią bursztyny.

MOGIŁY BOHATERÓW.

Gdzie pola kwieciste,
Równiny cieniste,
Litwini brodaci dumają:
Siekiry swe kują
I miecze szlifują
I konie w kulbaki siodłają.

Gdzie zachód ponury,
Nawisły tam chmury
I dymy wciąż czarne się wałą —
Pożary gdzieś niecą
I łuną krwi świecą —
To lasy i sioła się palą.

Czy zwierz tak gdzieś wyje?
Nie! Jęki to czyjeś —
Litwinki rycerzy swych płaczą.
Tę boli zgon syna,
Ta brata wspomina,
Lecz już ich nie wskrzeszą rozpaczą!

Krzyżacka nawała
Moc gości zwołała
I ziemie litewskie tratuje.
Spragniona jest sławy
I krwawej zabawy,
Na zdobycz, na łupy poluje.

Litwinów czekają
I wieści już mają,
Ze moc ich od Niemna napływa;
Ze po wsiach dźwięk rogów
Wciąż wzywa na wroga,
Ze zbrojne zastępy las skrywa.

Wśród bagien, moczarów
Lśnią łuny pożarów,
Przez Litwę krwi drogę wskazują.
Tam chmury nawisły,
Pioruny zabłyły
I cienie ponure się snują.

Wnet ziemia zadrżała,
Jak gdyby powałę
Niebieską Perkunas tu cisnął...
Drgnął Krzyżak zuchwały,
Gdy ożył las cały
I w ogniu miecz krwawo zabłysnął.

O, bitwo straszliwa!
Noc ciebie wstydliva
Przed ludźmi już ukryć wołała.
Ciał setki, tysiące,
Posoką płynące,
Pokazać rankowi nie śmiała.

Lecz mówi podanie,
Ze noc gdy nastanie,
Omijać to miejsce należy,
Bo z mogił powstają,
Spokoju nie znając,
Olbrzymy — litewscy rycerze.

NAD JEZIOREM CZTERECH
KANTONÓW.

Kołysały nas jeziora
Szmaragdowe fale.
Łódź bez wiosła, z wiewem chłodu
Płynęła w oddale.

Słońce w szczytach Alp się kryło,
A Lucerny dzwony
Niosły Bogu nędzę ziemi
W hymnie rozmodlonym.

Płonął w słońcu liść zroszony,
Błyski siał bogate.
Powiewało z gór świeżością
I róż aromatem.

Tkałem wtedy blaskiem zorzy
Swe marzenia złote
I zachwytem hen! w podniebiu
Skrzydliłem tęsknotę...

Wiodłem ją tam Drogą Mleczną,
Kędy szlak gwiazdzisty.
I tam, kędy kraj daleki,
Najdroższy, ojczysty.

Gdzie obrazy lat minionych
Niby żywe wstają,
Jak ogniki błędne świecą,
Tęczę wspomnień grają.

Tam, gdzie malwy lśnią czerwone
Pod oknami chaty,
Gdzie w pstre czapki ustrojone
Georginii kwiaty.

Gdzie me siostry warkocz złoty
Rutą ozdabiają
I gdzie wronych swych koników
Bracia dosiadają.

Gdzie Dubisa modrym pasem
Płynie hen! szeroko...
Nie wiem, czemu łąza się toczy,
Mgłą przesłania oko...

O młodości! Czar dni twoich
Jakby się prześniło.
Jeszcze teraz serce pyta:
Snemże wszystko było?

I obrazy lat minionych
Jakby żywe wstają...
Tęczę wspomnień nęcą, świecą,
Duszę porywają...

PO ŚMIERCI POETY.

O, poeto!
Uczuć twoich tajemnice
Przesiewając jak przez sito —
Chcą wygrzebać wnet krytycy
Każdą w słowach myśl ukrytą.

Przed tłum syty cię wywloką,
Motłoch twą osądzi wartość.
Duchem twym frymarczyć będą,
Piersь sondując ci otwartą.

Twego serca spokój cichy
Hak przebije ciekawości.
Nawet prochy tve gnijące
Już nie będą im świętością.

O, nieszczęsny!
Nie darują ci i pieśni,
Którąś miłość młodą witał.
I odwalić zechcą w grobie
Nawet i wieczności płyty.

Nic, że szczęścia nie zaznało
W życiu serce tve gorące —
W grobie każą ci żałować,
Ześ czuł, kochał za tysiące.

M O R S K I E F A L E.

Morze — to mateczka,
Ma wiele córeczek;
Gdy wietrzyk poczują,
Harują, tańczą...

Jakby biała chusta
Frędzlą postrzępiona,
Zielona sukienka
Pianą ozdobiona.

Wznoszą się, padają,
Skaczą wyżej jeszcze,
Na wyścigi biegną,
Pieszczą się, szeleszczą...

Jak radosne bóstwa,
Wciąż płasają, skaczą —
Biruty ojczyznę
Kiedy ujrzą — płaczą.

Kapią łezki, kapią
Złocistym bursztynem,
Płaczą one, płaczą
Nad bratem Żmudzinem.

MARZYCIEL

wolny przekład:

Sam ja tutaj... w jaśń spowity,
Mknę szybując ponad światy,
Chłonąc piękno i zachwyty...
Cóż mi burze i wichury,
Cóż potopy, co mi chmury!
Nie zna granic duch skrzydlaty!

Mam się dziwić, ziemi dziecię,
Ze wędrując hen! po świecie,
Ominąłem ziemskie błoto —
Lecz ze tam — na górskich szczytach —
Co to czołem tkwią w błękitach,
Przepoilem pierś tęsknotą...

Spójrz na ziemię! Co za raje!
Jakie piękno... cudów kraje!
Czarów złudnych lśnią mamidła...
Czy unikniesz złotej sieci?
Nad ten padół duch uleci,
Nie opadną lotne skrzydła!

Słuchaj! Słyszysz? Niebo śpiewa,
Wokół ciszę, czar rozlewa
I spokojem cię kołysze —
Aniołowie, co na niebie,
Cnót przykładem są dla ciebie,
Byś brał od nich moc i ciszę.

Lecz ich skrzydła w błyskawicach,
Światło boskie na ich licach,
Więc nie bratać ci się z nimi!
Duchu! Mknijże ponad światy,
Nieśmiertelny i skrzydlaty,
Lecz już skrzydły nadziemskimi.

Z M Ł O D Y C H S E R C .

Marynarzu! Gotuj statek,
Bo podróżni już wołają;
Niecierpliwi jak sam Bałtyk,
Oczy ogniem im pałają.

Kto pokrzepił pierś ich młodą,
Czym tak serca im rozżarzył,
Ze pragnienie burz w nich płonie.
Ze odwagą tchną ich twarze?

Tobie, starcze, darmo pytać!
Wiek wiekowi nie jest bratem —
Jakże młodość chcesz zrozumieć
I jej uczuć skarb bogaty?

Hej, sterniku! Hej, do steru!
Na przeźroczy lazur morza
Już ich wiosła cień rzucają.
W odmęt siny wód przestworza
W bój ze śmiercią porywają.

DZWON ZATOPIONY.

Pamięci dra Antoniego Cywińskiego.

Już księżyc pełnolicy ponad lasem zwiśał
I srebrzystym całunem błyszcząc nad jeziorem,
W głębie jego zaglądał... cicho w nurtach tonął...
Była północ... w krąg cisza... liść się nie kołysał...
Każdy dźwięk, co się rodził, zaraz cichł i konał
I zda się, tylko gwiazdy szeptały nad borem.
— Co tam gdzieś huczy spiżowym tonem?
Czy to kościelne biją tak dzwony?...
Byłaby to więc prawda, co baśń o tym głosi,
Że dzwon, co Antoniego ze chrztu imię nosił,
Statkiem tędy wieziony, widać w złej godzinie,
Gdy się statek przechylił — utonął w głębinie —
I przepadł tam bez wieści... Lecz tak powiadają,
Że na wieszczy głos kankli*) fale wnet powstają.
Gdy gra stary Waidiła — wtedy i dzwon dzwoni.
Płynie wolno do brzegu dźwięk z jeziornej toni...
Ale głosów tych tajnie czy ludzie poznają?
Czasem znowu się zdarza — w dzień odpustu święty—
Że dzwon zaczyna dzwonić burząc wód odmęty.
Z hukiem jak grom daleki, toń się wznosi, kłębi
I mocą tajemniczą wód wołają głębie:
— Hejże! Powstańcie, bracia! hej, podnieście czoła!
Powstańcie i tam śpieszcie, gdzie was serce woła.
Karły! W swojej ślepotcie czyż wy nie widzicie,
Że przed grozą zatury bezradnie stoicie?

*) Kankla — muzyczny instrument ludowy.

MOTIEJUS GUSTAITIS

Idźcie łódź swą pchać śmiało hen! na jasne morza,
Gdzie już blaskiem słonecznym dyszą w krąg przestworza.

Idźcie! Dziś wam swe tajnie bór chce święty zwierzyć,
Aby w miłość i jedność pierś wam opancerzyć!
Tak dzwon dzwoni i woła... aż fala go wchłonie...
I znów milczą grobowo wód zamarłe tonie...

— Hej! znów biją, jęczą dzwony,
W krąg spiżowym dźwięczą tonem...
Jakieś dziwne dźwięki wieszczę
W sercu budzą lęku dreszcze...
Czy nieszczęścia wróżą nam?

— Zatonąłem, zatonąłem!...
Ale na dnie choć leżałem,
Złote zamki poznawałem,
Gdzie śpią nasi bohaterzy,
Gdzie blask bije z ich pancerzy...
Tutaj kankle słońcem świecą,
Cuda blasków, czarów niecą,
Skarbów tu zaklętych moc.
Kogo toń tajemnie wzywa,
Nędzę świata mu zakrywa.
Kto w głębinny świat zabłądzi,
Ten szczęśliwy — bo posiadzie
Skarbów tych zaklętych moc.
Zatonąłem... zatonąłem!...

Z R A U D Y*).

Zadźwiewała
Lira śpiewna
I polała się
Pieśń rzewna,
Żalobliwa...

— Oj, ty liro
Nieszczęśliwa!
Czemu każesz łzy
Wylewać?
Każesz płakać,
Gdy nam śpiewasz?
Wszak jeziorko —
Takie czyste
I to niebo —
Tak gwiaździste.
Czemu każesz łzy wylewać,
Gdy rozbrzmiewasz?
Czemu każesz nam tu płakać
Ty — czarowna?

Fale niosą
Rozpłakaną
Pieśń żalobną,
Rozełkaną,
Ogłaszając smutną wieść.

*) Rauda — śpiew żalobny litewski, śpiewany na pogrzebach.

Czego płaczesz,
Piersi zimna —
Ty — jeziorna?
Czy za wcześnie
Gwiazda zgasła?
Czy za wcześnie
Pierś ostygła,
Pierś twa srebrna —
Pierś twa jasna?
Czego płaczesz,
Ukochana,
Czego płaczesz?

Fale niosą
Rozplakaną
Pieśń żałobną,
Rozełkaną,
Ogłaszając smutną wieść...

Już się w borze
Pieśń roznosi...
To dryjada
Woła, głosi...
Już umarła...
Już umarła...
Już umarła...

T R I O L E T Y.

I

Poprzez równin szmaragdy, przez cień leśnych ścieży,
Niby pas srebrnolity, Wilija się wdzięczy.
Jak odblask Mlecznej Drogi, co przez ziemię bieży,
Płynie poprzez równiny i cień leśnych ścieży.

Może błękit niebiosów kiedyś nam się zwierzy,
Ze kwiaty raju rwała strojąc się w blask tęczy...
Przez równiny szmaragdów i cień leśnych ścieży,
Niby pas srebrnolity, Wilija się wdzięczy.

II

Szepcze Wilija, w cień lasów ukryta,
Baśń tajemniczą i starą...
Któż ją zrozumie, gdy w nurtach ukryta
Szepcze Wilija, w cień lasów spowita?

Wieków zasłona przed nami zakryta,
Snów tylko żyjem tu marą...
Szepcze Wilija, w cień lasów ukryta,
Baśń tajemniczą i starą.

III

Mgły białe Wiliję spowiły,
Już znikły i brzegi i rzeka,
Oparów ją falą okryły,
Mgły białe Wiliję spowiły.

Mą duszę marzeniem poiły,
Ze wieków tajń błysła daleka...
Mgły białe Wiliję spowiły...
Już znikły i brzegi, i rzeka.

IV

Białe mgły oparem dyszą
I tumanem ku mnie płyną —
Coś mi szepczą niemą ciszą
I oparem sennym wiszą.
Stary bór do snu kołyszą,
W powódź się zlewają siną —
Białe mgły oparem dyszą
I tumanem ku mnie płyną.

V

Wilijo, ty rzeko moja,
Zatopiona w wieków śnie!...
Czego płacze tak toń twoja,
O, rodzima rzeko moja?

Czerpiesz ból z przeszłości zdroju,
Co wciąż męką poi mnie.
O, ty święta rzeko moja!
Czemu jęczysz tak we śnie?

TRZEBA MŁODOŚCI!

By pieśń słoneczną śpiewać miłości,
Wierzyć marzeniom — snom nieba,
Płacić wysoko liche wartości —
Na to być młodym potrzeba.

By wierzyć w ducha moce świetliste,
Za innych cierpieć w cichości,
I widzieć w błocie skry piękna czyste —
Młodości trzeba, młodości!

PORANEK.

Triolety.

Długo walczył niezdolny
Z srogą nocą zorzy blask,
Księżą Jutra obwieszczony,
Długo walczył niezdolny.

W tajemnicy urodzony,
Nowych dni zwyciężył blask.
Długo walczył niezdolny
Z mrokiem nocy zorzy blask.

STARA PIEŚŃ.

Dwóch synaczków, dwóch junaków, ojczulek hoduje,
Że z nich będzie miał podporę — starzec się raduje.

Jak dębczaki młode, krzepkie — tak wyrosli obaj,
Pokochali jedno dziewczę — jedna się podoba.

Tak obydwaj jedną tylko dziewczynę kochali.

Kto jej miłszy — nie wiedzieli, ani nie pytali.

Aż nareszcie uradzili o to ją zapytać:

— Kogo chcesz z nas, dziewczę miłe, jako męża witać?

Dziewczę, czyste jak lilijka, tak na to odpowie:

— Ten mój będzie, kto Ojczyzny zawsze strzec gotowy.

Ten mój będzie, kto Ojczyzny będzie bronił śmiało.

Młodą głowę swoją złoży za Ojczyzny chwałę...

Ten mój będzie, ten wybrany, miły sercu memu,

Temu będę narzeczoną — płaczką umarłemu.

I wnet chłopcy swe gniadosze obaj osiodłali

I do boku jasne miecze obaj przypasali.

Uzbrojeni, opasani jasnymi mieczami,

Pożegnali dziewczę mężnie, a ojczulka łzami.

Piękne dziewczę i ojczulka swego pożegnali,

Na wojenkę, hen! na Prusów śmiało pojechali.

Na wojenkę, hej! na krwawą — na Prusy — Mazury,

Wypróbować, kto najśmielszy i najmilszy który.

Starły się na równym polu w bitwie wraże moce,

Krew się lała strumieniami trzy dni i trzy noce.

Trzy dni z rzędu i trzy noce krew się ciurkiem lała,

W falach Niemna i Dunaju płynąc czerwieniała.

Krew Niemczyków rzeką ciekła, Niemnem się toczyła,
Naszych braci krew w Dunaju wody zrumieniła.
Dnia pierwszego obaj bracia najmężniej walczyli,
Dnia drugiego wnet braciszka jednego zabili.
Oj! braciszka wnet zabili, padł on dnia drugiego,
Dnia trzeciego i brat drugi leżał obok niego...
— Hej! ojczulku, swoich synów już nie ujrzysz wcale
I dziewczyna niech zawodzi po obydwóch żale.
Oto twoi pomocnicy już, ojczulku, w grobie,
Ani oni oblubieńcy, o dziewczyno, tobie!

M O R Z E.

Pieni się morze... huczy... Bryzga pianą fala
I o brzegi piaszczystych wciąż uderza wzgórz.
Zda się — wszystko zagarnie, uniesie hen! w dale,
Na szerokie przestworza atlantyckich mórz.

Goni fala za falą, toczy się, przewraca,
Jak gdyby na nierówny wzywa z sobą bój...
O, morze! Ty mi powiedz: gdy się raz upadnie,
Można powstać i podnieść śmiało sztandar swój?

O! ty twierdzisz, że można... słyszę to i czuję.
A więc dziękuję! Boś zdarło z ducha mego pleśń.
Znowu wraca mi męstwo. Poświęcę ci za to
Najpiękniejszą z mych pieśni wyśpiewaną pieśń.

TRZY JESIONY.

Hej! na skraju pola rosły,
Rosły trzy jesiony.
Cicho z sobą gawędziły
Chwiejąc liść zielony:

— Żebym to ja był wojakiem,
Co walczy orężem,
To bym słońca mieczem błyskał
I noc bym zwyciężył.

Żebym młodym był oraczem,
Co orze swą rolę,
To bym zorał tutaj wszystkie
Biedy i niedole.

Żebym to ja był bogaty —
Jak pieszczone syny,
To osiodłałbym gniadosza,
Pomknął do dziewczyny.

Do dziewczyny, co tak czuła,
Jak osinka biała,
Objąłbym ją, uspokoił,
Żeby tak nie drżała...

Hej, na polu, gdzie trzy białe
Osinki się chwiały,
Trzy osinki — czule płaczki
Z sobą rozmawiały:

— Gdybym ja dziewczyną była,
Panienką uroczą,
To bym cały dzień od rana
Śpiewała ochoczo.

Gdybym ja dziewczyną była,
Żytko podbierała,
To bym wszystkie łezki świata
W fartuszek zebrała.

Gdybym ja dziewczyną była
I mateczkę miała,
Wtedy czuły, miły liścik
Chłopcu bym posłała.

List posłałabym chłopczynie
Jak jesion giętkiemu,
I całusa bym mu dała,
Szczęście dała jemu.

MOJE SNY.

Czasami mię sny dziwaczne,
Złudne nawiedzają.
To mię wiodą po cmentarzach,
To raj poznać dają...

To weselem twórczym ranka
Świecą i jutrzeńką,
To znów ducha mgłą odrętwią,
Co smętnicą nęka.

Z tej omroczy promienieją
Ku mnie jasne wieże.
Zda się — dziecko by znalazło
Do nich proste ścieże.

Biegnę do nich. Tak już blisko
Wrót złote wierzeje...
Ale co to? Zabłądziłem —
W oczy wicher wieje.

A wierzyłem: wrót zaproże
Gościłą obdarzy...
Złuda znikła. Został tylko
Groźny cień cmentarzy.

Razem tam żaloba mogił
I uczta pospołem...
Cała noc czarownych wizji
Otacza mię kołem.

Migotaniem błyskotliwym
Czar omamień wzrusza,
Pean śpiewa, to znów szarpie
Jak „podzwonne“ duszą.

Sen się mieni, sen się miesza,
Serce me ogrzewa,
To powabne gejsze grają,
To ktoś „requiem“ śpiewa.

Sny te czarów moc przeklętą,
Cudotwórczą mają,
Bo odczucie jawy życia
W wirze swym gmatwają.

Czy jaśnieją, czy mrocznieją,
Próżno pragniesz pojąć,
Tak się gonią, tak zmieniają
Sny dziwaczne moje.

VINCAS KREVĖ MICKEVIČIUS
(* 1884 r.)

Na ludową nutę.

Na ojczulka dworze
 jawor wybujały,
A na tym jaworku
 sokół siadał szary.
A przy dworku stajnia
 nowiuteńka stoi,
Chłopię w świat wyrusza
 na bułanku swoim.
Kielzając, siodłając,
 z konikiem gawędzi:
— Hej! na pańskie dwory
 pojedziem! popędzim!
Nieśże mnie do dworu,
 gdzie młoda dziewczyna,
Co tka cienkie płótno,
 złote żytko ścina.
Co ma kosy złote,
 modre, jasne oczy,
Śpiewa — jak słowiczek,
 i jak łabędź kroczy.
Konik odpowiedział,
 szepcząc mu na ucho:
— Chłopcze, mnie nie pytaj,
 swego serca słuchaj!
Ta dziewczyna piękna,
 która ukochana,
Pod której okienkiem
 czekasz ją do rana.

VINCAS KREVĖ MICKEVIČIUS

W ogródeczku ruta,
co ona zasiała,
Na ramionach płótno —
to, które utkała.
Kroczy tak jak łabędź,
w wieńcu złota główka,
Ma głos — jak słowiczek,
muzyką — jej słówka.
Rano z słońkiem wstaje,
gdy świtać zaczyna,
— Chłopca, gdy pokocha,
to nie zapomina.

S Ł O W O I D U S Z A.

Duch — jak wulkan — wciąż płonie i pierś mi rozrywa
 Uczuciem nienazwanym... Rzeknij słowo mi!
 To jedno tylko słowo... W mrokach świat się skrywa
 I wirem szumią myśli, w piersiach piekło drży.

Muszę znaleźć to słowo. Dajcie mi to słowo!
 Klucz do Sfinksa tajemnic, klucz zaklęty doń.
 Ciemność, w której wciąż błędzę, rozwałbym grobową...
 O Sfinksie! Czemu milczysz, dumnie wznosząc skroń?

Jedno słowo tajemne... Przeciłoby ono
 Płomienną błyskawicą tę chaosu noc,
 Czarne piekiel odmęty i burzę szaloną —
 Wszystko, co się nade mną sprzęgło w ciemną noc.

Niby Orfeuszowej liry ton upojny,
 Zawiodłoby mą duszę do światłości wrót,
 Zabłyśłyby jej nieba słoneczne, spokojne,
 Jak z chaosu przedwieków — promienisty cud.

Wystarczyłaby chwila tych tonów zaklętych,
 Bym z błękitów dosłyszał pieśń przedwiecznych zórz,
 Odczuł ogrom tajemnic, myślą nie objęty...
 Mrok chaosu by zniknął, umilkł zamęt burz.

Już siły olbrzymieją... potęga się rodzi...
 Sfinksie! Zdradź mi to słowo, zdejm tajemnic mgły!

O, Królowo błękitów w złotych gwiazd powodzi!
 W Twym diademie świetlistym wyraz ten wciąż lśni...

BŁYSZCZĄCY PYŁEK.

W twórczego Piękną ożywczym promieniu,
Jakby tęsknoty w drodze do raję,
Co stroją ducha w cudowne marzenia —
Pyłki świetliste wciąż drgają.

Ten nikły pyłek światłem rozświetczony,
Marna kruszyna, którą piękno opromienia,
To — ducha symfonia mocą uwieńczona,
To — poeta w słońcu natchnienia.

TRIOLET Y.

Tak mi drogie bólu kwiaty —
Jakby szczęścia ciche ły,
Jakby jego blask bogaty —
Tak mi drogie bólu kwiaty.

Nie rozdieram z bólu szaty,
Ze skrwawiłeś serce mi,
Mnie tak drogie bólu kwiaty,
Jak i szczęścia ciche ły.

Dni wesela niezmacone,
Lekkie, jasne jako zdrowie,
Dni jesienią nie zwarzone,
Dni radości niezmacone.

Srebrne kruże napełnione...
A co na dnie — któz to powie?
Dni wesela niezmacone
I tak jasne, jako zdrowie.

MAJOWY ŚNIEG.

Wolny przekład.

Przystrojone, ukwiecone marzą w sadzie drzewa,
Miękki wietrzyk je całuje, ciepłym tchem owiewa,
Woń pieszcząca i kusząca wokół płynie... płynie...
Jak aromat jasnej duszy, gdzieś w podniebiach ginie...

Lecą płatki, lecą wonne... świecą śniegu bielą...
I kobierce miękkich puchów po alejach ścielą...

Rój wiośnianych, roześmianych pragnień się unosi,
Niespokojną piersią targa, fale krwi podnosi,
I w niejasnych, już zagasłych snach mą duszę nurza,
Znow ją w cuda wypłomienia, szczęście znowu wróży...

Lecą płatki jak motyle, jak śnieg wiosny lecą,
Na trawnikach jak kobierce srebrnobiałe świecą...

Całe światy, jak te kwiaty, w cuda zakwitają
I śpiewają złudnym czarem, duszę porywają.
W baśń świetlistą, promienistą wszystko się układa,
Bajką śnioną, wymarzoną w serce się zakrada...

Lecą płatki... lecą wonne... świecą śniegu bielą...
I mą duszę odmłodzoną skrzydłą i anielą...

J U O Z A S M I K U C K I S

(* 1891 r.)

E R Y.

Mijają wieki, ery... Ludzie się zmieniają
I ślad po nich zamiata wnet morderca ≠ czas.
Gdzież ich myśli, dążenia? Czy dziś ludzie znają
Serc tych dawnych melodię? płomień, co w nich zgasł?

To, co wczoraj dla wszystkich było wzniosłe, święte,
Czym mógł się chlubić człowiek, czym się szczycił świat,
Dzisiaj, w grobie złożone, zdeptane i zmięte,
Bezlitośnie zagrzebał kurz i popiół lat.

Kto ongiś kamieniami był obrzucon może,
Albo śmierci na stosie musiał hańbę znieść,
Przed tym ludzie dzisiejsi klękają w pokorze
I nisko chylą czoła, śląc mu hołd i cześć.
Tłum...

MODLITWA.

Z ksiązek,
choć dłuęo mię uczono —
modlić się nie umiem...
— ani prosić Boga, ni Bogu dziękować,
padając na kolana —
nie umiem...
Lecz bywają
i takie dziwne chwile,
kiedy — sam nie wiem skąd i dłuęzego —
pierś mą zalewa spokoju świetlistego tyle,
że już nie czuję — być może —
jak powtarzam to jedno słowo:
Boże! Boże! Boże!

L I T W A.

Dla jednych — tyś jest świętą ziemią bohaterów,
Innym — karłów ojczyznę nędzną się wydajesz,
Lecz dla mnieś — jak przydrożna figura Chrystusa,
Co znużonym wędrowcom ukojenie daje.

Późno w drogę ruszając z cichych, smutnych siedzib,
Idę tam, kędy Ranek Wolności mię woła,
I w połowie wędrówki — w zamęcie północy —
Staję przed tobą kornie, pochylając czoło.

Wiem dobrze, że miłosnym, troskliwym spojrzeniem
Błogosławisz łaskawie mnie i moje plony,
Pozwalasz zbłąkanemu synowi tej ziemi
U stóp twoich przyklęknąć z głową pochyloną.

Tyś dla mnie tajemnicą, co kocha i cierpi,
Nie potrafię już lepiej określić Cię słowy.
Tylko w cieniu Twych ramion, co mię chcą przygarnąć,
Odnajduję w swej piersi tętno życia nowe.

I wnet dalej znów pójde — tak jak innych wielu,
Cieniami mnogich cieniów — w noc czarną, straszliwą...
— Ojczyzno! Jasne zorze i dzwony Poranku
Obwieszczą mi, żeś z martwych już powstała żywą.

W JESIENNA NOC.

O milcząca i jasna ty nocy jesieni,
Wymowna, jak jedwabiostrunna kankla*) wajdeloty,
Tyś wszystkie wokół pola, las w ciemnej zieleni
Zalała blaskiem srebra — czarem swej pieszczoty.

Późno wyszedłem z domu na te puste lany —
Swe tęsknicie nasycić niebiosów roztoczą,
I gdym wzrok swój zatopił w gwiazdzistej otchłani,
Tak jak kropla zginąłem w bezkresach tej nocy.

I rychło zapomniałem, że ziemskie tu ścieże
Co dzień depczę — padolny tej ziemi wygnaniec —
I że tak mi dalekie radości rubieże,
Jak te wyże gwiazdziste, jak ten nieba kraniec.

Zapomniałem, że rano, już o wschodzie słońca,
Z twarzą bólem drgającą, w pstrą maskę ukrytą,
Pójdę w tumów chłód świetlny, niosąc myśl gorącą,
Tam, gdzie nikt mię nie czeka i nikt mię nie wita.

Niepomny, że pątnicze dni mej ziemskiej doli —
To zimnej beznadziei, samotności noce,
Kędy duch mój — ten płomień gasnący powoli —
Próżno nieba wygląda w tej ziemskiej pomroce.

Cicha nocy jesienna, jasna i marząca!
Ty masz cudów bezmiary, zdobnych nieba tchnieniem —
A ja mam serce jedno, ciche i tęskniące,
Tobie trzeba czarować, mnie kochać... cierpienie.

*) Kankla — instrument ludowy litewski.

Z E Z Ł O C O N E J R A M Y .

Z ram złoconych się uśmiecha
Twarz hrabiego blada...
Przez rozbite szkła witraży
Fala zmierzchu wpada.

Pusta sala pałacowa
Smutna — jak świątynia,
Tajemnicę swą skrywając,
W szarej fali ginie.

W mroku topią się witraże
Zbite, potrzaskane,
Wątlą nicią pajęczyny
Misternie związane.

Toną w mroku sklepień łuki,
Nadłamane gzymsy,
Smutno sterczą brudne resztki
Starych, kruchych gipsów.

Na wilgotnej, śliskiej ścianie
Pejzaże wybladłe,
Na nich sławne imię Włocha
Gryzie mól zajadle.

Rozpościera czarne skrzydła
W krąg głucha martwica...
— Z ram złoconych się uśmiecha
Hrabia tajemniczo...

— — — — —
Noc już... cisza... ani dźwięku...
Tajemnicy mrok ponury —

Tylko w oknach witrażowych,
 W szklach rozbitych świecą dziury...
Tylko słycać w tej ciemności
 Głodnej myszki gdzieś skrobanie,
I ostrożne i lęклиwe
 Swierszcza nudne skądś cykanie.
— Nie... nie wszystko śpi w pałacu...
 W tajemniczej mroku toni
Patrzą czyjeś smutne oczy,
 Czyjs krok głucho, krótko dzwoni...
Jakieś echo szepcze z cicha,
 To ktoś płacze, ktoś się śmieje...
— Lecz tajemnic tych północy
 Któż zrozumie treść, znaczenie?
Ze złoconej ramy smutnie
 Wciąż uśmiecha się twarz blada,
I z daleka jakieś echo —
 Przez rozbity witraż wpada.
I brzmi grozą w mrokach sali,
 I dwanaście razy głosi,
I z ostatnim uderzeniem
 Kurz z obrazów się podnosi...
Cud to jaki? Bo wnet hrabia
 Ze złoconej ramy schodzi
I bezgłosy, w księżycowych
 Blasków nurza się powodzi...
Nieme, ciche jego kroki —
 I podłoga nie zadudni
Ani drzwi nie skrzypną stare —
 Tylko komar zcichł wylękły,

Tylko myszka gdzieś się skryła,
Tylko mole gryźć przestały...

Hrabia idzie na podwórzec
Po zepsutych schodach sieni,
Przy kolumnie marmurowej
W cichy posąg się zamienia...

Zastygł pałac w łunnym blasku,
Jak olbrzymia trumna biała,
Co bogactwa całe wieków
W kurzu, w pleśni pogrzebała.

Obszarpane z gzymsów ściany
I kopuły się zwały,
Chyląc głowy swe w żalobie,
W głębi ziemi je ukryły.

Ni trawników, ni kwietników —
Wokół wszędzie błoto szare,
Pod resztkami oranżerii
Szczątki palm wyschnięte, stare...

W stawie — tam, gdzie kiedyś pływał
Biały łabędź uroczyście,
Z mułu sterczą gardła chimer,
Które kryją zgniłe liście.

Szpaler drzew omszałych tuli
Most rzucony przez bagniska,
I powojów rząd do alej
Jakby gwałtem się przeciska.

A tam dalej w czystym polu,
Blaskiem łunnym wybielone,

Sterczą chatki nędzne, nagie,
Jakby biedą zawstydzone.

Sterczą gołe te chatynki
I jasnego dnia czekają,
— Na uparty księżyc nocy
Wiecznie głodne psy szczekają.

— — — — —
Westchnął ciężko stary hrabia,
Ze aż lipy zaszumiały,
Z opuszczoną siwą głową
Wszedł w aleje chwiejny cały...

Jak bezdomny błędny tułacz
Przez złe losy osądzony,
Długo włóczył się po parku
Smętny, drżący, pochylony...

— — — — —
Pierwsze złote świty ranka
Już na chatkach się odbiły,
A wciąż w starym dworskim parku
Widma nocy się włóczyły.

Cień to? Mara? I nie dojrzysz,
Kto przy rzece kłękł skulony,
Czy to lilię obejmuje
Łozinowy krzak zielony?...

— — — — —
W wielkiej sali pałacowej
Myszka pilnie znów pracuje...
Znowu świerszczyk w kącie cyka,
Znowu pająk sieć swą snuje...

Ze złoconej ramy smutnie
Stary hrabia się uśmiecha...
— Na rozbite szkiele witraże
Pająk pilnie sieć zawleka...

NA SZCZYCIE.

Kto podnoże gór nakrył niebiosów błękitem?
Kto złoto, srebro wylał z czar wiosną szumiących,
Pozatapiał w głębinie miast wyniosłe szczyty
I złożone kopuły latarni błyszczących?

— Smutno mi, że nie znałem tych mórz ni przystani,
Zem nie wiedział o statków cudotwórczej sile,
I zem nigdy nie sądził, iż tutaj — na świecie —
Jest błękitnej swobody i wolności tyle.

Z GÓRY.

Gdy tak z góry spoglądasz w mórz sine przestworza —
Czujesz się niby Bóg,
Jednym, zda się, spojrzeniem i ramion zamachem
Wszechświat byś objąć mógł.

I drogę gromogłośnych statkom oceanu
Palcem byś kreślił rad,
A spiętrzone żaglowce, jeno swym oddechem,
Zdmuchnął na inny świat.

Jacht biały byś zatrzymał wyciągniętą ręką
Wśród oceanu wód,
I cicho byś się zaśmiał, kładąc go na dłoni:
„Jaka miła zabawka — ten maleńki cud!”

Z G A S Ł Y Ś W I A T Ł A...

Zgasły światła... i ucztą naszą już przerwana,
Girlandy, wonne wieńce potargała burza,
Czara nie wypita... pieśń nie dośpiewana,
Zgasły światła... już radość serc nam nie odurza.

Zgasły światła... Znów cisza... Smutek znów się skrada
I serce lęk owiewa i nikła tęsknota,
Duch w modlitwie i skardze bezsilnie się miota...
Zgasły światła... Samotność znów cicha i blada.

Zgasły światła... Pragnienia tajone, niejasne
Na zimne nasze usta już żarem nie spłyną —
Sen cudowny gry uczuć w cichości przeminął,
Zagasły już światła... zagasły... zagasły...

P I E Ś Ń R Y B A K Ó W.

Bijcie, bałwany, bryzgajcie w nas pianą,
Szalejcie, burzcie się, fale!
Na grzbietach swych nieście tę naszą łódź białą,
Przez wiry wciąż czarne miotaną —
Od brzegów piaszczystych w mórz dale.

Jak białoskrzydłe mewy wciąż płyniemy,
Mierzając ten przestwór wód siny,
Swobodę i skarby, i złote bursztyny,
Co od nas zazdrośnie chowają głębiny,
My z czarnych odmętów wydrzemy.

— Hej, druhy! Raz wreszcie podnieśmy już czoła
I pierś swą nadstawmy mórz falom,
Gdy sroga pieśń wichrów do walki nas woła,
Gdy bezdnie odmętów śmierć zieją dokoła
I plują w nas pianą zuchwale.

Choć żagiel twój biały dziś z masztu zerwiemy,
Choć ster nam pochłoną głębiny,
Lecz sercom uderzyć w rytm wspólny każemy,
Wysiłkiem zwycięskim do brzegu dotrzemy,
Łódź wiry burzliwe ominie.

Już fale w promieniach słonecznych błyskają,
Nie mogą nadążyć nam w biegu;
Łódź chybka już ptakiem szybuje do brzegu,
Gdzie siostry, z tęsknotą dzień cały czekając,
Uśmiechem zwycięzców witają.

KLEOPAS JURGELONIS — KALEDU KAUKĖ
(* 1885 r.)

Pusto... jakby w przestrzeni bez powietrza, słońca,
jak w mej piersi — bez pragnień, bez zorzy nadziei...
Pusto... choć się coś budzi, to zaraz umiera,
jakby w dzień ten pochmurny, gdy ranek mgły sieje.—
Próżno wtedy o słońce modli się co żyje,
ranek gęstą pomroką radość życia kryje...

Pusto... jak na mogile opuszczonej mnicha.
której smętku ni trawa, ni kwiat nie ukrywa.
Pusto... jak na cmentarzach, gdzie już płacz ucicha
i tylko echem jęku boleść się rozplywa,
i choć w duszę cierń wbija, rwie ją hen! w niebiosa,
aż ją wchłoną błękity, jak łez czystych rosę.

MORZE I DZIEWCZĘTA.

Co więcej nęci? Morze czy dziewczyna —
Sam nigdy nie wiedziałem,
I przepych morza, i krasę dziewcząt
W zachwycie podziwiałem.

Na morzu białe powstały piany,
Prysnęły srebrem sinym...
— Warkocze dziewcząt się rozsypały,
Błysnęły mi bursztynem.

Wicher się zmienił, burzliwe morze
Coraz to groźniej szumiało,
— A razem z wichrem i moje serce
Coraz wymowniej wołało.

Wiatr pianą bryzgał i biegł już ku mnie
Falując przestwór siny...
— Sam nie wiedziałem, kogo ja kocham,
Czy morze, czy dziewczyny...

C Z Y W I D Z I A Ł E Ś ?

Czy widziałeś
ojca, co po pracy znoju,
znalazł w domu dzieci swoje —
trupy, opuchnięte z głodu?
Czy widziałeś rozpustnice,
co uśmiechem krzywiąc lice,
kryją w piersi ból zawodu?
Czy widziałeś?

Czy widziałeś,
jak Kozacy — wschodu kaci
nahajkami siekli braci,
rozpędzając tłum zgłodniały?
Za zasługę sobie mieli,
że co litość — nie wiedzieli,
że ich drogę trupy ślały!
Czy widziałeś?

Czy widziałeś —
matkę, co to obłąkana,
bosa, naga, tak co rana
na grób syna rwie się w bólu?
I wciąż łzami ziemię zlewa,
kołysankę dziką śpiewa
i pień sosny w lesie tuli?
Czy widziałeś?

— O, ja wszystko to widziałem,
otchłań męki i rozpaczy.
Nad swą dolą już nie płacę.
Czymże serca mego rany,
z losem walka, trud zmagania
w ludzkich cierpień oceanie?
— Cieniem tylko, kroplą małą...
Wszystko... wszystko to widziałem...

W O J S K O P R A C Y.

Wypełzają o świcie z ciemnych bram i sieni
I przez miasto uśpione suną cień za cieniem —
To zaciąg pracy milczący, ponury...
Już przeszli... Stare ulic kamienie cicho jeszcze dzwonią,
Zieją fabryk kominy dymów duszną wonią —
Przybyszów witają ich mury...
Gdy noc miasto otuli w zmierzchu ciemne skrzydła,
Zaryczą ostrym gwizdem krwiożercze straszidła,
Znów śpieszy tłum szary, znużony...
— Nieszczęsny, kto ubóstwa poznał mękę srogą,
Od dzieciństwa wciąż krocząc ciężkich zmaganiń drogą
I na starość nią wlec się zmuszony.

N O W E Ś W I T Y.

I

Sroga śmierć zwarzyła kwiaty,
Zieleń sadu rozrzuciła,
I zbolale łono ziemi
Łańcuchami obciążyla.

Już nie słyhać dźwięcznych pieśni,
Słońce świecić nie ma siły —
Zanim błysły jutrzni zorze,
Zgotowała śmierć mogiły.

Lecz ja czuję zew mocarny,
Co zakłóci martwość ciszy,
Czuję pieśni tajnych tchnienie,
Którym Jutra ranek dyszy.

II

Barw purpurą zorza świta,
Ranek Jutra już zakwita,
Lecz co niesie, któż to wie?
Grzmią wystrzały piorunami,
Ziemia ściele się trupami —
W tych ciemnościach i w tej mgle.

III

Czy znasz Nowego Rana płomieniste lato?
I dzwonów uroczyste czyś słyszał hejnały?
Czyś widział dzień swobody radosny, bogaty?
— Ranek Jutra nadchodzi, idzie w blaskach cały!
Czyś słyszał, że nędzarze z pęt już wyzwoleni,
I czy wiesz, że niewolę w grobie pogrzebano?
A gdy wiesz już — mocarną zanuć pieśń wolności:
O! witaj nam promienne, wielkie Jutra rano!

NIE PŁACZCIE NAD MOGIŁĄ...

Nie płaczcie nad mogiłą dzielnych towarzyszy,
Bo każdy z nich już zdobył imię bohatera —
Za ideę walczyli... Walka ofiar żąda...
Szczęśliwy, kto za wolność, za sprawę umiera.

Nie żegnajcie ich grobów raudą*) smutku rzewną,
Ale szlakiem ich dążcie i wytrwajcie w czynie!
Cel zdobyty wspomnieniem będzie bohatera,
Nieśmiertelnym się stanie, chociaż w boju zginie.

Wspominajcie nie straty, nie śmierć, ni mogiły,
Ale walkę zaciekłą i bezmiar zapału —
Bo lepszego pomnika przecież im nie trzeba,
Jak — spełnienie ich pragnień, marzeń, ideałów.

*) Rauda — pieśń żałobna litewska śpiewana na pogrzebach.

D O P O E T Y.

Pamiętasz? W fortepianie, pomiędzy strunami,
Bił skrzydłem biedny motyl w śmiertelnej agonii,
Struny cicho szeptały... a dźwięk ich falami
Grał mi w sercu, jak echo ptaszęcej symfonii.

I któż wtedy by odgadł, że czyjeś cierpienia
Ton pieściwy nokturnu obudzą w twojej duszy
I falując tremolą, splecą takie drgnienia,
Co miękkim dolce dźwięków serce porwą, wzruszą?

Ta przedziwna muzyka myśli twe splątała:
Pragnąłeś w sercach ludzkich wzniecić żar miłości,
A płaczesz, że twych pragnień pieśń nie wyśpiewała —
Lutnia twoja łąka tylko bólem i żalnością.

Niemen toń swą kołysząc, ludziom pieśń swą głosi
I żalną melodią, zda się, płaczą fale,
Ludzie wolą pieśń wichru, gdy radość przynosi,
Bo łatwiej ton jej pojąć, niż skargi i żale.

DWA OBRAZKI.

Piękny nasz Niemen pod Kownem, gdy zorza
Na jego czystej, migotliwej fali
Ogniem purpury przestworza zaleje
I wszystkie tęcze i blaski zapali.
— Cisza... gdy wietrzyk całując zawieje,
To, zda się, słyszysz, jak ptak tam się chwieje
Na białym żaglu, co leży już spuszczoney...
Na brzegu sosny, wciąż chwiejąc głowami,
Szepczą, przeszłości kołysane snami —
Przeszłość tu drzemie w marzenie spowita...
— Nas — młodych — ranek nadzieją Zórz wita...

.....
Piękny jest Niemen pod Kownem, gdy nocą
Pasem srebrzystym miasto opowije,
Gdy gwiazd miliardy na falach migocą
I przepych nieba jak w lustrze odbija...
Gdy księżyc blade w nim swe lice myje —
On płynie cicho, znacząc drogę jasną
Złotymi gwiazdy, co drząc w toni, gasną...
— Spórz, jak tam cicho fala łódź kołysze,
Jak kołysanką wciąż do snu kolebie,
I... jaki spokój na ziemi i niebie,
Jaką harmonią cały przestwór dyszy...

ZORZA LITWY.

Spieniły się fale życia, wściekają się, ryczą,
Bo rozdarły skry piorunne mą pierś błyskawicą.

Geniusz śmierci mórz odmęty grzmotami skołysał,
Coraz ciężej, coraz groźniej czarną chmurą zwiślał.

Żadna gwiazda już nie płonie swym blaskiem nade mną,
Mgły ponure świat spowiły w tuman ciężki, ciemny...

Patrz! już gasną skry piorunne i mgły ustępują,
Fale cichną i spokojem jasny dzień zwiastują.

Coraz dalej... coraz jaśniej...

Patrz! Tam statek — Zorza
Podniósł żagle białe, czyste i pędzi w przestworza —

I jak łabędź śnieżny płynie, jako dźwięki liry,
Pieśń nam śpiewa cudotwórczą, omijając wiry.

A na maszcie, na banderze Sowa — symbol — świeci
I mądrością tajemnicy wiarę w Jutro nieci.

W walce z wirem jej promienie nabierają mocy,
Coraz głębiej się chowają cienie mrocznej nocy.

— Patrz! Kaskadą światel płynie Zorza promienista
Coraz dalej... dalej... dalej... jasna, twórcza, czysta...

GDYBYM W SWEJ PIERSI WOLĘ ZOLBRZYMIŁ...

Gdybym w swej piersi wolę zolbrzy mił,
A z żalu serca wzniecił pożogę —
To bym zbłąkanym w ciernistych ostach
Ważył się wskazać ku Światłu drogę.

Gdyby mię muzy umiłowaly,
Darząc mą lirę w cudowne dźwięki —
O! jakąż mocą brzmiałyby tony,
Budząc głąb uczuć echem piosenki.

K R Z Y Ź.

Na krzyż stary spoglądam smutnymi oczyma --
Na ten pomnik zbutwiały nieszczęśliwych dni,
Nędzę srogiej pańszczyzny dziś mi przypomina
I jej dzieci łyzy...
Krzyż kona w opuszczeniu... Znużony podróżny
Nie pochyli się kornie przed szerniałą męką,
I tylko leśne ptaszę, co pieśń niebu dłużne,
Czasem tutaj zawita echem swej piosenki.
Wokół łąka fałuje, trawy głowy kłonią
I drżą wiatrem pieszczone, dysząc słodką wonią,
Kwiaty barwą się śmieją, a śnieżysta brzoza
Wabi z dala swą bielą, niby dziewa hoża.

Wszystko tutaj wre życiem... Tylko krzyż zbutwiały
Śni posępny sen śmierci — martwy, poczerniały...

HARMONIA SNÓW.

Lżej niż słodki wiew zefiru,
Ciszej niżli płacz sierocy —
Smutek spadł mi na powieki,
Snieżyнкami snów na oczy.

I pomknęły sny w podniebia,
Ducha wyzwoliły z ciała,
Świetlistymi marzeniami
Znużonego kołysały.

Splotły taki dziwny obraz,
Który smutków leczył rany
I uśmiechy wiosny rodził —
Tak radością był owiany.

Jak te iskry, co wiatr niesie,
Ogniem pragnień migotały...
I wysoko hen!... w przestworza
Marzeń skrzydła szybowały...

Skrzydła marzeń wciąż wabiły
W czar zapomnień duszę moją —
Spoglądałem w zórz oblicza
W zachwyceniu i spokoju.

B A B C I A.

Ranny wietrzyk ją całuje,
Goni szary z twarzy smutek,
— A babunia wciąż pracuje,
Warczy ciągle kołowrotek.

Koło kręci się i brzęczy,
Ciągnąc kądziel nic się snuje,
Aż powietrza fala jęczy
I po kątach pogwizduje.

Drgnęła babcia... za len chwyta,
Twarz jej jako chusta blada —
Bo — jak mówią — to gwizdanie
Koniec życia przepowiada.

O C Z E K I W A N I E.

Od wieków na wschód świata kierując spojrzenie,
Zmian ledwie przeczuwanych człowiek zawsze czeka,
Lecz niebiosa nam inne widzenia zsyłają,
Bo kir czarnych złowróźbnych chmur wciąż je zawleka.

Nieraz pierwsze ożywcze promienie wiosenne
Przemówią nam do serca, wskrzeszając nadzieję —
I znów w sercu się budzi zgnębiona odwaga,
I w ciepłe tych promieni lód zwątpień topnieje.

Oto wichur znów idzie, niosąc deszcze, słoty,
Gasi twoich zórz blaski, rozwiewa marzenia...
I znówu na wschód patrzysz z bolesną tęsknotą...
Znów topnieją — jak z wosku — twej duszy zwątpienia.

N O C Ą.

W szumie płyniemy... fale zwalczamy...
A morze mgliste, czarne, burzliwe...
Mocą skupieni wciąż dnia czekamy,
By nas uniosły głębie ruchliwe.

Kiedyż ty, słońce, zapłoniesz w fali,
Aby z ptakami nas witać z dali?
Kiedyż nas wyrwiesz z tej mgły i cieni —
Bośmy już chorzy... nocą zmęczeni.

Statek się wznosi, to znów opada,
Chwieją się maszty, kołyszą liny,
A twarz sternika — trwożliwie blada,
Bo znikły gwiazdy i brzegi sine.

W szumie płyniemy, fale łamiemy,
A morze czarne, burzliwe, mgliste —
Mocą skupieni wciąż dnia czekamy,
Kiedy poniesie nas toń przejrzysta.

JASNO... SŁONECZNIE...

Jasno... słonecznie... Nad Niemnem cisza,
Tylko hen! w dali srebrem mewy lśnią
I nad wyspami krzykliwie wiszą,
Zamiecią bieli spadając, drżą...

Lasy się tłoczą na gór brzeźnych skronie,
Cała przyroda śpi w zielonym śnie...
I całe niebo w falach Niemna tonie,
A przy źródełkach klękły cicho wsie.

Gdy w dali gwiazda otworzy podniebia,
Łuną rozleje swą złocistą jaśń —
Oracze stają, każdy pyta siebie,
Czy to zmierzch tylko, czy świetlista baśń?

SPIEW OJCZYŹNY.

W kraju, gdzie kłosa obok granitu,
Gdzie wiatr północy w mglistym niebie buja,
Rzekłem tam morzu zimnemu i żytu
I górcom, które bór czarny otula:

— Hej! za morzami jest cicha kraina,
Ojczyzna, strojna w kwieciste zagony,
Gdzie śpiewa czarem swym każda równina,
Pieśń szepczą dębów, lip starych korony.
Pieśń to upojna jak doliny kwiatów —
Pieśń ta jak fala na jeziorze złota —
I tak szeroka, jak bezbrzeż zaświatów,
Jak za wiecznością tej ziemi tęsknota.

Ta pieśń i tutaj spotkała mnie echem,
I tu wionęła tamtych pól oddechem —
Kłękłem przyjmując w łono święte dźwięki,
Słowem niewdzięcznym chwaląc czar piosenki.
— Pieśni! twe tchnienie niech duch mój roz tęczy,
Imię Ojczyzny pierś moją ogrzewa,
Niech echa falą rozgłosną nam dźwięczy,
Pieśń nieśmiertelną niech nam w duszy śpiewa.

WSCHÓD SŁOŃCA NA MORZU.

Już czekamy!... Wnet syreny gwizdek gwizdną!
Noc żegnamy! Dzień świetlistym okiem błysnął.
Gwiźdź, syreno! Dzień się rodzi!

Patrzym w dale... Błyszcz w słońcu odmět siny,
Pędzą fale... sieją złote w krąg bursztyny,
Słońce wschodzi... słońce wschodzi!

Czy to widma? Czy obłoki jak wież szczyty?
A horyzont jak liliami nam zakwita,
Morze, fale płoną, kwitną!

Witaj, ptaku ogniopióry, ptaku morza!
Rano z słońcem cię zbudziła świtów zorza,
Witajże nam, witaj! witaj!

Takżeśmy wcześniej z złotym słońcem wstali!...
Nasze myśli i widziadła roztapiają się już w dali...
Toną... nikną w złotej fali!

WIĘZIENIE.

Wybladłe twarze,
Mchem piersi pokryte,
W stalowym wzroku — zemsty krzyk,
W złą godzinę zrodzeni,
Niewolą skrzywdzeni,
Przez wieki tak trwają, przez lata i dni.

Tyle sióstr i braci tyle,
Którzy szli tu jęcząc w męce,
Odpoczywa już w mogile.
— Czemuż niebo innym szczodre
I krwią ojców złana ziemia
Dla nich tylko ma więzienia?

Mijają dni i lata — jak złodzieje — i nigdy nie wracają
I słońca blaski, co kwitły wczoraj, powrotu już nie znają.

W niewoli wolni — w więzieniu mocni,
Z wieków przez wieki — niepokonani,
Ogień pierwotny i nieskalany
Piastując w łonie, czekają świtów —
A z nimi zemsty
I stali zgrzytów...

Niebo się krwawą luną zapłoni,
Wieść po Ojczyźnie dzwonem zadzwoni. —

Więc otwórz swe łono —
Niech serce ożyje!
Bo stal brzęcząca
Ciszę tej nocy,
Jak kropla, co spada —
Rozbije...

PIEŚŃ O ZACHODZĄCYM SŁOŃCU.

Fragment.

Z boleścią co dzień patrzę — wśród ciszy wieczora —
Jak gaśnie złote słońce — hen! za ścianą boru.
I tak mi żal tych blasków mrących na niebiosach,
Jak kwiatów, które więdną... jak porannej rosy.
A gdy słońce na niebie wciąż wyżej i wyżej,
To i moja piosenka brzmi szerzej i szerzej...
I gdy cały już przestwór zapłonie pożarem,
Dźwięczą w mojej piosence strun potężnych czary.
Łatwo śpiewać, gdy słońce tak wesoło świeci
I świat cały rozśmiany jak twarzyczki dzieci.
Lecz gdy słońce zagasa — płaczą nawet dzwony
I — jak brzęk kos dalekich — drżą piosenki tony.
Jakże słońcu zazdrozczę tych jasnych przestrzeni,
Kiedy ognie brylantów sypie z swych promieni
Lub rozpęta szaloną i ożywczą burzę
I ziemię z niebem splecze i w zamęcie nurza;
To jak bóstwo łaskawe blaskiem ziemię kwieci,
To znów ciemne przepaście, jak niebo, oświeci.
A mnie pogrążonego wśród dum i zachwyków
Któż ku słońcu powie — na ucztę błękitów?

SZLAKAMI BOGÓW.

Fragmenty.

II

Zakwitła ziemia
Barwą korali,
Szept traw i łożin
Płynie z oddali...
Jak źródło chłodna
Ta nocka biała —
To gasi gwiazdy,
To znów zapala...
Płaczą gdzieś kwiaty
Dzisiaj zerwane...
I serca płaczą
Już zapomniane...

Idę do ciebie...
Przyjmiesz me dary —
Sokami wiosny nalane czary?
Czy będą dla cię
Gwiazd tych odbłaskiem,
Co w nieb głębinie płoną i gasną?

III

Przyjdź w wiśniowy sad,
Gdy liść spada z drzew,
Kiedy wyje wiatr —
Jak w pustyni — lew!

Gdy pstre lipy, jarzębiny
I ich cienie przełęcznione
Płaczą z wichrem i zawodzą,
Tak jak dusze opuszczone...
Przyjdź w wiśniowy sad!

Ścieżki długie — długie kroki,
Mgła jesienna i wichura...
Rozechwiane wiśni kosy
Chyli jesień zła, ponura...
Błędne ognie gdzieś z oddali
Przyszły tutaj zabłąkane...
Łkają dusze zapomniane...
Mgła jesienna i wichura...

Jakby cienie nikłe, blade,
Co skradając się, pełzają,
I boleśnie, cicho jęczą
Ran ukrytych dotykając...
Jak kochanek zimny nocą,
Co oziębłe cię popieści —
Tak wiatr ziębi, wyje, skomli,
Dolę smutną tobie wieści...

Wiśniowy sad. Jesienny wiatr.
Duch zapomniany się żali!
Tęczowy sen, promienny sen
Przywołać chce z oddali:
Słońce paliło. Owoce siało,
I soki w kwiaty wciąż nalewało...

— — — —

W wiśniowym sadzie szumią, jęczą drzewa...
Wicher o duszy zapomnianej śpiewa.

K O S I A R Z.

Na ludową nutę.

Przekos wnet ułożę
Hen! długi na łące —
Koniczynki białe
Pościnam pachnące.

Głośno brzęknie kosa
W twardą stal kowana,
Siostra mi przyniesie
Pas przyobiecany.

Nie ten, w który kosiarz
Stroi się co rano,
Lecz barwny — jedwabiem
I włóczkami tkany.

Siostrzyczka daruje
Pas, co w róże szyty,
W nockę księżycową
Z nadziei uwity.

Przyniesie mi wody
Z przeczystego źródła,
Gdzie białe łabędzie
I sarny się poją.

Siostrę pocałuję,
Wdzieję pas siostrzany,
Co z jedwabiu cały,
W róże barwne tkany.

— Koniczynkę złożę
W przekos wonny, biały...

OBUDZONY WAJDELOTA.

Przyśnił mi się dziś nocą Rambinas*) prastary,
 Jak zamierzchłej przeszłości uchylał zasłony.
 I widziałem tam kamień olbrzymi, omszały,
 Gdzie groźnego Perkuna ofiarami czczono.
 U stóp jego lśnił Niemen, w czar nocy spowity,
 Jakby lekko oddychał, czy drzemał ściszony...
 I tak wieki falował, w zieleni ukryty,
 Ten powiernik radości i bólów minionych:
 Nieodgadłe ich tajnie w głębinie swej chował,
 Aby potem wyszeptać to duszy Litwina...
 O! bo niegdyś tam Litwin i szczęście znajdował.
 Dzisiaj sławy tych dziejów nic nie przypomina —
 Pochłonęły ją czasu przepaściste tonie.
 Czas uśmiercił już bogi, czas zagasił znicze,
 Nie palą ich już czyste wajdelotek dłonie.
 Gdzież są święte kapłanki? Ich ruty dziewicze?
 Znikły!
 Zamilkli wajdeloci, ich śpiewne modlitwy,
 A z ołtarzy popioły już tylko zostały,
 Porębą smutną sterczą lasy dawnej Litwy.
 Nie słyhać tam ni zwierząt, ni ptaków gonitwy,
 Jeno wicher — olbrzyma władający mocą —
 Wolny i wszechpotężny pieśń swą wyśpiewuje,
 A czasem znów zgiełkliwym skrzydłem załopocze
 I głębiny niemeńskie bólem rozfałuje.
 Posępnie szumiął wicher... Naraz wstrzymał tchnienie.
 Zamilkły Niemna fale. Spłonęło rozblaskiem
 Tysiąca gwiazdnych oczu niebieskie sklepienie...

*) Rambinas — góra.

Gdy wtem — na Rambinasie grom uderzył z trzaskiem.
Wnet się z hukiem rozwarło góry świętej łono
I biała postać starca nad otchłanią staje.
Snieżyste jego szaty dziwnym blaskiem płoną.
Starzec wokół spogląda — góry nie poznaje.
„W jakim to kraju jestem? Jakże się nazywa?“
Głos starca brzmi grobowo, echem się rozplywa...
Lecz kamień nawet nie drgnął — martwy i milczący,
Więc i starzec wnet milknie, wznosi w górę oczy,
A na niebie — jak niegdyś — płoną gwiazd tysiące
I księżyc — tak jak niegdyś — tarczę srebrną toczy...
Wtem błysło przypomnienie. Jęknął głucho starzec:
„Tyżeś to, święta góro, to ty, Rambinasie?
Więc gdzie są twoje znicze? Gdzie bogów ołtarze?
Święte dęby stuletnie, tve puszcze i lasy?
Gdzież pieśni wajdelotek, ich ruty zielone?
Gdzie twierdze niedostępne, wodze niezmożone?
O, Perkunie! Wróc Litwie dni jej dawnej chwały!
Obudź życie! Rzuć tutaj kulę piorunową —
Niechaj dzień już zaświta — kraj powstanie cały
I niech życie zakwitnie potęgą od nowa!
O, Perkunie!“

Lecz tylko gwiazdy migotały
I szemrały głębiny... Starzec jeszcze czekał
I patrzył — patrzył smutno na krainę śpiącą,
Lecz milczał groźny Perkun i z zemstą swą zwlekał.
Wreszcie starzec zrozumiał, że go nikt nie słucha,
Że na jego wołania nikt nie odpowiada,
Że wokół noc martwicy, dziwnie mroczna, głucha,
Że tylko kretów w piasku kąpie się gromada.
„Czemuż dziś mię na boleść srogą obudziłeś,
O, przeklęty!
Czemu popiół rumowisk ujrzeć pozwoliłeś?

P U M P U R A S

Czemu znowu cię widzę, Rambinasie święty?“
I upadł starzec jęcząc, i ziemię całował —
Aż opar wstał znad Niemna i we mgły go schował...
I znów cisza zaległa... cisza snu grobowa...
Gdzieś ptak się zatrzepotał... gdzieś jęknęła sowa...

PETRAS VAIČIUNAS
(* 1890 r.)

Kto tęsknotą na ziemi duszę ma znękaną,
Gdy ją nawet czar nocy nie ukoi cichy,
Niech mi niesie łzę każdą w skrytości wylaną,
Ja otworzę jej lilii śnieżyste kielichy.

KRÓLEWNIE WSCHODU.

Towarzyszce dni moich — Stefie.

Za twoje marzenia kwiatów niosę wiele,
Niosę ci za nie białe, wonne bzy,
Za twoje marzenia róże do stóp ścielę,
Które poiły ros poranne łzy.

Za twoje marzenia kwiaty skwitną tobie
Takie, co kwitną pieśczone jak ty,
Nie ścięte bólem, bez smutku żaloby.
Za twoje marzenia pieśń tę śpiewam ci.

Za twoje marzenia oddam wszystko tobie:
Serce, co kocha, i radości sny,
Za twoje marzenia blaskiem cię ozdobię,
Zorzą poranku, co się w niebie skrzy.

Marzenia twoje — duszę mi zabrały,
Świat rozjaśniła snów twych złota jaśń.
Nie straszne burze ani wichrów szalały,
Gdy ty mi śpiewasz swej miłości baśń.

P O E T A.

Może z słońcem przyszedłem gdzieś z mglistych oddali
I znów śpieszę w zachodu promieniste zorze;
Duch mój wiecznie się zмага, ideą się pali
Chcąc ogarnąć świat cały w swych płomieni morze.

Smutek, boleść i radość jednakowo witam,
Bo wianek swój chcę splatać z wszechżycia promieni,
Wszystkie ludzkie uczucia w swym sercu zamykam
I świat cały przemierzam na skrzydłach marzenia.

Pogodne me oblicze zawsze promienieje,
Bo człek każdy mi bliźnim — brata ma zalety,
A moc moja wciąż rośnie, duch mój potężnieje,
Bo na czole mam stygmat — pieśniarza poety.

P R Z E D P O D R Ó Ż Ą .

Nasze dusze słońce wzywa,
A więc idźmy przez mogiły —
Tam, gdzie fala czynu żywa
Wnet zolbrzymi nasze siły.

Światli, czynem wytrzeźwieni,
Zagiel śmiało podniesiemy,
Dążąc naprzód niestrudzeni
Ster ku słońcu skierujemy.

Popłyniemy przez otchłanie,
Tam, gdzie dal tryumfem błyska —
Lęk ni trudy nas nie złamią —
Z naszych wioseł słońce tryska!

Siłą, męstwem uskrzydleni,
Przestwórz cały ujarzmimy;
Burzą, wichrem nie zwalczeni,
Wrót przyszłości uchylimy.

Tam — gdzie przysze dni uspione,
Gdzie na straży słońc granice —
Zedrzym wieków wnet zasłonę,
Wieszcząc Jutra tajemnice.

Z A P R O S Z E N I E.

Winem się pienią kryształne puchary,
Na stole róże płomienieją krwiste,
Marzeń upojnych wibrują tu czary
I wabią serca w swe szlaki gwiaździste.

Siądźmy beztroscy za biesiadnym stołem,
By złotym winem sycić swe pragnienia,
Niech duch rozbłyśnie, jak puchar kryształem,
By go mgły smutku nie zamięciło tchnienie.

Siądźmy wiośniani za stołem radości,
Niech nikt dni smutków ani łez nie liczy,
Póki czar marzeń w sercu dzisiaj gości,
Niech zniknie troska z naszego oblicza.

To życie młode w pucharach się pieni,
Wino rozkoszy obiecują róże...
Idźmy słoneczni, przez ból nie zwalczeni,
By czarów życia do dna spełniać kruże.

P R E L U D I U M.

Gdybyś słońca nie pragnął i nie czekał świtów,
Na rozterki w swym sercu gdzie byś znalazł leki?
Zagasłyby i gwiazdy, spadły ci z błękitów,
I pełzając przyziemnie, tliłbyś się przez wieki.

Gdyby wichry szalone żagiel twój wciąż rwały,
A w twym sercu zaległy mgieł ciężarne zwoje,
Może wtedy byś prędzej świt powitał biały,
Prędzej w walce z wichurą smutki swe ukoił.

Gdybyś zechciał tu—w mrokach—pojąć sny wieczności
I odrzucić mgieł brzemię, co pierś ziemi tłoczy,
To byś poczuł, że jeszcze Bóg w twym sercu gości,
I na krawędź ostatnią już byś śmiało kroczył.

Gdyby wichry ci zamęt, burze tylko niosły,
To byś wicherom swe serce niespokojne zlecił
I jako pan potężny — swą mocą wyniosły —
W skrach podniebnych błyskawic duchem swoim świecił.

I uczciłbyś tryumfem to święto pokoju,
Ucztą razem ze słońcem, ziemią odrodzoną,
Czerpiąc radość z miłości ożywczego źródła,
Ze słońce nam już świeci i że noc zwalczona.

SŁONECZNO - ZIELONA ZABAWA.

I

Cud wiosny w piersiach zachwytem faluje,
A ziemia wielki hymn radości śpiewa,
Słońcem, kwiatami nas wabi, czaruje...
Wiatr chyże chmurki po niebie rozwiewa...

W niebie i w piersiach wstają żary, burze,
Dziś obudzone słoneczną pieszczotą —
Wpatrzeni w słońce na niebios lazurze,
Otoczym ziemię aureolą złotą.

II

Szumi w borze... huczy w borze...
Ranne rosy jak opale...
Blask ich skrzy się, mieni, pali...
Za brzeźniakiem płoną zorze.

Pasy jagód... tło zielone...
Pod nogami kwiaty... kwiaty...
Ręce... nogi obnażone...
Duchów ranka rój skrzydlaty...

Pieśni lasów, szum i drżenie...
Dzwonią, grają kankl*) tysiące...
W chłodzie drzemią senne cienie...
Zieleń... kwiaty... czary... słońce...

*) Kankla — instrument ludowy litewski.

III

Kąpie się już ziemia w roztopie słońca,
Pierś jej wiośniana radością oddycha.
Wiatr kwiat ukochał i pieszczotą trąca,
Kwiat się zapłonął, kołysze się z cicha...

Zielone pola i lasy zielone
W blasku szmaragdów rozigrane dyszą,
Pękami kwiecia ręce obciążone,
A w sercu spokój, wypieszczony ciszą...

IV

Morskie twe oczy ogniem błyszcząły,
Gdy wzrok twój w dali gdzieś ginął,
Lecz czy mam zgadnąć, co obiecały
Tonąc w mej serca głębinie?

Może przez słońce zaczarowane,
Jak niebny błękit bez końca,
Przeznaczeń spełnią tajnie nieznanie —
Sercu zanucą baśń słońca.

ŚPIESZ SIĘ!

Kiedy ci młodość rozpromienia świat
I zorze jasne nosisz w swym łonie,
Śpiesz się rozkwitnąć jak wiosenny kwiat —
Znajdź słońce Piękna, co w duszy płonie.

Nie smuć się jednak, jeśli tve rano
Chmur czarne cienie i mgły okryły,
Bo zawsze będziesz żył tymi blaski,
Które ci w życiu choć raz świeciły.

Śpiesz się, więc śpiesz się i wyzryn sięgaj,
Kiedy dla ducha świat ci za mały!
Śpiesz, póki wabi cię słońc potęga
I życia więzy cię nie spętały.

Dopóki ranek w duszy ci śpiewa,
Odważnie, śmiało po szczęście sięgnij,
Gdy jeszcze oko łez nie wylewa
I kwiecie wiosny w sercu nie więdnie.

Bo kto za młodu się nie ośmieli
Być swej radości twórcą i panem,
Temu świat cały zblednie, ściemnieje —
I będzie liściem przez wiatry gnany.

Więc póki młodość tęcze ci plecie
I zorze jasne nosisz w swym łonie,
Śpiesz się rozkwitnąć jak wiosny kwiecie,
Znajdź słońce Piękna, co w duszy płonie!

P Ę D Z I W I A T R.

Hej! zaprzęgnę wiatry chyże
I ujarzmię wichry młode,
Przez nadchmurne, niebne szlaki
Z wiosną puszczę się w zawody.
 Hej! łabędzie, z drogi! z drogi!
 Hej! żurawie — w drogę nam!
 Ponadchmurne niebne szlaki
 Sam ja znam!

Miga wstęgą płaszcz mój z mgły,
Wiatr szaleje wściekły, zły...
Z lęku gasną gwiazd miriady,
Twarz swą chowa księżyc blade.
 Kto ujarzmi wicher młody?
 Komu wiatr okiełznać dam?
 Wielką drogą ponadchmurną
 Jeżdżę ja i tylko sam.

Hejże, wiosno! Ty pozostań,
Łap swe żaby i ślimaki...
Hej, wy ptaki! bądźcie zdrowe!
Pozostawiam ziemię wam —
 Ponadchmurne niebne szlaki
 Sam ja znam!

ŚCIANY MOJEJ KOMNATY...

Ściany mojej komnaty ustroiłaś w wieńce...
Idąc zabierz je z sobą... Po cóż mi ich kwiat? —
Gdy i bez nich me oczy widzą piękno wszędzie,
Gdy i bez nich kwietnikiem dla mnie cały świat.

We dnie — łąki i pola, gór kędzierne szczyty,
A wieczorem — zachodu rozświetlona jaśń,
Czar gwiazdzistych bezkresów, w bezsenność spo-
witych,
Co nam snuje przez wieki nie milknącą baśń.

Ten świat taki uroczy, choć często okrutny,
W wianek życia nam wplata i kwiaty, i cierń.
Barwą tęczy się mieni wir jego zawrotny,
Nęci bytu zagadka — jak otchłani czerń.

A więc zabierz te wieńce, ich zioła i kwiaty...
One więdną... Tak prędko pokrywa je pleśń...
Świat i bez nich jest piękny, szeroki, bogaty,
Bez nich mogę też śpiewać — życia wielką pieśń.

TRIOLETY.

Tulipany.

Biały, żółty, pstry, czerwony
Tulipanów błyszczący kwiat,
Jak chorągiew z traw wzniesiony —
Biały, żółty, pstry, czerwony...
Niech nie zwarzy chłód korony!
Niech nie zrani płatków grad!
Biały, żółty, pstry, czerwony
Tulipanów błyszczący kwiat.

Kwiat jabłoni.

Patrzaj — sypie się i leci
Śnieg — jabłoni kwiat,
Jak motylki białe — świeci,
Puchem sypie się i leci.
Jakby w śnieżnej już zamieci
Tonął cały sad...
Puchem sypie się i leci,
Śnieg — jabłoni kwiat.

Nenufary.

Z mułu i wodnej trawy pościeli
Nenufarów kwiat się łśni,
Wytrysnął bielszy od śniegów bieli
Z mułu, głębin, z rzęsy pościeli.
Czy słońce świeci, czy mgła się ścieli,
On jakby we śnie marzy i śni.
Z mułu i wodnej trawy pościeli
Wytrysnął bielszy od śniegów bieli.

Ruta.

Wolny przekład.

Zrywa rutę — lecz nieśmiało...
Czy przystroi warkocz sobie?
Ktoś dziś bawił nockę całą...
Zrywa rutę — choć nieśmiało...
Lecz kto? Czyżby się wydało?
Cicho... Któż się o tym dowie?...
Zrywa rutę, choć nieśmiało...
Czy przystroi warkocz sobie?

Bławatki.

Błękit, błękit wokół ciebie —
Wszędzie, kędy wzrok twój sięgnie,
I na ziemi, i na niebie —
Błękit wszędzie wokół ciebie.

Czar marzenia cię skolebie
I na ustach uśmiech legnie...
Błękit, błękit wokół ciebie
I na ziemi, i na niebie...

Mak.

Ogniobarwny maczek polny
Szkarłatami płomienieje —
Zbiegły z raju duch swawolny —
Ogniobarwny maczek polny.

Czy to raj kwiatami strojny,
Czy tak ziemia promienieje?
— Ogniobarwny maczek polny
W złotym życie płomienieje.

JEDWABIO-SKRZYDLNE CHMURKI.

Patrz! Jedwabio-skrzydłne chmurki
Po złocistej drodze lecą,
Jak na morzu białe żagle,
Tak w kryształach nieba świecą.

Oceanu czyste fale
Na południu je zrodziły,
Słońcem pieszcząc wychowały,
W tiul jedwabi ustroiły...

Uskrzydliły swoje dzieci,
By bujały hen! po świecie,
Tylko wichrom rozkazały,
By je strzegły, pilnowały.

Więc swobodnie już hulają
I gdzie pragną — zaglądają,
I w doliny, i w równiny,
W oceanów przestwór siny...

Gdy się zmęczą mknąc w błękitach,
To na górskich spoczną szczytach,
Potem — jakby sznur łabędzi —
Wiatr w szafiry mórz je pędzi...

Lecz czy wiedzieć komu dano,
Gdzie się rodzą i gdzie giną?
Czy na górach, czy w dolinach,
Czy w przestworach oceanu?

Patrzę z podziwem me oczy dokoła,
Gdy cuda cudów ogarniam tysiące,
Hej, wy obłoki! zsuńcie się na krańce,
Abym mógł widzieć wracające słońce!

Dziś ziarn pękają na polach miliardy,
Słyszę, jak życiem kielki nabrzmiewają,
Jak w piersi lasu soki już pęcznieją,
W krzakach zbudzone ptaki hymn śpiewają.

Snać mnie wybiorą swym władcą i panem,
Bo i ja pragnę tylko latać, śpiewać...
Hej! ciepły wietrze, wietrze południowy,
Śpiesz błękit czyścić i chmurki rozwiewać!

B O T A N I K A.

(Ogród botaniczny).

Dziwię się, że zapachniało Japonią...
Europa jeszcze nie nabrzmiała pąkami.
Jeszcze noce z przymrozkami...
A tu nad mą głową sydonia,
Opodał rozkwita magnolia.
Palmy — posępne i obszarpane —
Z podmuchem wiatru kiwając głowami,
Przez okna więzienia oszklone
Patrzą zaniepokojone
Tym z Azjatkami spotkaniem...
Agawy sztywne tkwią w zamyśleniu,
Jakby od Niemców dostać pozwolenie
I wreszcie — po długich latach —
Powrócić do rodzinnej Laplaty.
Lotos na brak Nilu się żali,
Płacze, że piramid nie widzi w oddali.
A tu znowu piękności z obrazu Gogena,
— Zapewne z wyspy Taiti —
Szept jakiś wiodą z sobą tajemniczy
I — jak młode Kreolki w swym słonecznym kraju —
Gdy zobaczą człowieka, szepty urywają.
O, miłe moje kwiaty! Wiem! Gdy tęskność chwyci,
To schowałbyś swą głowę w ciemności zasłony —
A wtedy nic już serca pociechą nie syci.
O, nieszczęsne rośliny! Jeżeli cierpicie,
Ofiarujcie po listku ze swojej korony,
Pójdę z nimi daleko — w południowe strony —
Na zwrotnika waszego zatknę je obręczy,
By wiedziano w ojczyźnie, że tu mrzecie w męce.

ZA BIURKIEM USADOWILI SIĘ RZĘDEM...

Za biurkiem usadowili się rzędem...
 Pryska atrament i morzem ocieka...
 A młodzież posłuszna marznie za drzwiami,
 Uzbrojona w cierpliwość „de jure“ i czeka.
 — Nie chcemy przytakiwać nieboszczyków manii,
 Ani martwej poezji przeżuwać atomów,
 Rzucamy więc „żegnaj“ wymuskaney kompanii,
 My — młodzi — w świat ruszamy tworzyć życia tomy.
 Komu jeszcze nie zbrzydło cackać się z muzami,
 Niechże płodzi lirykę i niechże ją wślawia,
 Lecz dla nas rzeczywistość rozkwita cudami,
 Mocnym dreszczem zachwytów do serc nam przemawia.
 To nie sztuka świergotać wciąż przepiórczą mową
 I miłość lub łabędzie ślinić atramentem,
 My bierzemy słowo i — tak jak fudbol nogą —
 Rzucamy je hen! śmiało w niebne firmamenty.
 — Pójdziemy do Rusina, Polaka lub Niemca:
 „Może chcecie powąchać litewskiego siana?“
 Czy to będą uczeni, czy też nawet mędrce,
 Radziby nas mądrością karmić wymuskaną.
 Gdy ziemia swą zielenią i krasą nas woła,
 Czy masz ciągle przy biurku, tak jak robak, gnić?
 Oh! nawet moc szatana wstrzymać nas nie zdoła —
 I pójdziemy młodości całą pełnią żyć!

P O E C I E.

Jesteś tym czystym morzem, co ziemię ożywia,
Jesteś tym jasnym słońcem, co światło zwiastuje,
I jesteś błyskawicą, co nienawiść smaga,
I jesteś gwiazdą w mrokach, co drogę wskazuje.

Tłum przez pomost skrwawiony idzie już bez siły
I pioruny przyzywa, aby przemówiły —
Bohater, co swe myśli w czyn zamienić skory,
Niech wali krwawe trony — przemocy opory.

Poeto!
Twe słowo grzeje serce cichego oracza,
Twe słowo strąca królów i trony wywraca.

Przeklinam was, lata,
co tłumnie kradniecie
młodości chwile —
a ja chciałbym jeszcze
gonić za wami —
wy — białe motyle!

Dzień cudów! Dzień cudów!
Drzewa ogrodu,
jakby srebrne kielichy,
napelnione słońca promieniami...
A dzwonki lilii
te cuda wieścić gotowe.
Po kwietnikach rozrzucone,
gwiazdy narcyzów
mrugają oczami...

Do dna wypijesz ten puchar wiosny
Ty, w objęciach słońca mdlejąca ziemi!

Temu światu na powiekach
skrzepliły czarne łzy,
serce — z lodu, dusze — z stali,
ziemia — gruda krwi.
Ach! osiodłać chciałbym słońce,
trząsnąć biczem błyskawicy —
potem skoczyć i rwać bruzdy
hen! na niwie mej ziemicy.
Śpiewak ziemi — kowal stali,
hej! podnoście młoty swe!
— Temu światu na powiekach
boleść mrozi skrzeplą łzę.

Cały świat płacze,
jak gdyby umarł Bóg.
Lecz łzy czerwone...
Czyżby? — Znowu leje się krew
za odkupienie ziemi sług?

A dusza twoja
jak noc świetlista —
wciąż widzę ją...
Kiedy mnie wołasz —
gwiazdy na niebie
stają i drżą...
A Droga Mleczna tak promienista
wskazuje mi,
jak iść za tobą
i jak tą drogą
nadażyć ci.

A moja dusza —
jak ciemny las,
gdzie
na każdej gałązce
miłości kwitnie kwiat.
— O przyjdźcie do mnie, siostrzyczki z chat,
śpiewajcie,
bo piosnka ta,
pośród mroków, trudów, łez,
tak mi świeci,
jak miłości złota skra.

PIEŚŃ KOSIARZA.

Ja dwa słońca
tylko znam —
jedno słońce,
które czuję,
gdy mi ogniem
grzbiet schylony
wciąż całuje,
kiedy siano noszę ja.
— Drugie słońce
także znam —
gdy ucichną wiejskie psy,
słońce to całuję sam.

ACHI GDYBYM MOGŁ SIĘ UKRYĆ...

Ach! gdybym mógł się ukryć
w atlasowych płatkach róży —
śnieżystych i wonnych...
I czekać tam cały drżący,
aż dziewczę me
przycisnie mnie
do swoich warg gorących...
— A wtedy — całować ją...
O! — tak ją będę całować
ze szczęścia oniemiały —
jak złote słońce całuje
fal morskich
przezyste kryształy.

J U O Z A S R A I N I S

(* 1890 r.)

S O N A T A M O R Z A .

Płynę po morzu... Przez statku krawędzie
Srebrzystym światłem woda się przelewa,
Pianą perłową lśni się, mieni, błyska,
Statkiem kołysze... Wiatr żaglem powiewa...

Wiatr cicho szumi, płótna białe zgina,
Twarze nam muska i — zda się — całuje...
Słońce zarzuca w morze sieć swą złotą,
Chwyta w nią fale, skrami rozpryskuje.

Błogo, radośnie... I serce szczęśliwe
Weselnym rytmem uderza nam w łonie.
Piękno dokoła i radość błękitna
Duszę porywa i myśli wciąż chłonie.

Patrzę na morze — i widzę, jak fala,
Pędząc z daleka, ku łodzi się skrada,
Wznosi się, biegnie, wciąż bliżej przyplýwa,
Potem się cofa, spokojnie opada.

Wiele ich biegnie... tak jedna za drugą
W pośpiechu goni, w bezkresy ucieka.
Przypłynie inna — ta sama nie wróci —
Już jej nie ujrzysz — darmo na nią czekać!

Na morzu innym — morzu tego życia,
Mkną dni, godziny, lata — jako fale.
Zda się — masz je przed sobą... Jeszcze tuż, tuż, blisko,
A spojrzysz — już wieczności wchłonęły je dale.

M Ó J D Ó M.

Mój dom — nie tu na ziemi, lecz hen! na wyżynach,
Ukryty za obłoków złocistymi góry,
Wśród przestworzy szerokich, tam — w podniebiu si-
nym —
Za krain egzotycznych kryształnymi mury.

Baszty domu mojego niby słońca świecą,
Bo swe blaski nań sypie jutrzienka różana,
Tęczą w koło stubarwną jak pasem spowity,
A pod sobą ma złote lśniących gwiazd dywany.

W moim domu wciąż kwitną młode, wonne wiosny
I tryskają wieczyście źródła żywej wody,
Szczęście, radość i piękno pod dachem mym goszczą,
Śmierć tu nigdy nie zajrzy, ni jesienne chłody.

Do domu mego wiedzie droga tylko jedna:
Duchem się tam unoszę — na niebne wyżyny.
Kiedym życia brzemieniem zbytnio utrudzony,
Odpocznienie mię czeka wśród przestworzy sinych.

N A D Z I E J A.

Czemu tak wciąż się miotasz i wyjesz, o morze?
A ty, burzo hucząca, czemu tak szalejesz?
Czemuż, o szara chmuro, zakrywasz mi słońce
I — niby widmo śmierci — grozy cienie siejesz?

Ale ja się nie zląknę! — Choć ster mój złamany,
Choć — jak nędzną łupinę — fale łódź rzucają,
Choć na progu zatury i Hadesu stoję,
Choć przede mną czeluście wód się otwierają —

Nie drzę! — Wiem, że mej łodzi fale nie pochłoną
I nie zwalczą jej wiry pianistych odmętów.
Póki żyć będzie we mnie lepszych dni nadzieja,
Groźna burza nie zniszczy mej łodzi ze szczętem.

Bo nie dzisiaj, to jutro rozjaśni się niebo —
Nie obejdą się wieki bez słońca pieszczoty!
I znów radość zabłyśnie. I szczęścia brzeg śniony
Oczom naszym zaświeci jak ogień gwiazd złotych.

S Ł O W O P O E T Y .

Słowo poety —
czy to ogień,
czy nęcąca
tajemnica?
Bo jeśli to ogień —
kogo on zapali,
temu wieki cierpieć
bogowie kazali.
Jeśli tajemnica —
to kto ją odkryje,
nigdy już spokoju
więcej nie zażyje.

BRONE BUIVYDAITĖ—TYRU DUKTĖ

Matka, grabiąc siano,
Żyto podbierając,
Kołyskę mą niosła,
Wśród drzew ją wieszając.

Tylko drzewa w lesie
Łkania me słyszały,
Baśni szeptał lasek,
Wiatry kołysały.

A w domu mię do snu
Nocka usypiała,
Zdobnym w złote gwiazdy
Skrzydłem okrywała.

Swoim śpiewem radosnym,
Swym uśmiechem miłosnym,
Znęciłam cię...
Swoich oczu spojrzeniem,
Wichrem uczuć, płomieniem
Porwałam cię.
Wierszem, rytmem owiałam,
Twój kwiat duszy zerwałam,
Więc się cieszę i... śmieję.
Lecę chyżej i chyżej,
Dążę wyżej i wyżej,
I jak burza szaleję...
Jeśli mię się nie boisz,
W moc się skrzydeł ustroisz —
Gwiazd sięgniemy na niebie!
— Cóż? Zostajesz?
Trud cię lęka,
Nędza życia tak cię nęka?
Więc się trzymaj ziemskich dróg!
— Bo kto wolnym być nie umie,
Górnych lotów nie zrozumie.
...Nie pokocha go mój duch!

M Ó J R U M A K .

Wiatr — mój rumak bez wędzidła!
Gdy go niebem osiodłałem
i Plejady gdy zabłysły,
pojechałem,
pojechałem...

Rumakowi
i wichrowi
owies srebrny
nocka siała
i nasiała...
i tak ładnie... i tak ładnie
hen! po niebie rozsypała.

Księżyc dla mnie — to ostroga,
Andromeda — złoty kask.
Kogo blask.
Srebrny Plejad zaczaruje,
tego Venus,
złota Venus umiłuje.

Rzy mój rumak — rumak wiatr...
Srebrny owies
nocka siała
i zasiała...
i tak pięknie... i tak pięknie
po szafirach rozsypała.

MÓJ KLEJNOT.

Z tej strony morza —
Wieczne dzwony,
A świt srebrzysty
Hen! z tamtej strony.
O! czemuż tak wcześniej
Szczęście przecinasz,
Ty z obcej ziemi
Moja dziewczyno?

Chryzantemów śnieżystych,
Chryzantemów złocistych
Narwałem
Bez liku, bez miary.
Ale szczęście daleko,
Moje szczęście — to ty,
Mój klejnot z baśni wyczarowany.

Łódź się kołysze
Z dala na fali,
— Na horyzoncie
Lilie z opali...
Coraz to więcej
Fale wzbierają,
Bo chmury deszczem je wzbogacają...

Dźwięczy pieśń morza,
Słońce już gaśnie,
U brzegu wstaje —

Ranek mej baśni.
Dzwońże i śpiewaj,
Szczęście ty moje,
Dla cię otwarte marzeń podwoje.

Chryzantemów śnieżystych,
Chryzantemów złocistych
Narwałem
Bez liku, bez miary.
Ale szczęście daleko,
Moje szczęście — to ty —
Mój klejnot z baśni wyczarowany.

E L L I.

Wolny przekład.

Na granitach wstają lasy
z granitowych ciemnych łon,
na granitach pieśń rozbrzmiewa,
na granitach dźwięczy dzwon:

„Elli, Elli, Elli, Elli“...
Cicho dzwoni granit gór
i powtarza toń jeziora,
szepcze serca mego wtór...

Pieśnią drżą Finlandii szczyty,
dzwoni jezior cichy zew,
rozmarzone drżą błękity,
pól i lasów dzwoni śpiew.

„Eli, Eli“... coraz dalej
niosą cicho szepty fal...
— I marzenie me ulata
i westchnieniem leci w dal...

„Eli... Eli... Eli... Eli:..“
rozśpiewana chwyta dal,
i wtórują jej granity,
i wtórują szepty fal...

Ż Y C I E W E Ś N I E .

Biały wiatr mi przyniósł wieści,
Przyjdiesz do mnie, przyjdiesz znów...
— Cicho przysłaś jak bogini
Niosąc bajkę cudnych snów.

Rozszczepiają wieki góry
I dróg ścieże łączy czas,
Zakwitają w noc Plejady
I witają kogoś z nas.

Cisza mórz i cisza lądów
Opowły dzisiaj mnie,
Sen cudowny, sen czarowny
I to życie moje w śnie.

Biały wiatr mi przyniósł wieści —
Przyjdiesz do mnie, przyjdiesz znów...
Cicho przysłaś jak bogini
Niosąc czar baśniowych snów.

K W I E T N I K I I B Ł Ę K I T Y .

Dla ciebie — kwiaty, dla mnie — błękity,
wolność i skrzydła burz —
Tam się spłomienia pierś moja młoda
w przedwieczne blaski Zórz.

A tu niech żegna mnie — marzyciela,
tęsknoty twojej pieśń,
Bo chciałbym w twoją przyszlą koronę
gwiazdy z błękitów wpleść.

Sokół mój czeka, odprowadź, miła,
choć do tych ziemskich wrót,
Zachowaj w sobie najdroższe skarby —
snów i młodości cud.

Dla cię — kwietniki, dla mnie — błękity,
wolność i skrzydła burz —
Tam się spłomienia pierś moja młoda
w przedwieczne blaski Zórz.

S P O J R Z E N I E M Z A C Z A R U J Ę...

Spojrzeniem zaczaruję szare zmierzchy dali
I w przestworzach rozniecę błogosławiństw skry,
Wieki w biegu prześcignę i będę im równy,
Wchłonę w siebie świat cały, wszystkie ziemskie ły.
Tyle słońc i gwiazd tyle podziwiając tutaj,
Nie ulęknię się idąc w wielki gwiazdny bój,
Ani wichry podniebne nie zmogą mię w górze,
Ani życia ziemskiego nie zmęczy mię znój!

P I E Ś Ń O M L E K U.

Mleka, mleka — ulice wołają.
Krowie mleko swą słodyczą słynie,
Mleko ciepłe, mleko z białych wymion
Do domów białą strugą z pola płynie.
Gdybym tak miał szczęścia swego krowę,
Całowałbym jej kwitnące rogi,
A w duszy wołalbym: — Zdrowo, zdrowo! —
I byłoby mi radośnie i błogo.
Na obiad dałbym jej pomarańczy,
Na kolację — pokosztować wina,
Nosiłaby piękny, srebrny łańcuch,
Umiałaby się wdziękzyć jak dziewczyna.
Żyłbym jak Hindus, chociaż bez turbana
(Samego mleka jeszcze mi nie dosyć!).
W ciele mym — radość, a w duszy — nirwana.
Niech chwałę mleka pieśń ma wszędzie głosi.

PTAK MÓRZ.

Choćbym chciał wstrzymać dni szumnej wiosny —
Wiem... to daremny trud!
Niepostrzeżenie wciąż w mrokach życia
Przechodzą lata złud.

Jako rab czarny, tak niesiesz brzemię
Przez życia marny szlak,
I padasz w przepaść, jak postrzelony
I ranny morski ptak!

Nikt nie nasyci wszystkich tych pragnień,
Co niesie ziemski byt,
Jak nikt nie zgadnie nocy tajemnic,
Póki nie błysnie świt!

CZŁOWIEK.

Skryła się wśród obłoków już ostatnia gwiazda,
Ostatni zgasł meteor gdzieś u niebios szczytu,
Ostatni już zew głodnych rozbił się w kotlinach
I ostatni dzwon godzin pękł starego bytu.

W czaszkach ścichłych zegarów nikt minut nie liczy,
Maszyny zatrzymały wszystkie swoje koła
I wszystkich martwych fabryk runęły kominy,
A świat nowych urodzin nowej ery woła.

Tylko człowiek zeszywniał wśród mroków północy,
I — swojej współczesności oszołomion młotem —
Nie ogarnia on jeden dziejów doniosłości.
On jeden tylko chciałby jeszcze biec z powrotem.

Lecz już poprzez gór szczyty przyszłość się rozślania,
A z dali pierwsze ptaki nowej wiosny lecą,
Nowe radio nam nowe dni już metrykuje,
Z innej strony na ziemię teraz blaski świecą.

Bo ostatnia już gwiazda w obłokach się skryła
I ostatni meteor przemknął po przestworzach,
I ostatni zew głodnych rozbił się w kotlinach,
— Godzina starego bytu wrócić już nie może.

W MOIM MROCNYM POKOJU...

W moim mrocznym pokoju blask gromnicznej świecy...
Jeszcze życie szalone warem kipi we mnie,
Lecz zrozumieć nie mogę, gdzie myśli me lecą...

Już nigdy jasna przeszłość, w złote bramy strojna,
Z błędnych czasu oddali do mnie nie powróci.
O dniach przyszłych, nieznanych — co jutro nadejdą,
Los pieśń ponurą śpiewa — i pieśnią tą smuci.

Śpiewa, że nie zobaczę już czasów szczęśliwych,
Które miłość najczulsza — matki — opromienia,
Kiedy na mojej drodze, jak gwiazdy przewodnie,
Świeciły mocnym blaskiem młodzieńcze marzenia.

I pieśń będzie wciąż brzmiała jak dzwon pogrzebowy
Świat zaleje i słońce, i wspomnienie wiosny,
I ciężarem swych tonów przygniecie mi ręce,
Bym się nimi nie czepiał nadziei radosnej.

W moim mrocznym pokoju blask gromnicznej świecy
I choć życie szalone jeszcze kipi we mnie,
Próżno pragnę zrozumieć, gdzie myśli me lecą...

DREWNIANA SKRZYŃIA.

W prostą drewnianą skrzynię złożę rzeczy swoje:
Szczątki ducha zetlałe i ciało stygnące.
I powiem sobie wtedy: — Moje dni skończone,
Te dni życia tak krótkie, tak przemijające.

Potem wóz mię zawlecze ulicami miasta
Na tę stację, skąd nikt już nie powraca z żywych,
Gdzie zatrzymać się trzeba, by zostać na wieki,
Gdy ostatni raz zabrzmie gwizd lokomotywy.

Z wozu rzucę spojrzenie na domów łańcuchy,
Na wieżyce kościelne, w oddali ukryte,
I na tłumy zgiełkliwe śpieszących przechodniów,
Co się męczą i giną w nędzy tego bytu.

Cisza legnie i spokój, gdy martwe me serce
Zaśnie w ziemi cmentarnej, chłonąc dech wieczności,
A tam, kędy się prochem staje ludzkie ciało,
Krzew żałobnie zaszumi pieśnią o nicości.

S A L Y S Š E M E R Y S

(* 1898 r.)

Gdy wicher północy w sto rogów dąć poczyna,
Bałtyk — falująca balerina,
Bałtyk — Jurata namiętna i drżąca,
przyzywa Kastitisa wargami fal szumiących —
z ruin — nowych pałaców dziś mu wznieść nie może,
ani też żarem serca ogrzać jego łoża.
— Na wód marmurach —
na ich fali gładkiej, szklistej
roztąńczona dziewa morza
ogłąda się, rozważa...
Z przestworów oceanu
wypatruje wихru — męża swego
i na taniec z nim namiętny,
i na taniec z nim szalony
niecierpliwie oczekuje.
Tchnieniem wiatru podniecona,
w mgły błękitne otulona,
wnet się zrywa w żądy szale,
i w uściskach wихru drżąca,
obejmując go rękami,
ulatuje
na przezrocze i błyszczące
szkło oddali.
Tam, w uścisku już szaleńczym —
skaczą,
kłębią się,
wirują
jakby w wściekłym żądz zamęcie;
wciąż się kręcą
i harcują,
gdzieś w bezkresie wód, błękitów,
z nim w oddali się zlewają...

— A wysmukłe fal kibicie
jeszcze z wichrem złej północy
hardo, dumnie się zmagając,
z jego szaleń,
okrucieństwem i przemocą
wciąż igrają.

P O M I E J S K U.

Czyżem już strzępem tylko — strzępem krwi i mózgu,
pojmowanym żywcem w klatkę — z żelaza, z kamieni?

Czyż nie będę czuł lata, żytem płomiennego,
ni me nozdrza nie wchłoną żrałości jesieni?

Czy młodzieńcza namiętność nigdy nie obudzi
ścichłych serca zaułków, co już skamieniały?

Uśmiech dziewcząt w mej duszy nie będzie się nurzał
Wśród spojrzeń — w rzes ukryciu — spojrzeń moc-
nych, śmiałych?

W mury miasta pojmany, jak Verharn w niewolę,
w czarny zmroku aksamit przezornie się skrywam,
w morzu gwaru, ciemności, przy blasku latarni
na swych uczuć chodnikach tak jak Dante pływam.

Dla dymów się wyrzekłem słońca, ja — samotnik,
teraz ulic, uliczek nudą umęczony

brnę przez lasy nieczynnych, zamkniętych pracowni,
to znów pływam przez miasta wały zakurzone.

Tańczę, kiedy syreny fabryczne zahuczają,
w wirze maszyn i walców fabrycznych kołuję,
a przy szumie zasp dachów, czochojących włosy,
w głębi tramwajów i tłocznych wagonów nurkuję.

Gdy z wiosną zazielenią się spódnice sadów
i ciemniej zarysują się domy wysokie,
kiedy much i komarów zadrgają miliony,
ja chcę także odetchnąć radośnie, szeroko!

Nawet żaby w ekstazie miłosnej rechocą —
bocian dziobem sążnistym czule je całuje.

W płomiennej namiętności świat cały się nurza —
uwiośnieni są wszyscy — wspólnotą swą czując.

ANTANAS RIMYDIS

(* 1905 r.)

T W Ó R C Z O Ś Ć.

Szaroniebieskie płótno czy twoje nęci.
Kiedy pędzlem w natchnieniu przesuniesz trzy razy,
Kiedy tęcza barwami rozbłyśnie dziewięciu —
To jesteś artystą.

Ginie świat — tylko błada przed tobą modelka —
Bryła gliny w twych dłoniach — kształt nadasz tej glinie,
A gdy w kształcie tym prawda objawi się wielka,
To jesteś artystą.

Kiedy świata zagadkę odkryjesz w wszechbycie,
Kiedy przeszłość i przyszłość odtworzysz w dwóch zda-
niach,
Gdy ukazesz cel wielki — istotną treść życia,
To jesteś artystą.

STACJA KOLEJOWA.

Na stacji tłumy podróżnych...
Każdy
wpatrzony chciwie w rozkłady jazdy:
w przeszłość,
w przyszłość,
różnie...
Gdy pociąg na stację z łoskotem się wtoczy,
wtedy
i ja śpieszę na peron z bagażem swej biedy.
Wszyscy się tłoczą...
Lecz wciąż mi towarzyszą, przysparzając męki,
uparte moje myśli o chlebie.
W oczach ciągle mającą bochny i bochenki,
długie, okrągłe, pachnące...
Chciałbym chociażby spojrzeć na piekarza,
dziecię jego uścisnąć o rumianej twarzy...
Maszynista nie czeka marzeń końca.
Zadmie chór syren,
zagwizdże,
zawyje,
i pociąg — niby w ucho ziemi włożąc —
w tunelu się skryje.
Pędzi z hukiem, łoskotem, o tor czarny zgrzyta...
Semaforami —
czerwonymi,
zielonymi —
dusza zakwita...

G Ł Ó D.

Pokryła się ziemia cała
Pastylkami białej sacharyny —
Ich zamiecią drogi zrównała.
A mróz swój spacer odbywa
I skraca kolejowe szyny.

Szyna czasami drgnie i zajęczy.
Między szynami wilk się kryje
I jak wilk głodny,
Żeru łaknący,
Załośnie wyje.
Wyją nawet druty telegrafu drżące.

A może teraz na dalekiej stacji
Telegrafista zaspany
Przyjmuje wilka telegramy:
Że mu w głowie wszystkie dzwony huczą, jęczą,
A w sercu — skrzypce głodu grają pieśń o męce.

NIE BĘDĘ PYTAŁ...

Nie będę pytał Juraty,
Czym Kastitisa znęciła.
Niechaj powiedzą bursztyny —
Czyją pierś one zdobyły.

Pytać nie będę żeglarzy,
Czemu z burz i wichrów szydzą.
Chociaż dla morza zrodzeni,
Łąd w dali tak mile widzą.

I własnej duszy nie pytam,
Czemu morza, czemu burze
I bursztyny wciąż mię nęcą...
Dokąd dążę... Komu służę...
O to pytać się nie będę!

ŚPIEW MORZA O WOLNOŚCI.

I

Niebieskawozielone, swobodne, burzliwe,
 Białymi językami morze brzeg całuje,
 A tam — jak białe pióro — kołysze się statek,
 Bo człek przestrzeń zdobywać zawsze usiłuje.

Gdy na łądzie żyjemy, bezpieczni, spokojni,
 Drżymy, kiedy nam buty się przedziurawiły,
 Lecz ten długo żyć będzie, kto do walki zdolny,
 Kto mórz kocha odmęty — z burzą mierzy siły!

Spojrzyj tylko, jak śmiałek z falami się zмага,
 Żagle wiatrom nadstawia i z burzy się śmieje.
 I choć wichur szalony walkę mu utrudnia,
 Za prawo życia walczy — walczy za ideę.

O! walcz i dąż odważnie w tę dal lazurową —
 Rozczarowań nie zazna ten, co kocha morze.
 Więc gdy już dopłyniemy do wolności, bracia,
 To i wód szalejące ucichną przestworza.

Pędźże, chwiej się, o łodzi! Choć morze się gniewa,
 Nie zna lęku, kto wzniosłym ideałom służy!
 Ten, kto skrzydła wolności u ramion swych czuje,
 Woli w morzu utonąć, niż — w mętnej kałuży.

III

I znów nadpływa fala, bałwani się, łamie,
 Na brzeg spada i piany kłębami go kryje...
 Morze! My na twym brzegu uwiliśmy gniazdo,
 Lecz czy wściekle twe fale nam go nie rozbijają?

Kłębi się morze, pieni i znów uspokaja —
 Niczym serce Litwina, kiedy się rozczuli.
 O, morze! Wymyj falą nieomylną drogę,
 Byśmy nigdy już na niej obcy się nie czuli!

Z wód twych czystych, o morze, wszystko czerpie siły,
 Lecz dla kogoż twe tajnie będą zrozumiałe?
 O, morze! Zmyj i zetrzyj z naszej nędznej ziemi
 Resztki dawnej niewoli — męty pozostałe!

Utonęło już słońce... Lecz czekajmy jutra!
 Znowu słońce wypłynie radosne i młode.
 O, kiedyż to brać nasza — silna, twórcza, dzielna —
 Dni jutrzejszych doczeka — wolności, swobody?!

A morze wciąż się burzy, miota się, szaleje,
 Jakby czegoś szukało... Na piasku się pieni...
 Pragnie śmiałków odnaleźć, co o wolność walczą
 I czekają cierpliwie, Jej słońca spragnieni.

W I O S E N N A G R A M A T Y K A .

Precz! precz już z głowy
rzeczowniki!
Dosyć!
Wiosna deklinuje kwiaty:
kwiaty,
kwiatów,
kwiatom!

Jak jabłoń kwitnąca,
pełna aromatów —
Rygiszka Jan*),
Kazimierz Buga *) —
Cały słownik kwiatów.
A ja gramatykom wiosny
Kwiecia narwałam.
I oto znów
pełna gramatyka
przemilych słów,
jak na przykład jedno:
Marysia droga.
Do gramatyki
Aż się tłoczą
takie rzeczowniki,
jak na przykład te słowa:
błękitne oczy.

*) Znaczący języka litewskiego.

Pełna gramatyka
i przymiotników,
i liczebników,
i czasowników,
i zaimków.
A jeden zaimek — to ona,
powtarzam go bez końca,
a jej — to zaimków tysiące.

Jej —
więc gdy się rozwichrzyły
jasnych włosów rzeczowniki,
kiedy musnął ciepły wiatr,
co świadomość mile kradł,
to potargał wszystkie szyki,
powtarzając
wciąż wiosenne wykrzykniki.

O gdzieżeś teraz,
wiosny gramatyko?
Może odbiegłaś daleko —
może o lat dziesiątek...
Czy pamiętasz może,
zapytam ciebie,
jak pewnego razu
schylił się wielki,
o! wielki rzeczownik,
obejmując podniebie
zachodu zorzą?

Czy pamiętasz jeszcze,
kiedy raz
w rzeczowniku były gwiazdy?

Jak rzeczownik świecił każdy,
jaki był pieściwy wiatr?
Jak świetliste były gwiazdy!

Czy pamiętasz jeszcze
wiosny gramatykę?
Ze był taki rzeczownik,
jak poeta!
Czy pamiętasz?
Czy pamiętasz wiosennej nocy sonety,
i poranne śmiechu triolety?

Gdzieżeś obecnie,
wiosenna gramatyko?
Może odbiegłaś daleko,
może o dziesięć lat...
A może wiosenna
gramatyka znów pełna
i przymiotników,
i liczebników,
i czasowników,
i zaimków,
jak na przykład jeden:
„ty“?!

L I T W A K R Z Y Ż Ó W.

W duszy tyle męki! Na twarzy
Wstyd i cierpienie,
Bo krzyże na rozstajach
Złorzeczą wrotom szubienic.

Te wrota — Litwa
Te krzyże — Litwa.
A Litwa — to moja Ojczyzna.
Tej nocy wył pies zgłodniały...
Na gościńcach, rozstajach
I po cichych osadach
Krew strumieniem się lała.

To moja Ojczyzna na krzyżu
W tę noc rozpięta wisiała...

Ojczyzno!
Twoje ciężkie krzyże
Nam dźwigać przeznaczono na Kalwarii mękę.

— Żywi! Nowe życie poznajcie!
I sztandaru z swej ręki —
Nie wypuszczajcie!

C H R Y S T U S Z A K R A T A M I.

Więzienie. Ciemnawa więzienna kaplica,
Rozbrzmiały organy i brzęczą kajdany,
A w głębi żółtawe migocą gromnice
I Chrystus spogląda zza krat zapłakany.

U krat, co wolności zamknęły niebiosą,
Daremnie na klęczkach nędzarze się tłoczą,
A z oczu Chrystusa ukrzyżowanego
Boleści łza gorzka po licu się toczy.

B A J K A.

Nie... nie zapomnę nigdy
Tych rąk jej białych...
W gasnącej łunie zachodu
Oczy ją me ujrzały.
Okno zakratowane...
Wrót stróże zbrojni strzegli...
— W pamięci została bajka
O uwiezionej królowie...
Cisza... Jeno srebrna dłoń miesiąca
Okno więzienne blaskiem opromienia —
To księżyc przeszedł przez podniebną łukę,
By córkę odwiedzić w więzieniu.
A siostry z gwiazdy stanęły kołem —
Wianek z promieni na głowę jej plotą.
Okno więzienne... W tym oknie tak mroczno...
Łka tam moja ojczyzna nad więzów sromotą.

NOC ŚCIEMNIAŁA JESZCZE GNIEWNIEJ...

Noc ściemniała jeszcze gniewniej
i ziemię skłała przemocą,
jednak ja, pisząc te strofy,
byłem trzeźwy w cierpieniu nocy.

I dla tego, jak łańcuchem,
skuta była słów moich siła,
choć ją z serca dobywałem,
które ogniem się paliło.

I tak młodość swą spaliłem,
spaliłem ją w cierpieniu nocy,
by wyzwolić Cię, Ojczyzno,
z najstraszliwszych nędz przemocy.

Czy skra jaka odskoczyła,
i gdzie padła — nie badałem,
bo więzienia długie noce
łańcuchami wydzwaniałem.

Jako więzień u wrót celi
zwraca łańcuch swój stalowy,
tak ja sławie twej poświęcam
moich trosk i bólów słowa.

Głowy twojej w kwietne wieńce
nie przystroję dziś, o miła!
Czyż lepszego trzeba daru,
niż łańcucha słów tych siła?

BURZA I UKOCHANA.

Nie wiem, którą wcześniej pokochałem:
Burzę czy ciebie — jedyną?
Bo przez ciebie, o burzo!
Bo przez ciebie, dziewczyno!
Idę w życie — uniesiony szalem.

Wyciągają się dłonie do lubej —
W dłoniach płoną żagwie burzy...
Szalej, o szalej, ty burzo!
Nasza droga zwycięstwo nam wróży.

Ale nie płacz, jedyna dziewczyno,
Jeśli w burzy szaleństwie ja zginę...

P R Z E D W I Ę Z I E N I E M

Jako dwie strzały — dwie ostre strzały
mur przebijają źrenice moje.
Tam, za tą ścianą siedzi mój miły,
lecz wciąż zamknięte srogie podwoje.

Nie wasz mój miły! On mój, jedyny!
Miłości męki! Straszne cierpienia!
Bo tylko serce moje dla niego
ma być po wieczne czasy więzieniem.

Gorzki, oj! gorzki pokarm dla serca,
kiedy na ustach drży pożądanie,
nie zaspokoi wiadro oskoły,
gdy od niej słodsze nasze kochanie.

Jako dwie strzały — dwie ostre strzały
mur przebijają źrenice moje...
Własnymi łzami mur ten przepalę,
skoro zamknięte srogie podwoje.

O B C E N I E B O

Tak dokuczyło mi obce niebo
i obcy ludzie, obce ulice!
Ach! ujrzyć wreszcie pola ojczyste,
choć spod zasłony i z szubienicy!

A jeśli nie jest już to możliwe,
to przejść się chociaż polem zielonym
jako włóczęga — i z dała chaty
biały jej komin uczcić pokłonem.

A może matka na ganku czeka
syna, co w obce zbłądził krainy
i wciąż spogląda, marszcząc brwi siwe,
Czy nie powraca ten syn jedyny.

Nie czekaj, matko! Lepiej nie czekaj!
Bo gdy nadejdzie dzień pożądany,
jeszcze ty więcej zmarszczysz brwi siwe,
ujrzawszy syna i jego rany.

TO SAMO CIEMNE WIĘZIENIE...

To samo ciemne więzienie,
Żelazem drzwi okute,
Te same korytarze,
Ten sam posępny smutek.

I cela, gdzieś cierpiał,
Gdzie u okiennej kraty,
Więziony — wolność przysiągłeś
Wichrów burzliwych, skrzydlatych.

Te same mię skuły kajdany,
Te same strzegły mię strażę,
Ci sami wiedli dozorcę
W nasiąkłe twą krwią korytarze.

Tu — padłeś rozstrzelany,
Twa krew się tu przelała,
Tu moja pieśń zgrzytnęła,
Lecz w zgrzycie nie skołała.

Bo przez zwały ciał naszych i przez bezmiar męki
Nadciąga już burza i nowych dni jutrenka.

Warkot maszyn — ciężki,
gdy przez okna gwałtem się wdziera
wiosna!

A w sercu
rośnie i wzbiera
do swobody, do słońca
tęsknota radosna.

Głośno, głośno
huczą maszyny...

O wiosno,
w pękach kasztanów rozśmiana!
wonnym kwieciem rozkwitnij
w sercu robotnika,
radością powitana!

— Nie dla mnie wiosna!
Moje szczęście zżera nędza
i nie dla mnie kwiaty rosną!
— Jeno te bezsenne noce,
jeno te dni długie,
bez wytchnienia i bez domu!
— Nie wiem — dla kogo
i na co żyję
ja — niepotrzebny nikomu.

O! to dla ciebie, ideo wolności,
na wielkie, słoneczne lato,
sto wiosen się sprzęga, gotuj!
To dla ciebie, o szczęście dalekie,
wszystkie maszyny warkotliwie huczą
i młoty stal twardą już kują.

L I S T.

Z pól kwiecistych do nory więziennej
Przyszedł list, twardą ręką pisany —
I dni szczęścia przypomniał więźniowi,
W mrocznej celi zapachniał mu sianem.

W wąskim oknie, pomiędzy kratami,
Zakwitają ojcowe doliny,
A z kart białych spogląda jak żywa
Twarz najdroższa — twarz jego dziewczyny.

„Znów jest wiosna i lipy znów kwitną,
Już na łące wnet kosy zadzwonią“ —
Napisała tak ręka kochana
I włożyła w list rutę zieloną.

Więzień usta do kart tych przyciska,
Widzi przeszłość w nich nagle ożyła —
Zły los czuwa, jak strażnik przy bramie,
I więźniowi już kopie mogiłę.

M U R.

O! nie ma tu nieba w ponurej mej celce —
świat wolny za oknem się śmieje —
a słońce mi skąpi promyka jednego,
choć wiosna na ziemi szaleje.

Gdy matka tu przyjdzie — być może zapłacze,
że syna zakuli w kajdany,
że zwalczyć nie umiał hańbiącej lud krzywdy,
że ginie w niewoli, zdeptany.

O matko! ty tutaj — do muru chłodnego —
nie ciśnij w łzach swego oblicza!
I po cóż te zimne, te bezduszne ściany
oblewać masz łzawą goryczą?

Bo mur ten ze wstydu wnet musiałby spłonąć
lub w krwawym jeziorze łez ludzkich utonąć!

C Z E R W O N Y Ś N I E G .

Zakwitły białe sady,
lecz oczy ciągnie ścieżą,
gdzie pośród traw zieleni
śniegi czerwone leżą.

Nie śnieg! To kwiaty białe
w krwi strugę spadły kraśną...
— W ojczyźnie mej ugory
już tęsknią do dni jasnych.

Czekajcie jeszcze, niwy!
Rolnicy śpią w tym kraju,
jeno śnieg kraśny spada
i wichry wciąż hulają.

Śpiew rzewny nad ugorem...
w Ojczyźnie bezdeń męki...
— Ledwie skwitły jaśminy,
już chłód je srogi nęka.

Kwitnijcie, jaśminy, choć krzywdzi was grudzień,
kwitnijcie i kwiatem bujajcie!
— O druchy! tę ziemię krwią męczeńską zlaną
jak wolność, jak życie kochajcie!

I D E A.

Miażdżą tyranów dziś nowe idee
I trony złotych bogów obalają,
Rozwierają mogiły, zapalają życie,
Do walki zaciętej, do czynu wzywają.

Jak śnieg topnieją dawne groźne tamy,
Jak proch się sypią za wiatru podmuchem.
I sen przez słońce zostałby wygnany,
Gdyby chciał wstrzymać życie swym bezruchem.

Wolność witają opadłe kajdany,
Z gruzów i kurzu nowy świat się rodzi,
Kres dzisiaj gwałtom, koniec srogiej męce,
Słońce wolności już na niebie wschodzi.

Stary świat ginie... ginie bezpowrotnie...
Wciąż pieśń wolności piorunami bije —
Do czynu śpieszy nowe pokolenie,
Wszystko, co stare, umiera i gnije.

Pierś młoda, silna, a i ręce twarde —
Ugorna ziemia już pracy pożąda...
Choć jeszcze czasem złe wiatry się srożą,
Lecz w okna śmiałych już słońce zagląda.

J A Ś M I N Y.

Dawno to było... Kwitły jaśminy,
Sycąc powietrze swym aromatem,
Jak gdyby wiosna wieczną pogodę
Chciała rozpostrzeć nad całym światem.

I wśród tych kwiatów białych jaśminu,
W tę noc wiosenną padło wyznanie,
Ze nie uciekniesz od walki wiru,
Póki ci serce bić nie przestanie.

I dziś te same kwitną jaśminy,
Tą samą wonią świat przepojony —
Ale dla walki tyś już stracona,
Gdy „Marsylianki“ muszą brzmieć tony.

ŚPIEW ROBOTA

Szalał wicher... A śnieg białymi płatami
Jak rój motyli za oknem wirował —
Wabił i nęcił, do oczu się cisnął...
— Lecz mózg mój do maszyn się schował..

I naraz się poczułem Robotem,
Człowiekiem bez mózgu się stałem.
Gdy ktoś mię nazwał poetą,
— Do diabła z poezją! — wołałem.
— Nie chcę już pieśni! Bo i cóż mi po tym? —
Niech pies sobie wyje u ojcowych płotów!
Jakże porównać te pieśni z motorem
I z dynamo ≠ maszyny potworem?

Ja chcę wyć,
Jak rankami parowa syrena
I jak wystrzał armatni
Tak chichotać władnie,
Kiedy na krwawą arenę
Pociskiem wpadnie.
Mojej dajny*) ton burzliwy —
I gamą się rozpoczyna,
Ja — presowany beton mięśni
I urągająca potęgą dynamo ≠ maszyna.

*) Dajna — pieśń ludowa litewska.

U Ś C I Ś N I J M I Ę , M A T U Ś M I Ł A !

Pokochałem hardą wolność
Tych ugorów czarnych,
Choć obficie je skropiła
Synów krew ofiarna.

Dużo kwiatów pozrywała
Po zachodzie słońca,
Więc żal ciężki duszę tłoczy,
Płyną łzy palące.

— Uściśnij mię, matuś miła,
Bo nim znów zadnieje,
Może w mrokach ciemnej nocy
Krew się ma poleje.

Ranek sygnął srebrną rosą,
Hej! przy mglistym borze,
Ale słońce, krwią skropione,
Podnieść się nie może.

Hej! na czarnych już ugorach
Mrą wolności echa,
A nieszczęsna matuś siwa
Syna swego czeka.

Już skowronek mglistym rankiem
Pieśń swą rozpoczyna:
— Nie płacz, matko, chociaż twego
Powiesili syna.

ANTANAS VENCLOVA
(* 1906 r.)

C R E D O.

Młode serca, młodością mocarne —
To energii i sił oceany!
Młode piersi, młodością wezbrane —
To pęd naprzód i walka z tytany!

Zgnieść niewolę i nieba, i piekła,
Dumnie stwierdzić wolności zdobycze,
Już nie dławić się w miejskim zaduchu
I wolnością odetchnąć na szczycie!

Skinąć ręką — mórz ściszyć odmęty,
Ścisnąć pięści — i fala niech wstanie!
Jak w kowadło uderzyć w tę ziemię
I swym z posad ją ruszyć wyzwaniem.

Z CYKLU „CZERWONI JEŹDŹCY“.

Jeszcze jeden krok — przekleństwo,
Jeden krok — nas w zgubę grąży —
Nasze stopy ogień parzy,
Demon - śmierć nad nami krąży.

Hej! Precz z lękiem! Pędem w dale!
Druhy mężne! Kto nas zmusza
Na rodzinnej tkwić ziemiцы?!
Czas w nieznanne światy ruszać!

W wszystkich krajach surma brzmi,
Tysiąc światów w ogniu, krwi!
Grzmią rumaki kopytami —
Góry, skały już za nami...

Czyja moc ten pęd powstrzyma,
Kiedy skra nam w oczach płonie,
Gdy potęgą w myślach, w łonie
Duch młodzieńczy się zolbrzymia?!

E K S P R E S.

Czarny tor... Czarny wiatr... I czarny nieba kir...
Gwizd... Rząd lamp drapieżnymi zębami świeci...
Jedziemy... Jak ptak, krzycząc z wszystkich sił,
Czarny pociąg przez tunele leci...

Ponad świat—kędyś w dal—rój myśli czarnych mknie.
Świt... Znów dzień... Za oknem nowa zorza świta...
Hej! Otwórz okno! Otwórz, otwórz drzwi!
Hej! Za czarne skrzydła wiatr ten chwytaj!

Serce śni. Budzi się. O wszechmiłości śni...
Zda się nam — weźmiemy cały świat w ramiona.
Patrz — tam — kanały pełne żywej krwi!
Zgadnij — jutra co kryje zasłona!

Druhy — hej! Choć przepaści tysięcy czeka tam,
Z wichrem wciąż wirują kłęby dymu płowe.
Hej, śpieszmy! Czas już wejść w wolności chram!
Ściany tam wzniesmy, ściany betonowe!

Czarny wiatr... Czarny tor... Nieba ponury kir...
Gwizd... Rząd lamp drapieżnymi zębami świeci...
Jedziemy... Jak ptak, krzycząc z wszystkich sił,
Czarny pociąg przez tunele leci...

Ż Y C I E.

Życie — to rozstajnych dróg miliony,
Życie — to blady uśmiech zwątpienia,
Życie — to błędne, złudne pielgrzymki,
Życie — to najświętszych ołtarzy zniszczenie.

U wrót minionych wieków — niby sfinksy wstydu—
Tak stoimy milczący, zapatrzeni w dale.
Noc... Na morzach bezkresnych latarnie migocą,
I o brzegi wciąż tłuką rozwścieczone fale.

A w duszy naszej płaczą gwarnych miast ulice,
Miast tonących w rozpusty zgniłym, starym świecie.
I płacze tam i żebrze wciąż młodość zbłąkana,
By jej wreszcie ktoś drogę do słońca oświecił.

Życie — to rozstajnych dróg miliony,
Życie — posępny uśmiech zwątpienia,
Życie — ułudy nieba i mamidła,
Życie — to najświętszych ołtarzy zniszczenie.

POD SKRZYDŁAMI CZARNEGO
ANIOŁA.

Tam — pod skrzydłami czarnego anioła —
Jak krew czerwone, lśnią słońca zuchwałę,
I zabłąkane hen! w sinych przestworzach
Bój dziki wiodą orły wygłodniałe.

A znów tam — nisko — miasto betonowe
Białe kopuły podnosi do nieba.
Droga, czerwona od świateł latarni,
Wije się w przepaść i grozą owiewa.

Ponad grzesznymi spelunkami miasta
Kraczą ponuro czarnoskrzydłe wrony.
Nad pałacami — pośród wież wysokich —
Wraz z wichrem gwiżdżą latarnie czerwone.

O, kwitnij, kwitnij, ty mój czarny świecie,
Nękany nędzą, co o pomoc woła!
Szalej, o ziemio, i wy oceany,
Pod mrocznym skrzydłem czarnego anioła!

SALOMIJA BAČINSKAITĖ —
SALOMIJA NERIS
(* 1904 r.)

B I A Ł Y P O E M A T.

W ten ranek — bajka oszroniona w białym parku śni,
W ten ranek — białe narzeczone alejami szły...
Tak cicho — że nie skrzypnęły białe chusty drzew,
Tak cicho — że nie zaszeleścił nawet żaden krzew...

Wypędziłam ją wczoraj... bo jak zmija wciąż duszę mi
ssała...

Potem płakałam... Tak płakałam rozżalona,
Jak płacze sieć telegrafu przez wicher trącona.

Bo ona — to miłość moja — płomienna, kwiecista...
Wypędziłam ją... wypędziłam w noc ciemną i mglistą...
I drzwi na rygle zamknęłam, zatrzasnawszy z siłą,
To było wczoraj... tak... to wczoraj było...

W ten ranek, gdy śnią drzewa — białe narzeczone,
W ten ranek, gdy diamenty na ścieżkach zaślniły,
Wygmana wczoraj miłość, snami spłomieniona,
Białą parku aleją — do mnie powróciła.

Po co wracasz, nieszczęsna, po co przyszłaś znów?
O! mnie boli niewola twych czarów i snów!
— Ona milczy... Płatki śniegu ślad nasz zakrywają...
Milczy... Jej dłonie ramion moich dotykają...

Milczy... I na ścieżce lśniącobiałej
Błękitne diamenty w krąg się posypały —
Jej lzy...

SPALCIE MNIE!

Spalcie mnie jak czarownicę!
Palcie mnie na stosie, co płomieniem zre!
Nie złękę się... Nie zdrzę ani jednym nerwem,
Słowa nie wyrzeknę... Nie pytajcie mnie!

O! nie zdradzę wam nigdy moich zaklęć słowa,
Które tutaj zamienia w raj padolną noc,
Nie będziecie wiedzieli, czemu wam przebaczam,
Skąd czerpię, umierając, do uśmiechu moc!

Niebo cudem lata ziemię całowało,
Ziemia z narzeczona śniła słodkie sny,
O naszej miłości gwiazdy nam śpiewały,
Me oczy wróżyły szczęścia jasne dni.

Teraz palcie mię! Palcie jako czarownicę,
Co świat zaczarowała boską ognia skrą!
Ale to moje niebo ja zabiorę z sobą,
A wam tutaj zostawię całe piekła zło.

SALOMIJA BAČINSKAITĖ —
SALOMIJA NERIS

W PŁONĄCE OGNISKO...

Tam — w płonące ognisko — wszystko razem wrzucę
I przeszłość swoją spalę — niepokojem zbrzydłą —
Stary dziennik... A jutro będzie dla mnie jasne,
Jutro... szczęście promienne przypnie mi już skrzydła.

Jutro witać mię będzie nowe, bujne życie...
Wszystkie zagadki Sfinksa przypomnę przeszłości,
Płomienną czarę bytu aż do dna wychylę.
Jutro... O, któż dosięgnie nieba mej radości!

W ogień przeszłość!... Spoglądam, a tu twoje imię,
Jakby złamanym piórem napisane krzywo —
I oto w jednym miejscu zatarte litery...
Pamiętam: iza zatarła tych liter ogniwo.

O, jasne, o marzące, o dalekie oczy!
O, lzy moje gorące, lzy bezsennych nocy!
Żegnajcie, me marzenia! Żegnajcie — motyle!
Dalekich brzegów kwiaty — złud upojne chwile!

Nie wracajcie już do mnie, wy — gońce skrzydlaci,
Ni rankiem, ni w wieczornej, smętnej zmierzchu porze!
Już serca zboląłego nie kuście tęsknotą,
Ni daremną modlitwą na życia ugorze.

SALOMIJA BAČINSKAITĖ —
SALOMIJA NERIS

S O K O Ł Y.

Zielono szyte liście na modrym jedwabiu.
Ranek. Słońce. Błękity. Las sosnowy wkoło.
Chwieją się sennie sosny — i uczą mię marzyć.
A tam w górze — sokoły! sokoły!

Rzeki szarą błękitną opasują ziemię,
Góry wznoszą w podniebia harde swoje czoła.
Gdzieś w świecie jest Sahara, palmy... Tu bzy kwitną
I podchmurne bujają sokoły.

Zrzuc z nóg buty znoszone! Rzuć dziurawą czapkę!
Niechaj grzeje nas słońce promienne, wesołe!
A my pieśń swą zanućmy zgodnie i ochoczo,
My — podchmurne, my wolne sokoły!

T A K U K O C H A N A...

Tak ukochana — jak dla polnych kwiatów
słońce złociste!
A tak daleka — jak tam — na zachodzie —
tarcza ognista!
Ten pokój cichy — jak grób jest bez ciebie —
straszny i ciemny...
Północ... A ja wciąż jeszcze twoich kroków
czekam daremnie...
O, ukochana! Za stu czarnymi milami
tak ukochana!
Czy czekać jeszcze? Czy wróci do grobu słońce
błyskiem świetlanym?

P O W R A C A M...

Powracam do ciebie, biała moja muzo,
Powracam znów —
Stamtąd, gdzie weselem pienią się puchary,
Z powodzi blasków, wonnych kwiatów, snów.

I widziałam, jak śmiała się młodość moja,
Naga, namiętna...
A potem widziałam, jak z uśmiechem bladym
Ginęła w mroku, nocą pochłonięta.

I płakałam, że więdnie młodość,
Że więdną kwiaty...
Płakałam, bo upoiły mię śmiertelnie
Haszyszowej tej uczty aromaty...

Nie tutaj twoje szczęście, gdzie wianki i wino,
Twoja droga — nie tędy!
Nocą ciemną iść musisz, otchłanną jak przepaść,
I bez gwiazdy przewodniej drogą błędną...

Spoglądam w niebo... Twój głos z gór mię wzywa,
O, matko moja ty!
Powracam do ciebie znowu, biała muzo,
Powracam... i niosę łzy...

O S I W I A Ł S A D...

Osiwiał sad od białych, wonnych kwiatów.
Jabłoni śniegi pachnące
Osypały mi włosy... On tu przyjdzie —
I znowu dotkną serca oczy kochające.

Milczy wciąż niebo w szafirach jeziora,
Gwiazdziste czary lśnią w zielonej wodzie,
W dali topnieją już czarne kontury
I usta zmierzchu muskają mię, chłodzą.

Wzdycha sad... Boże! czy nigdy
Już go nie spotkam na tych ziemskich ścieżkach?
Będę na niego czekać — dzisiaj, jutro,
Dopóki dusza w biały sen swój wierzy.

Tonie jeziora jakby ogniem skwitły,
Zakłete grody kryje głąb zielona...
Kto tajń tej nocy dziś oglądnie ze mną?
Tak zimno... Samotności tulą mię ramiona...

SALOMIJA BAČINSKAITĖ —
SALOMIJA NERIS

DZWOŃ, WOLNOŚCI LATO!

Trud żmudny to i znojny — praca pańszczyźniana!
Nie poradzą jej rączki małe, atlasowe!...
O, nędzarko! To twoje, wyłącznie twe prawo,
By ci pachniał wciąż jeno czarny chleb razowy...

Nie wesprze cię w twej nędzy Bóg kościołów hojny,
Więc od świtu do nocy szukasz pracy wszędzie,
By twe dziecię — bez ojca — z głodu nie umarło,
By wyrosło! — Za wolność kiedyś walczyć będzie!

Lecz z nim ból twój wyrośnie — tak wielki jak ziemia —
I ręce będziesz łamać, raz jeszcze zdeptana,
Gdy srogo twego syna wrogowie osądzą,
I chwiać się będziesz w szlochu, jak gałąź złamana.

Kobieto pracy! Nie daj deptać swego serca!
O, nędzarko, przez wieki jak i dziś gnębiona!
Wierzaj — świta w oddali dzień bez łez i bólu
I grzmią już hasła nowe, że świat wyzwolony.

K A Z Y S I N Ć I U R A
(* 1906 r.)

JUŻ WIECZÓR ZABŁĄDZIŁ W DOLINY...

Już wieczór zabłądził w doliny,
W tę ciszę pomiędzy górami,
I z modrych swych skrzydeł — jak liśćmi —
Złotymi wnet sypnął gwiazdami.

Lecz czemu tak smętnie spoziera
W tę szczęścia krainę daleką?
— Kazało mu słońce tej nocy
Odnaleźć bez grzechu człowieka.

B A Ś Ń S A D U.

Od morza do morza, gdy sady już kwitną,
Baśń czarów i wspomnień przynoszą błękitną:
Jak trzej królewicze w zamku się zebrali,
Radzili nad drogą, swój los omawiali —
Że pierwszy wyprawę na zachód odbędzie
I rękę królowny w nagrodę posiędzie.
A drugi zaś sławę na wschodniej rubieży
Osiągnie w walk dymie, na czele rycerzy.
Trzeciemu rozbłysły — jak gwiazdy świetlane —
Żrenice, gdy orzekł: „Ja w zamku zostanę!
Choć wiem, że przez nędzę tu będę gnębiony,
Lecz zwalczę ją mieczem, bój stoczę szalony“.
Od morza do morza zakwitły znów sady,
Książęta z zachodu ni wschodu nie jadą.
Nad zamkiem ojcowym gołębie gruchają:
„Tu szczęście jedyne i radość mieszkają“.

CZŁOWIEKOWI.

Wciąż — od wieków zamierzchłych zmieniając oblicze,
Już na świat ten przyszedłeś z niejasnym uśmiechem.
O, bracie! Jak potężny jesteś w swej wielkości
I zarazem jak mały w słabości i grzechu!

Bohaterem się czułeś, gdyś bronił królewien,
Z stugłowymi gdyś walczył ongiś potworami.
Pięknej cnoty rycerskiej stałeś się wcieleniem,
Rozsławiony po świecie chwały swej hymnami.

Dzisiaj czerpiesz garściami z niebios błyskawice
I w swe dzieła tchniesz życie potęgą swej mocy,
Lecz czyż zdołasz oświetlić te błędne ciemnice,
Kiedy sercem zawładnie zmierzch bezgwiazdnej nocy?

I niby kwiat oplecion żywymi gadami,
Chwiejesz się, rozkwitając na przepaści brzegu,
I ku gwiazdom milczącym ślesz tęskne spojrzenia,
Aż cię ręka Wszechmocy wywoła z szeregu.

Wśród beztroskiej zabawy, czy w ogromie nędzy
Człowiecze! ja cię kocham w twoim byciu całym.
Jakże wielki, płomienny jesteś w swej twórczości
I jak w własnej bezsile — ułomny i mały!

DWAJ KRÓLEWICZE.

Za białymi górami, za szeroką wodą
Czuwają w podniebiu dwie wysokie wieże,
Przez kręty most wiodą łączące je ścieże.

Na tym moście krętym, na tym moście stromym —
Na ziemi i nieba dalekiej orbicie
Grają pilnie w szachy wciąż dwaj królewicze.

Jeden aureolę jasną ma u skroni,
U drugiego szkielet — skrzący, rozżarzony,
Czarnym jeno płaszczem skrzętnie otulony.

Który z nich zwycięży? I czyj tryumf, chwała?
Czy tego, co w sadzie ma białe lilije,
Czy tego, co chwasty tam ma wybujale?

Dni wciąż lecą mimo — jak pułki zórawi,
Miesiące i lata w pasma się splatają,
Ale królewicze gry nie zaprzestają.

Bo nawet gdy starzec tymi drogi kroczy,
I on się zawaha, i on westchnie skrycie:
— Panie! Jakże ciężką walką jest to życie!

C O W I E C Z Ó R...

Co wieczór stale gość ten mnie odwiedza
I tak siedzimy do północy sami,
Na rękach naszych blask szmaragdów świeci,
Podnóże nasze ściele się laurami.

O to, skąd jesteś, nie będę cię pytał,
Dosyć tej męki już w dzieciństwa dobie,
Pozwól mi tutaj odczuć cień wieczności —
A będę sługą, niewolnikiem tobie.

I błogo przyjmę każde ciosów brzemię,
Które Wszchemocy mi posyła ręka,
Bo gdy przychodzisz, radością — godziny,
Nieszczęściem wtedy już mnie los nie nęka.

Tyś mię nauczył składać cześć Wieczności
I w małym sercu czuć całe wszechświaty,
I wśród dni szarych i ich powszedniości
Sercem ci składać dziękczynień obiaty.

O bezgraniczna, mój gościu, twa łaska!
Dajesz marnemu bohaterstwo marzyć,
A więc czuwajmy do jutrzeńki blasku,
By się nie rozstać i żyć wiecznie razem.

I. AUGUSTAITYTĖ VAIČIUNIENĖ
(* 1896 r.)

NIE OPUSZCZĘ OJCZYZNY.

Nie opuszczę już nigdy mej pięknej Ojczyzny,
Nie nęci mnie błękitem niebo krajów innych,
Bo przywykły me stopy deptać pierś jej żyzną,
A usta pragną śpiewać jeno pieśń rodzinną.

Ręce moje do grabi klonowych przywykły,
Palce pieszczą wciąż w sadzie zieleń ruty, mięty.
Tu me serce płakało, cieszyło się, mdlało,
Tutaj duch się zolbrzymiał w dni burzliwe, święte.

O! jakże piękna Litwy ta siwa matula —
Jak prorok dni słonecznych w swej namiotce*) białej.
A tam kłęczy chatynka, co w cieniu jesionów
Bohaterów Ojczyźnie zastęp wychowała.

A pod brzozą — na górze — praojców mogiły,
Tam to biały „knignešys“**) kończył swoje baśnie.
Dla jego twardej dłoni — za te święte trudy —
Wdzięczność w sercu Litwina nigdy nie zagaśnie.

Nie opuszczę już nigdy mej pięknej Ojczyzny,
Gdzie ziemia — macierz moja, niebo — uśmiech ślące,
Gdzie zieleni się ruta i lud pieśń swą śpiewa,
Gdzie kąt każdy mi drogi — jak życie, jak słońce.

*) Strój na głowę, używany przez wieśniaczki litewskie.

**) Człowiek przemycający zabronione druki z zagranicy.

I. AUGUSTAITYTĖ VAIČIUNIENĖ

DO KWIATU SZCZĘŚCIA.

O, kwiecie purpurowy! rozchyl swą koronę —
I napój mię swą jasną i ożywczą łzą:
Może wreszcie ochłoną me usta spragnione,
Sny odnajdę tajemne, co w mym sercu tlą.

Takam tutaj samotna, jak echo zbłąkane
Tego dźwięku, co w duszy wciąż symfonią brzmi,
I kwiatami wonnymi tej ziemi znęcona
Tajemnicze melodie słyszę jasných dni.

Nie pieściło mię niebo, ni ziemia swym czarem —
Nie znam krasy upojnej mych ojczystych pól,
Czemuż serce dziś czuje znowu lęk wygnania
I tych krzyżów przydrożnych chłonie cichy ból?

Co dzień rano wychodzę, aby witać słońce,
Co dzień wracam z tęsknotą, co mi duszę ssie,
O, Boże! Zharmonizuj tych rozdźwięków gamę!
Czy już wiecznie w tej męce będą płynąć dnie?

O kwiecie purpurowy!
Obiecujesz mi złudnie, że łzą kupię ciszę,
Ale ja niepokojem jak echo drzę znów —
I marzę o kołysce, którą mirt mi zdołał,
O spokoju cyprysów, o ciszy ich snu.

J E D Z I E M Y N A G R Z Y B Y !

— Jedziemy na grzyby! — Zmęczony Ford huczy...
Puszczo rodzima, pełna swojskiej krasyl
O! takich gości na grzybobraniu
Pierwszy raz widzą twe stare lasy!
Barwne jedwabie... Modne obcasy,
Co wciąż się plączą, gniotąc mchy siwe.
Coty, Guerlain, Dorsay i Piver
Pachnącym wiankiem wokół wionęły —
I przez zielone gęstwy, moczary
Ku łąkom wonią kwiecica pomknęły...
Słodka woń perfum zmysł pszczołki mąci —
Sama już nie wie, błędna nieboga,
Ku temu kwieciciu, co miodem nęci,
Poprzez te gąszcze którądy droga.

M O J A P I E Ś Ń .

W dźwięki swej pieśni — zakląłam świat cały...
— O! mnie zazdrościć królowie mogą —
Czym ich potęga wobec mej mocy,
Czymże ich ścieżki wobec mej drogi!

Mnie astry kwitną, słońce mię pieści —
W duszy radości przezczystych zdroje.
Cały świat w mojej pieśni się mieści —
A ja ją rzucam pod stopy twoje!

T W O J E O C Z Y.

Takie niebieskie dziś twoje oczy,
Jak nieba Litwy błękit na wiosnę.
O! ty mi nie mów, że się spóźniłam,
Niech już zabije serce radośnie!

Ta noc cudowna niech rozbrzmi baśnią,
W dziewiczych kiedyś snach wymarzoną!
Nikt od kolebki mi jej nie śpiewał,
Choć wciąż tęsknotą wzbierało łono.

Dziś — jak ten żebrak — drżąc przed pałacem,
Jak on natrętna, wyciągam ręce...
O, Pani! Nigdy nie zapłakałam,
Lecz kiedyż koniec tej strasznej męce?!

O NĘDZARZU!

O nędzarzu!
Wzrok twój śledzi mię i bada,
Oczu przepaść ciemna, głodna,
Twarz bezkrwista, trupioblada...

O nędzarzu!
Dosyć! Odstąp już ode mnie!
Myślisz, że w przepychu tonę,
Że kwiat miłości, posiany przez Boga,
Depcze tu w błocie mój bucik złocony?

O nędzarzu!
Jakże myślą się tve oczy!
Zazdrość płonie w twym spojrzeniu...
Lecz mi wierzaj: tak jak ty nie znam szczęścia
I tak samo czuję głód i pragnienie.

O nędzarzu!
Dosyć! Odstąp już ode mnie!
Ból twój każda hojna ręka
Swą jałmużną zgasić może.
Lecz mnie, powiedz, kto uciszy ducha mękę
I w mym cierpieniu wspomże?

NA BŁĘKITNYCH WODACH NILU...

Na błękitnych wodach Nilu
Kwiat lotosu zakwitł biały.
Przemówiły wieków Sfinksy,
Zwiędłe mumie z grobu wstały.

Tutankchamon — z piramidy —
Jak los ciężką uniósł rękę.
Moc Egiptu znów ożyła,
Wstają hufce nieulekłe...

Zawiał wicher... wody wzburzył —
I wnet lotos zwiędnął biały,
I wiekowa baśń tak prysła,
Jak Egiptu cud wspaniały.

Z I E M I A O B I E C A N A .

Odbiegłaś mię, moja młodości,
I znikły jak sen twoje dni,
Zostawiłaś ślad krwawy na śniegu
I krzyżem naznaczyłaś mi drzwi.

A szczęście, jak miraż pustyni,
Ze słońcem zagasło mi już,
A zmierzchy wieczora mrok niosą
I wieść niepokoju i burz.

A tam na rozstajach kapłani
O Jutrze znów wieścić chcą nam...
O! kiedyż, ziemio obiecana,
O! kiedyż powitać cię mam?!

SZCZĘSCIE W JESIENNYM
PALCIE.

„Mówiła mi nieraz mateczka,
Gdym była małą dziewczynką,
Ze tutaj nasza jest ziemia,
Ze jestem małą Litwinką“.

M. Dagilis.

Cóż, nie nudzisz się na tym skrzypiącym asfalcie?
Czy do pól ci nie tęskno szerokich przestworzy?
Jakiż jest dziś twój nastrój w jesiennym tym palcie? —
Sobolowe futerko nań wpływa niezgorzej?

Czy pamiętasz, jak kiedyś — zacisznej wsi dzieci —
Kiedy sady tonęły w słonecznej pozłocie,
Myśmy śnili, że inne nam szczęście zaświeci,
Tak odmienne od tego — w jesiennym paltocie.

Krzyż taki obłamany i Bóg tak łaskawy
Przy gościńcu spozierał wciąż na czarną ziemię.
— Pędem biegły dni nasze, dzień uciekał żwawo,
Asfalt dróg nam otwarło tych dni przeznaczenie.

Tylko dziś z wspomnień serca wyłania się toni,
Kiedy liść już opada żółtawy i płowy,
Obraz tych dni minionych, gdy starczył ruch dłoni,
Aby sznurom żurawi poukręcać głowy.

Czy pamiętasz, jak kiedyś — zacisznej wsi dzieci —
Gdy na świętki zatonął sad w śniegu wiosennym,
Myśmy śnili, że szczęście kiedyś nam zaświeci,
Ale czyż takie szczęście — w tym palcie jesiennym?

W I E C Z Ó R J E S I E N N Y.

Zmierzch. Okna mętna plama. Twarz majaczy w oknie.
Przez czerwony abażur blask się sączy smugą.
Już wsię, pola i drogi zima ośnieżyła —
Tutaj człapie ulicą jesienna szaruga.

Zamilcz, serce! Skończone! Pociągi odeszły!
Z gwizdem i w kłębach pary kędyś w dal pomknęły —
Tysiącem swoich twarzy łudziło cię życie,
Oszukało cię marnie tysiącem ameryk.

A więc trudno! Ku śmierci powleczem się pieszo,
A po drodze zdążymy wypić łyżę tej ziemi...
Życie snuć się nie będzie jak baśń czy poemat,
Kiedy krew się poleje czerwonym strumieniem.

JAK WIOSNA MIĘ WOŁAŁA...

Fragment.

Przyjechał senny wieczór z pułkiem złotych gwiazd,
Niebo... Księżyc bezskrzydły... W krąg cisza świetlana...
Cóżbym dzisiaj powiedział, gdyby przyszła ona —
Ona — mych dni minionych — dawnych — ukochana?

A przecież dla niej właśnie, gdy byłem pastuszkiem,
Chciałem zdobyć te skarby, co nikt nie ma z żywych.
Obiecałem pójść z ojcem za lśniące jezioro,
Aby przynieść jej w czapce gwiazdy migotliwe.

Dziś — żegnaj, ojcowizno! Śnij w lasów swych ciszy,
Poorana w zagony i zielone miedze!
Jadę w przyszłość. Wspomnienia po świecie rozwłóczę
Po tych stacjach dalekich, co w życiu odwiedzę.

I może tylko kiedyś — nagle, niespodzianie —
Może w dni mej jesieni, chłodnej i surowej,
Gdy ujrzę wracającą — jak co roku — wiosnę,
Sen ten, smutny, pobladły, prześpiewam od nowa.

Za miasto kędyś śpieszy zachód słońca złoty,
Już skraj nieba purpurą ognia malowany...
Z szelestem białej sukni — w dal odeszła ona
I uniosła młodości moje dni świetlane.

R O M A N S.

Noc ciemnością otula już kraje i miasta
I nad moją włóczęgą pochyla się mrokiem.
Wyciąga, wznosi w górę czarne, wyschłe dłonie...
O, kiedyż usłyszę twe kroki?

Przybądź! Czekam na ciebie. Rozjaśń moje lata
Jak poranek, co wieści — dzień pogodny — słońcem.
Nie powiem ci, że miłość — to rzewna sonata,
Że miłość — to wichur niszczący.

Przemierzone mą stopą drogi i rozstaje,
Zarząca się datą zabłyszczą błękity...
Będzie słońce, pogoda i święto marzenia —
I ogień i krew zakwitną!

P R O G R A M.

Program —
o czym w swoich wierszach mówić będę wiele
i o czym huczeć będę przez syren gardziele.

Niechaj nas porwie sto litewskich biesów,
jeśli w ojczyźnie zmieścić się nie możemy —
zda się — równiny wielkie i pasy zagonów,
a nadto jeszcze — tuż pod nosem morze!

Poeci wierni łapciom lub lakierkom!
czy tak i nadal będzie z naszym śpiewem?
Nie opiewane krowy i obory,
woły ni świnię, ani stajnię, chlewy.
Obornik też się nie dostał do wierszy
i inne wiejskie smrodliwe wyziewy.

Biura = otchłanie, co huczą i stukocą
lub też fabryki, co dymem się pocą —
to wszystko — nawet taksówka, hojnie opłacona,
na pióro poetyckie czeka wciąż stęskniona.

A ile demokratom należy się tych wierszy,
a na cześć republiki wierszydeł jak wiele,
więc niech dziś cudami tak osypią Litwę,
jak Bóg — Izraela.

Program — coraz to inny i urozmaicony:
o ruchliwej Litwie, o dolarach czczonych,
o Litwinie nowoczesnym, architektonicznym,
o Bogu umierającym i diable archaicznym.

— O, poeci! poeci litewskiej krainy!
Ten program odlewam ze stali,
I pragnę, byś go, Litwo, odlała
I niebu, i wichrom z oddali.

W KANCELARII.

Piersi do stołów przykute,
Atrament, książki, foliały...
I mężczyźni, i kobiety —
Od poranku przez dzień cały —
Chylą się jak dym z kominów
Czy to latem, czy też zimą.
Atramentu — nie ubywa,
Stos papierów — nie maleje,
Jeno piersi zapadają,
Lica żółkną, pochmurnieją.
A z każdego kałamarza
Wciąż kariery figa nęci
I po kilku latach w końcu
Tonie w brudnym atramencie.
Lecz i stamtąd się uśmiecha,
Nadal wabi bez ustanku,
Wreszcie kiedyś — karierowicz
Znika stąd pewnego ranka.

J O N A S
K O S S U = A L E K S A N D R A V I Č I U S
(* 1904 r.)

A C H, J A K M I D O B R Z E !

Imię jedno, jedyne, wyraz jeden znałem,
Zda się, że samo szczęście było mym udziałem,
Lecz szczęście — jak dziewczyna — jeno mię wabiło —
Kiedy ciągle jej imię drogie powtarzałem...
— Ach, jak mi dobrze!

Teraz, gdy wiem, że szczęścia tu na ziemi nie ma,
Że jeno rozum skradłszy istność swą zaznacza,
Jakże mogę odróżnić ten świat od galery,
Gdziem łańcuchem przykuty do wiosła rozpaczy?
— Ach, jak mi dobrze!

Na nikogo nie czekać, nikomu nie wierzyć,
Obojętnie spoglądać tam — ku gwiazdom złotym,
Przyszłość — złudne miraży i piachy pustyni,
Przeszłość — pustka bezkresna, chłód i mrok martwoty.
— Ach, jak mi dobrze!

Dziś mógłbym tak umierać, jak ów Agasferus
I żyć — choćby jak motyl — chwili jednej tchnieniem,
Dzisiaj wiem już, że człowiek to nędzny galernik
I widzę, jak wciąż płoną jego ócz bezdenie...
— Ach, jak mi dobrze!

JONAS
KOSSU = ALEKSANDRAVIČIUS

Bom taki już spokojny i taki beztroski
I na świat ten spoglądam z bezwładu uśmiechem —
Lecz do myśli natrętnie coś się wciska gwałtem,
Jak modny refren tanga, co w uszach brzmi echem:
— Ach, jak mi dobrze!

PŁATEK ŚNIEGU

„Boże! Jaka ona jasna,
Takiej, jak żyję, nie widziałem.“
Peer-Gynt..

Zakwitły me oczy niby jabłoń w maju
W ten dzień pełen blasków i słońca,
Bo — zda się — ujrzałem Solweję na nartach
Przez śniegi tu do mnie pędzącą.

I marzyć zacząłem, że biedną mą chatkę
Świetlistą owionie w krąg jaśnią,
Ze białe te szczyty, co w oknach lśnią z dali,
Spromieni poezją i baśnią.

Bo przecież tam — w górach — wciąż źródła tryskają:
I rzek wodospady bełkocą,
Przez zaspy srebrzystą dzwoneczków uciechę
Rumaki unoszą ochocze.

Tak na nią czekałem!... Rozwarłem ramiona —
Już dzwonki tak blisko dźwięczały...
Solweja! O, Boże! Jakaż dziwnie jasna,
Jak żyję, tak jasnej nie znałem!

J O N A S
K O S S U S A L E K S A N D R A V I Č I U S

O, nie! nienapróżno ten dzień tak mi jaśniał
I śnieg tak połyskał swym szklivem,
Bo naraz... ktoś szybko minął mię jak zjawa
I pomknął radośnie i żywo...

Pachniały zakwitłe już białe jabłonie,
I wiosny, i sady, i kwiaty,
Lecz... mimo przemknęła ma radość świetlista...
I góry w śnieżystych lśnił szatach.

Znów wichur mrozący liść pędzi jesienny
I zda się, złośliwie wciąż szydzi —
Bo może śnieżynka tak w słońcu rozbłysła —
A ciebiem, Solwejgo, nie widział?

Czyż znowu to miraż ułudny był tylko,
Co jasno w me okna zaświecił?
I góry go znowu zagrzebią w swych śniegach,
Jak bajkę cudowną dla dzieci?

A może śnieżynka błysnąwszy stopniała
W ten dzień tak słoneczny, wiosenny?
— A ja się łudziłem, że ku mnie nadbiegła
Solwejga — sen szczęścia promienny...

JONAS
KOSSU, ALEKSANDRAVIČIUS

IMAGO MORTIS.

Nie wiadomo skąd na koniu przyjeżdża
Śmierć zimna. Trzeszczą kości, kosa brzęczy...
A życie — jak pies obity, pokorny,
Kurczy się, jęczy.

Klepsydrę w dłoni podniesionej trzyma,
Zżółkłymi zęby świeci uśmiechnięta,
Choćby dla kogoś świat był obojętny —
Staje się święty.

Groźnie, złowieszczo szczękając zębami,
W gniołacej ciszy podkowy swe wlecze...
— Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz,
Marny człowiecze!

Niby otchłanie — czarne oczodoły,
Którymi na świat straszliwie spoziera...
— „Dies Irae!“ — i zimne swe objęcia
Ziemia otwiera.

OGNISTY SŁUP.

Czasami czyjeś życia — jest jak łódź żaglowa,
Co nas w dal — na przestworza — władnie wciąż unosi,
A czyjeś — jest jak żebrak, co na klęczkach błaga
I skomli o jałmużnę, i o litość prosi.

Jedno życie człowiecze — zastępom narodów
Będzie jaśnieć promiennie niby słup ognisty,
A inne — tak jak wichrem złamany tulipan —
Burza ciśnie w kałuże na drogi błotniste.

Idę pieśń swą śpiewając, idę przez tę ziemię
I wciąż widzę żebrzących tłumi wynędzniałe,
I wciąż widzę te pola, co rodzą plon Boży,
Widzę łodzie i mórż tych przestwór sinobiałe.

Widzę, jak się płomieni z dala słup ognisty,
Na twarz moją promienne odbłaski padają...
Mrużę oczy, od światła ośleple... i idę —
Kędy wiedzie nas ziemia i nieba wzywają.

O, NIE PATRZ, MATKO, PRZEZ OKNO!

O, nie patrz, matko, przez okno! —
Na horyzoncie niebo tak smętnie zamglone,
Tam przecież nie faluje, ani tam nie szumi
Toń morza zielonego, toń głębna, zielona...

O, nie patrz, matko, przez okno!
W otchłan nieba błękitną i w tę dal przezroczy,
Białe, jasne anioły splotły ci warkocze —
Białe, jasne anioły rozplotą warkocze.

O, nie patrz, matko, przez okno!
Twa tęsknota nie chodzi gościńcem tych szlaków,
Ten stary krzyż zmurszały nie na ciebie woła,
Ani te czarne skrzydła mknących białych ptaków.

ZIEMSKA RADOŚĆ.

Cóż mi z bajek, fantazji, pięknych snów, miraży!
I cóż te dni mi dadzą — w morzu słońca całe!
Umierają i kwiaty, chyląc smętnie głowy,
Nawet kiedy je włożyć w wazon y z kryształu.

Ciche dźwięki z przystani—orkiestra, chór morza,
Głosy wszystkie — tak giną, jak zapach bylicy,
A radość znużonego serca nie ukoi,
Gdy do grobu się kładzie w ślad złudy zwodniczej.

VYTAUTAS SYRIJOS GIRA

(* 1911 r.)

REKORD.

Piękna i zgrabna kokietka,
Wysoka, wdzięcznej postaci
Z gracją otwiera parasol
I z piętra piątego skacze.

Miasto się bawi wesoło,
Z radości miasto wariuje —
Że z piętra bez spadochronu
Dwudziesty wiek wyskakuje.

Już akrobatka na ziemi...
A serca miasta czerstwieją —
I wnet swój smutek najnowsza
Rumbą miłości rozwiewają.

O, wielki ty Czingishanie!
O, gdzież są liczne twe hordy?!
Ty jeden zdołasz wyleczyć
Te rumby i te rekordy.

P Ł A T E K Ś N I E G U.

Słyszę, jak płatki śniegu lekko trą się w locie
I pieśń ta mię porywa, pieśń spadła z przestworzy...
Gdzież ja sam się zaczynam, a gdzie płatek śniegu?
Bo takim nikłym puchem i ja jestem może?

Szronem życia okryty, jako dach ten biały,
Chociaż na świat przyszedłem—zda się—ledwie wczora...
— Ach! tak wielu nas białych od samej kołyski,
Bez siwizny — sędziwych, bez łzy — niewesołych.

Widzisz srebrny kryształik? Rozszczep go i rozdziel —
Poznasz nowe w nim światy, w tajniki obfite,
I znajdziesz nieczytaną, nową kalewałę
W tej postaci molekuł, atomów ukrytą.

Słyszę, jak płatki śniegu lekko trą się w locie,
Śledzę, kędy je wiatry rzuca i zawioną,
Może jednym jesteśmy — ja i ta śnieżynka,
Bo gdzież ja się zaczynam, a gdzie kończy ona?

Ł Y Z K A W O D Y .

Raczenie! Może i nie najgorszym ty jesteś muzykiem,
Lecz cóż znaczą te dźwięki wobec lasów grania?
I wobec huku gromów, co grzmią tam w podniebiu?
Nie porównasz ich nawet z głuchym psa szczekaniem...

I cóż, Uszyński? Czym są tve jasne barwy i pastele
Wobec przepychu słońca gasnących promieni?
Jak ubogie i szare przy skrzydle motyli!
Jakże martwe i blade przy lasów zieleni!

I myślę sobie nieraz, gdy swe wiersze czytam,
A grono pań łaskawie mię komplementuje,
Ze nawet marne ptaszę, kiedy wita słońce,
Piękniej i dźwięczniej śpiewa, niżli ja rymuję.

I zając pewnie zgrabniej tam na łące skacze,
Nawet bocian rytmiczniej na dachu klekocze,
A lasy, pola ,rzeki — pełne niespodzianek,
Których nigdy nie stworzę w swoim almanachu.

O, wy wielcy poeci, wielcy recenzenci
Pełni manii wielkości i chełpliwej wzgardy!
Chcecie orłom dorównać w ich podniebnym locie,
A machacie skrzydłami jak wrony niezdarne.

Za geniusze się macie, bogi nieśmiertelne,
Spoglądacie dokoła z wyniosłości chłodem,
Lecz dokoła was wszędzie światów oceany,
Przy nich wasze utwory — łyżką słodkiej wody.

J E S I E Ń.

Jesień... Chmury błękit zaciągnęły
I jak warkocz kochanej dziewczyny się wleką,
A na niebie, zda się, białe i czarne pajdy chleba.
A wokół... mroźne wiatry ciągną się z daleka.

Jesień... Już jesień... Liście opadają
Złociste, bezbarwne, szerniałe...
A tam na mglistym, dalekim brzegu
Śpiewają psalmy topole osiwiące.

Jesień... Tak zimno.., tak ciemno... tak mroczno,
Ostyga powietrze i serce,
I mózg już na asfalt twardnieje,
I nic się już nie chce...

Tylko czasami, kiedy pies zawyje,
To czuję, swym myślom posłuszny,
Żebym zamienił się maską i rolą
I z tobą, psie—bracie bezduszny!

O B O Ż E!

O Boże!

Jakże słodko ukochać bezkresów przezrocza,
Topiąc serce i oczy w lazurowej ciszy,
I widzieć, jak skrzydłami trzepoczą motyle,
I odczuwać, jak kwiaty z nami szczęściem dyszą.

A kwiaty ślą uśmiechy, wino szczęścia leją
I czujesz w swojej duszy dziś twórczości kwiaty,
Ożywiają się ogniem nieme twoje usta,
Zda się, mógłbyś na rękach unieść całe światy.

Nie chcę sięgać po gwiazdy ni do mórz głębiny
I ciebie tylko pragnę, o lilijko biała,
Zda się—rad bym umierał bez słowa, bez skargi
Z tobą w sercu i z szczęściem, coś mi hojnie dała.

Z B U D Z O N E Ż Y C I E.

Pajęczyny osnuły i słońce, i ziemię,
I gwiazdy posiwiały na pobladłym niebie,
Ale ja—zawsze, choćbym śmiercią już oddychał,
O życie! będę kochał ciebie!

Za jedną tylko kroplę krwi żywej, czerwonej,
Za wonną życiodajność soków naszej gleby,
Za wiatrem uniesione jedno zwiędłe kwiecie —
Rad bym całego dał siebie.

I wołam z ręką na sercu:
O życie, powstań z mogiły!
Niech martwe nogi i ręce
Drgną pulsem życia i siły!

Rany twych dłoni — niech radość
Kroplami bursztynu leją!
Niech pieśni, krwi poślubione,
Ciszą, spokojem powieją!

Rozwarło usta i oczy
Jak zjawa — słońce zbolące,
I spadły z gwiazd pajęczyny,
Obmyte przez śniegi białe.

Naga od krańca do krańca,
Ziemia raduje się wiosną!
Chrystusik *) zgolił już brodę,
Przy drodze siedząc radosny.

Jak wszechpotężne, bezkresne
W swych celach jesteś, o życie!
Sławić i kochać cię będę,
A gorycz twoją pić skrycie!

*) Przydrożna figura Chrystusa.

U T O P I O N A G W I A Z D A.

Gwiazda, bardzo nieszczęśliwa,
Całą noc płakała,
Później — w obłok owinięta —
Cicho się schowała.

Powstał ranek, wnet dzwonami
Wszystkimi zadzwonił:
„Gwiazda ginąc zamąciła
Wód jeziornych tonie!“

P R Z E R W A N Y S E N.

Dlaczego sen mój przerwany —
A ja wciąż jeszcze żyję?
Omdlała gwiazda z nieb spada,
W ramiona mgieł się kryjąc.

Idą z daleka dni moje —
Dni smutne, dni płaczące...
Niech prędszej przejdą koło mnie
Pragnienia konające.

Czemuż nie mogę jak gwiazda
Zginać w obłoków toni,
Ni kwiatu szczęścia nie zerwę,
Jak tulipanów czerwonych?

W Z O R Y M E J T K A N I N Y .

Moje krosienka — z drzewa cedrowego,
Chybkie czółenko — diamentu błysk szczyry,
A rzuty moje — to perły ozdobne,
A w cienkim wątku — złociste litery.

Tkałam wczoraj — tkam i dzisiaj
Żywe kwiaty — wzór ozdoby...
Wczesnym rankiem do wieczora
Zręcznie kręcę wał osnowy.

A gdy słońce się uśmiechnie
W moim oknie promieniami,
To i słonka uśmiech wetkam
Miękką włóczką, jedwabiami.

Gdy w ogródku róże białe
Głowy ku mnie wciąż zwracają,
To me ręce rzędem pereł
Kwiat ich śnieżny wyciskają.

Gdy czystością zaś poranka
Lipy sadu tchną zroszone,
Zaraz rzucam białym ścięciem —
Nitki srebrem załzawione.

A jak pali moje serce
Dziwny ogień tęsknotami,
To znów czarnym tkam brylantem,
Jak niemeńskich wód falami.

Rzucam, rzucam wciąż czółenkiem —
Złota nić za nicią pędzi,
W tych zygzakach — drzewa, ptaki,
Żywe kwiaty kwitną wszędzie.

A i dźwięczną swą piosenkę,
I dziewiczych dni pragnienia —
Wplątam w wzory tej tkaniny,
Białoskrzydłe jak marzenia.

I te moje dni dziewczęce,
Troski w pieśniach wyśpiewane —
Jak bogate składam wiano,
W ciężkiej skrzyni przechowane.

Tylko temu — kto odgadnie
Serca mego niepokoje
I mych młodych dni marzenia —
Podaruję serce swoje,
Mego wiana pełną skrzynię,
Mej tkaniny — złote zwoje.

P I E Ś N I C Ó R Z I E M I.

I

Czy to łzami zabłysły
Białej brzozy warkocze?
— Tam na czarnych ugorach
Me siostry gną się w pocie.

W dniach trudu narzekaniem
Niedola wyśpiewana —
Czy masz zgnić na ugorze,
Jak oset ten wyrwany?

Wiatr, pośród pól błędzący,
Targa twój włos co rano...
Tęsknota... i kochanie...
Szczęście niedoczekane...

Czy będą łzy, czy pieśni,
Czy też piwonii kwiecie —
Bieda, tak jak i miłość,
Ze smutkiem tu się plecie.

P E T R Ę O R I N T A I T Ę

Chociaż ręce i nogi ciążą ci jak ołów,
Kiedy setki zagonów od świtu „przeгонisz“,
Lecz gdy wreszcie ukończysz już ostatnią brudę,
W sercu uśmiech zakwita, pieśń na ustach dzwoni.

Sześć dni znoјnej pańszczyzny masz w tygodniu długim,
Jak katorgą Sybiru — złą dolą znękanaś,
W sobotę zrzucisz ciężar — z bark swych ciężar cały —
I zapomnisz, że wczoraj srodze cię łajano.

Dawno gładkość straciła twarz na wietrze, w znoјu
I dłón dawno stwardniała od pracy mozolnej,
Ale młodość — tak rześka, jak pól naszych kłosy —
Znowu śpiewa przy chacie, radosna, swawolna.

PETRAS BABICKIS

(* 1903 r.)

TAK BYM PRAGNAŁ...

Ja tak bym pragnął, żebyście gdzieś znikli,
Byście zamarli w jutra zorzy złotej!
I wszystkie troski wynieśli z tej ziemi,
I wszystko błoto!

Może by wtedy zabrzmiały inaczej
Tony tych filmów, oglądanych w kinie,
I zajaśniały głębie dusz, co dzisiaj
W odmęcie giną.

Ja tak bym pragnął, żebyście gdzieś znikli!
Po cóż żyć mają ślepiec czy histeryk?
Życie — to takie „ja“ bez żadnych „ale“,
To bystry Terek!
Jasne Himalaje!

C O D Z I E Ń.

Jak pies u drzwi zamkniętych, co dzień w głębi piersi,
Coś mi skomleć zaczyna i szarpać się skrycie...
— Kto tam? — pytam daremnie. Nasłuchuję w ciszy
I serca badać chcę bicie.

Tak spokojnie i równo, zda się, pulsy biją,
Jak gdybyś miał automat zamiast serca w łonie,
Lecz w oczach się zapala błyskawica wstydu —
Rumieńcem na licu płonie.

Widzę dokoła siebie jedwabie i fraki,
W kielichach — drogie wina, szampan i likiery...
— Wczoraj w nędznym baraku konał biedak szepcząc:
„Ojczyzno! dla Cię umieram!”

W N O C W I G I L I J N Ą.

Noc... Szeroki gościniec... Samotności chwile...
Wysoko perły — gwiazdy — te nocy motyle
mrugają i błyszczą, jak latem na łące
wiosennych kwiatów tyjące.

Szedłem w zadumie... wtem myśl mi błysnęła:
— Ach, gdybym świata był królem,
spokój i ciszę dałbym ludzkim душom,
a ciałom — moc bez bólów.

I dusze ludzkie byłyby jak gwiazdy —
piękne, przezrocze i czyste,
a myśli ludzkie — jako nieba kwiaty —
w mirażach pustyni złociste.

I jak to słońce, co lśni o poranku,
jak sen — urocze byłoby to życie,
nikt by go z nieba na ziemię nie ściągał
i nie rozpraszał po świecie.

Szedłem spokojny, cichy, uśmiechnięty,
z głową otuchą wzniesioną...
— Lecz życie moje — to jeno baśń marna
temu Dzieciątku wyśniona.

O S I O Ł.

Skarżył się wkoło osioł wszelkiemu stworzeniu,
Ze Bóg srogi uczynił osłem tylko jego,
Skarżyć się było na co:
Bizuny i ciężary, trudy, brak uznania
Do obłądu przywiodły niemal nieszczęsnego.

A było to dawno,
Kiedy jeszcze do krzyża łotrów przybijano,
(Czemuż i w innych ziemiach ktoś ich tak napłodził!)
A nieco później przyszedł kres niedoli osła —
Bo w stajni demokrata Chrystus się narodził.

Tak jak w bajce brat trzeci i zwykle głupawy,
Osioł wreszcie doczekał — czczono jego imię —
Bo na swym oślim grzbiecie dźwigał Króla królów,
Do kościoła Go wnosił tam — w Jerozolimie.

I dumny, wciąż się pyszni, jakby order dostał —
Uratował świętego Józefa z rodziną!
A od tego czasu na ziemi i pod niebem
Nie mało różnych osłów, sierści coraz innej.

Dziś nie wobec proroków, lecz osłej kariery
Skoń swą kornie chylimy, szerząc osłów chwałę,
Choć co prawda dziś osły tak jak foksteriery:
Tylko zamiast ogonów uszy pościwały.

ŻYCIE JAK PŁATKI ŚNIEGU.

I

Ustroiła znów Litwa w welon panny młodej
równiny Suwalszczyzny, Oniksztyńskie góry
i nawet Chrystusa przydrożne figury.

Nic — że wichry północy ciągle jeszcze wieją,
a deszcze spustoszenia srogie wokół sięją.

O! Czy pamiętasz ty może,
jak wiśnie ośnieżyły kwieciami sad ojcowy,
sypiąc na nas konfetti biało-atłasowe?
A jabłonie i czeremchy, i grusze,
niby staruszki srebrem osiwiące,
szumiącym winem wiosny poły nam duszę?

Czy pamiętasz? — Wspomnienie na pewno zostało...
W ojcowym białym sadzie, gdy świeciło słońce,
coś w naszych młodych sercach w tych blaskach topniało,
jak teraz przy dotknięciu płat śniegu srebrzysty,
co twarze łą nam zmywa — jakby rosą czystą...

O! to dlatego —
wszystko wtedy tak inne oczom się zdawało:
i łąki kwitnące,
i morza oddale,
i sady ojcowe w swej bieli tonące...
O! wtedy nawet gwiazdy liczyć by się chciało,
i dla niej — tej najmilszej — nizać jak korale.

Dlaczego teraz —
na twarzach błyszczą łzami śnieżynki stopniałe
i coś w duszach już dawno, jak sen, się rozwiało?...
A może dni minione bajką były tylko —
kiedyśmy się bawili życia każdą chwilką,
jako śniegu pierwszego te motyle białe...

II

Jeszcze wczoraj chodzili po polach
Słońce-bóg złoty i wiosna rozśmiana —
Jak my na Świętojanki w dolinie Mickiewicza —
I — zda się — odgrywali rolę zakochanych.

Wiosna — dziewczyna młoda,
świeża jak kwietne łąki,
jak litewska dąbrowa — dziewicza.

A bóg złoty
jeszcze i teraz
(jak na Litwie wajdelotek)
dla wielu świętym zniczem płonący,
przezysty,
niedosięgly wciąż dla rąk tysięcy;
wciąż nie mogą spoglądać grzeszne ludzkie oczy
w jego źrenice palące,
ogniste...

Lecz i my dorównamy tej promiennej parze,
kiedy w święto Sobótek ognie się rozżarzą:

Rozchwieją się brzozy — kropidła,
Śpiew ptasząt — nasz chór i modlitwa,
woń kwiatów — ofiarne kadzidła,
ołtarzem naszym — cała Litwa...

Później — jesienią — aeroplanami odleciały jaskółki
i zwiędły kwiaty...

A wiatr skrzydlaty
zbierał do koszyka drzew rozpierzchłe złoto,
hen! ku Górze Witolda pędząc je z tęsknotą...
Wtedy — jak w strąku grochu jesienią —
rząd białych zębów w twych ustach się mienił...
O, dni nasze!

Jak chmurki tych płatów śnieżystych,
płyną gdzieś w dale, niewstrzymanie płyną —
aż wreszcie młodość, pełna krasy,
minie...

Teraz pola i lasy biało ustrojone,
niczym w zwiewnych welonach młode narzeczone
(zda się — do ołtarza szłyby dziś radosne —
smętku śmierci nie znają — i nie płaczą wiosny!).

Powiadają:
żeby to raz chociaż mógł człowiek bezkarnie
zawrócić na Mleczną Drogę
i nie stopnieć na ziemi jak płat śniegu marny!

F A T A M O R G A N A.

Noc czarnymi oczyma spogląda przez okna
I smugi dziwnych cieni wciąż po ścianach plecie...
— Ach, powiedz! Czy są takie zakątki na ziemi,
Gdzie mógłbyś nie zawdzięczać szczęśnych chwil kobiecie?

Wiem, że serca młodzieńcze żądzą szczęścia biją —
O, człowieku! Do niego wiosłujesz przez wieki!
Zawsze czarem kobiecym pachną szczęścia kwiaty,
Choć szczęście od kobiety daleko... daleko...

Moja dola — to dola taka marna, szara —
Bo poecie nie dane śnić szczęścia na ziemi,
Chociaż o nim wciąż śpiewa — sercem swym go nie zna.
Przez okna noc spogląda oczyma czarnymi...

ULECIAŁY Z ŻURAWIAMI...

Słowa naszej radości — niby sznur żurawi —
Uleciały daleko, by nie wrócić więcej...
Dla nich — pętlę na szyję nieraz zarzucamy,
Lub krzyżują nas srodze czyjeś obce ręce.

O! jakże wiele szczęścia obiecują wiosny!
Dni jesienne też czasem bogate w złocenie.
Często wiosna tak mocą swoją nie przemówi,
Jak to szczęście, co zabrzmia nam w echach jesieni.

Tu — na ziemi — nie tylko kwiaty schną i bledną.
Żywi ludzie też więdną, młodość swą żegnając.
I cóż z tego, że jeden szczęściem kwitł tak długo,
A w wazonach innego wiosny wciąż konają?

Słowa naszej radości — niby sznur żurawi —
Uleciały daleko, by nie wrócić więcej...
Dla nich — pętlę na szyję nieraz zarzucamy,
Lub krzyżują nas srodze czyjeś obce ręce.

MIKOLAS LINKIEVIČIUS
(* 1909 r.)

NADCHODZI BÓG...

Czy widzisz? Gościńcem Bóg idzie z daleka
I kroczy jak żebrak znużeniem schylony,
A wieczór otula już pola i łąki
I ciszę w krąg sieje na wiejskie zagony.

Lecz czy to znużenie tak barki Mu chyli,
Czy oschłość serc ludzkich tak ciężyc Mu może?
Choć wodzi dokoła przesmutnym spojrzeniem,
Nie staje pod krzyżem strzegącym przydroży...

Wciąż dalej i dalej, o kij idzie wsparty,
Od ludzkiej niedoli i trosk posiwiały.
A może nie troski, jeno ludzkie winy
Tak szronem siwizny skroń Mu osypały?...

J E S I E Ń.

Znowu wicher za oknem tak boleśnie płacze,
I znowu ziemia smutna, znowu nędzna jesień.
Lecz wychodzę dziś z domu, pozostawiam chatę —
Pragnę wszystko oplakać i ten smutny wrzesień.

Gdybym słyszał o kraju, gdzie nie więdną kwiaty,
Gdzie miłość się uśmiecha, bez cierni kwitnąca,
To szedłbym przez te pola i przez twarde grudy —
W tęsknocie do miłości, do kwiatów, do słońca.

Szedłbym tak bez przyjaciół, bez siostry pociechy,
Znoju drogi niebaczny i wyzbyty lęku,
Aż doszedłbym do kraju, gdzie wciąż kwitną kwiaty,
Kędy miłość rozkwita — bez pragnień udręki.

I znalazłbym tam szczęście bez pięknej dziewczyny,
Modre kwiaty całując, jak niebieskie oczy,
Ażbym ludzi zadziwił, że tak umiem kochać,
Zem do takiej miłości młody i ochoczy.

MODLITWA NA POLU.

Mało mnie to obchodzi, czy tu kto umiera,
Czy ze światem się wita — jam tych spraw daleki —
Bo ja pragnę żyć tylko liryką swej duszy,
Niebios jasnych lazurem, cichym szmerem rzeki.

Nieraz, kiedy mi duszę sny omamią złudne,
Szarej nudy apatią wypędzony z domu,
Idę, kędy mnie woła przemożna tęsknota
I — bawię się igłami sosny po kryjomu.

A co słyhać tam — w mieście — na gwarnych bulwarach,
I co w ciemnych podmiejskich spelunkach się dzieje —
Cóż to życie powszednie może mię obchodzić,
To, że ktoś się zabija, kocha się, czy śmieje?!

I tym razem zupełnie nie troszczę się o to,
Co tam kodeks praw ludzkich w księgach swych zawiera,
Tylko niech tych zarośli nad brzegami rzeki
I mej cudnej swobody niech nikt nie zabiera!

Mało mnie to obchodzi, że tutaj — na ziemi —
Zawiści i kochania ołtarzy tak wiele!
Bo ja będę się modlił liryką swej duszy
Hen! na polach samotnych, jak gdyby w kościele.

MOJA MAŁA BALLADA.

W słońcu błyszczy się toń morza,
Zda się, srebrem fala lśni...
— W morzu kąpią się dziewczęta
I wesoło śpiew ich brzmi.

Jak miłości święte słowa
Tam wolności płynie zew...
— A na naszej stronie tylko
Lśni się rubin, rubin — krew.

Hej! urocze te dziewczęta
Chciały ku nam przesłać wieść
I łabędziom rozkazały
Na nasz brzeg swe słowa nieść.

I podniosły się łabędzie —
Jedwab ich już we mgłach lśni...
— Srebrnych ptaków nie ujrzano,
Bo je wchłonął rubin krwi.

I tę radość, co nam niosły,
Utopiły w głębi mórz...
W sinej dali oceanu
Nie zaświeci ona już.

BOLESNY INTERWAL.

Niewiele wam dziś niosą duszy mej gołębie —
Westchnienia — przez allegro długie pożegnane,
Właśnie wczoraj skończyłem ranną uwerturę,
A jutro przez menuet będzie powitane.

Tylko ciche westchnienia niosą wam gołębie,
Śmierci i zmartwychwstania smętne interwale,
Gdyż do dzisiaj w mej duszy jeszcze ciągle płacze
Ta cała wokół pustka i bezmiar oddali.

ZIEMIA ŻMUDZKA.

Moja ziemia — piękna,
moja ziemia — święta.
Modre gór wierzchołki,
jasne nurty Venty.

Mojej ziemi serce —
odwieczna Szatryja.
A jej życie — w głębiach
Bałtyk swoich kryje.

Jej oczy — to niebo
gwiazdami ozdobne.
Jej łono — to góry,
co w kwiecie zasobne.

Jej szczęście wciąż wróżę,
całuję jej oczy,
i z jej ciepłych piersi
życia czerpię moce.

Jej ramiona pieszczą
i w objęciach tulą...
Jej krwi tętna słyszę,
jak w sercu pulsują.

Me serce — Szatryja,
moje oczy — Venta.
Moje łono — góry,
dusza — w Bałtyk wklęta.

W I E L K A G O D Z I N A .

Jam — nędzne echo wśród świata głosów,
mała kropelka bezbrzeżnych mórz.
Jam — słabe drzewo leśnych olbrzymów
i nikła gwiazda dalekich zórz.

Jam — z głębokiego łez ludzkich morza
łąą jedną tylko tej ziemi syna.
Jam — dziewiczego serca uśmiechem,
słodką miłością żmudzkiej dziewczyny.

Jam — surm wojennych mężny bohater.
Błysk jeden słońca — goniec pogody.
Jam — syn Ojczyzny dzielnych Żmudzinów
i dajn*) litewskich jam pieśniarz młody.
Jam — struna kankli**), ojców nadzieja,
i fala morza srebrna, figlarna.
Jam — mocz słońca, gdy pierś nawiedzi
natchnienia chwila, wzniosła, mocarna.

*) Dajna — pieśń ludowa litewska.

**) Kankla — ludowy instrument litewski.

A C H, S Z O F E R Z E, S Z O F E R Z E!

Ach, szoferze, szoferze!
Jakże płonęły twe oczy tęskniące,
Gdyś na operę woził piękne panie, panów
I słowa o miłości wciąż słyszał gorące!

Lecz cóż ci po tym? Wnet już miną równik...
Wszak parabolą nasza droga — bez powrotu —
Kochamy dzień, dwa — kochaliśmy i cztery —
I z impetem wjeżdżamy do grząskiego błota.

Ani Tosca, ani Carmen...
Tylko w sercu zostanie niezatarty ślad.
Pokieruj jeszcze trochę na lewo,
Bo tam — do wianka więdnącego —
Ostatni znajdziemy kwiat.

Ej, szoferze, szoferze!
Naprawdę masz oczy tęskniące!
Ta opera — daleko... nie wróci...
Nie wróci już nigdy ta piękna, czysta Carmen,
Która ci miłość we wspomnieniach nuci...

M O J A R A D O Ś Ć .

Ilem razy mijanym przyglądał się twarzom,
Nie wszystkie były piękne i godne podziwu,
A jednak w moich oczach świat zdawał się mrocznić,
Gdy od razu ktoś orzekł, żem nieurodziwy.

Lecz wierzyłem, że kiedyś miłości choć trocha
Życie moje rozjaśni; i że hymn radosny,
Jak ptak, w niebo słać będę. Dziś, gdym przestał
wierzyć,
Wichrom pragnę się oddać, jak jesion wyniosły.

Może z dali przyniesie dni promienne, jasne
Wiatr, co szmerze tak słodko, — wiatr, co groźnie
szumi...

Ale co to? U stóp mych jedna z wątłych trawek
Plecie skromne swe wiano, spoglądając ku mnie...

PANICZ.

Poprzez łąki zielone syn wyruszył ze wsi,
A powrócił — ubitą już szosą,
Jako panicz powrócił, hardo niosąc głowę,
Chociaż odszedł stąd w łapciach i boso.

Krótko w chacie posiedział, bo wieś go dławiała,
Więc do miasta paniczek znów wrócił,
Już przed krzyżem przydrożnym czapki nie uchylił,
Bo swe łapcie — te ze wsi — z nog zrzucił.

Lecz gdy miejskie buciki znoszą się, o synu,
O mój synku, synaczku jedyny,
Powróć tutaj do matki — ugości cię suto.
Nie zapomnij o wiosce rodzinnej!

Ale jeśli ci w oknie światełko nie błysnie
I nie stanie kądzieli w izdebce —
To wyjdź wtedy do sadu, pochyl gałąź wiśni,
Niechaj moje ci słowa wyszepce.

A za gumnem, gdzie wonna koniczyna rośla,
Gdzie krzyż stoi zmurszały, co dziady pamięta,
Niechaj czarną wsi nędzę tam ci wyśpiewają
Wiejskie, w łapciach plecionych, dziewczęta.

LITWA.

Gdy drogie słowo „Litwa“ w uszach mych zadźwięczy,
To mi sławnej przeszłości już nie przypomina,
Ani tych wiekopomnych bojów Witoldowych,
Ani twierdzy warownej księcia Giedymina.

Lecz kiedy słowo „Litwa“ tak drogie usłyszę,
Widzę zaraz tonącą w kurzu wiejską drogę
I naszych wiejskich pastwisk czarne kretowiska,
I z kościoła idącą babulkę ubogą.

A tam — pod płaczącymi krwią jarzębinami —
Złotowłose, różowe, niczym polne kwiatki,
Stoją, patrząc ciekawie, zabłocone, bose —
Wiejskich dzieci lęklwie stłoczone gromadki.

W modrych oczkach — błękitem przeblęska jezioro,
I uśmiech w nich odnajdziesz nędzy — zabłąkany,
Wpatrz się długo, głęboko w te dziecięce twarze,
A w nich Litwę zobaczysz — kraj twój ukochany.

G A Z E C I A R Z.

Badawczo spoglądają jasne dziecka oczy:
„Hej kupujcie gazety, panowie!“
Małe jego rączyny zziębnięte, czerwone
I czerwona czapeczka na głowie.

Wciąż cierpliwie od jednej do drugiej kawiarni
I od szynku do szynku wędruje,
Czasem skrzywi się tylko, gdy pijana dziewczka
Plugawymi go usty całuje.

W dziecięcych smutnych oczach wirują bez końca
I migają wciąż twarze widziane.
„Hej! panowie, kupujcie gazety, dzienniki!“
W uszach huczą mu głosy pijane.

Wszystko w małej tej główce bezładnie się miesza,
Niby film po wariacku się kręci:
Wróbla gwarne ćwierkanie z alei Wolności
I płacz cichy braciszka w pamięci.

A ile już dziś centów zarobił od rana,
Ani zliczy sam, ani spamięta...
„Hej! panowie, kupujcie, kupujcie gazety!“
— Ledwie widzą zaspane oczęta...

PRZYJACIELE.

Obydwaj jednakowo wynędzniali, brudni,
Obydwaj tak już dawno kraść się nauczyli!
Dla nich obu drzwi każde szczelnie zatrzaśnięte —
Niepotrzebni nikomu, nikomu nie mili.

Psiak bezdomny i chłopię, jak szczenię zgłodniałe,
Jak ta trawa przy drodze, przed czasem zwiędnięta.
Jednakowo spragnieni miłości i chleba,
Tak się włóczą po świecie, jak nędzy bliźnięta.

Nikt się nawet nie wzrusza ich oczu wołaniem,
Wspólny uścisk ich tylko pociesza i grzeje,
Aż kiedyś nędzę obu — w noc śnieżystą, mroźną —
Ukoi litościwie macocha z zawieja.

O S O B I E.

Żyję — jak wielu żyje:
Trochę myślę, pracuję, uśmiecham się, śpieszę,
A krew — jak mocne wino — szumiąc w żyłach płynie,
I co dzień jasnym słońcem, gdy wschodzi, się cieszę.

Choć sercem lekkomyślnym, lecz kocham tę ziemię,
Kwitnącą barwnym kwieciami i krwią polewaną —
Tę ziemię naszą żyzną, cichą i spokojną,
Ziemicę — rodzicielkę, macierz ukochaną.

Jam jej córka... lecz — córka płoża, marnotrawna,
Kwiatów niosę i ziela dlań wonne naręcza.
Czasami się raduję jak rumianek w słońcu,
Lecz częściej — za walk echem — tęsknota mię dręczy.

Wiem, że lekki mi będzie tutaj dzień ostatni.
Niech popłyną beze mnie nowym szlakiem rzeki!
Ja do ziemi powrócę — tej wspólnej ojczyzny —
Inni będą się cieszyć, cierpieć, jak przed wieki.

MOJA DROGA.

Kiedy pierwszy raz kroczyłem
Wonnym polem koniczyny,
Młodość moja grała marsza
Tą fujarką — tą z wierzbiny.

A melodia słodka, cicha
Modrym niebem falowała,
Bez namiętych dysonansów
Wciąż się co dzień powtarzała.

Gdy zmiennego losu ręka
Wielką księgę otworzyła,
W bzach mi skrzypce zapłakały,
Pieśń miłości zanuciły.

I płynęła pieśń w me serce,
Odurzała słodkim jadem,
Bór tęsknotą cichą szumiał,
Życie grało serenadę.

A cóż dzisiaj?
— O! dziś gorzko wciąż się śmieję,
Ze choć kwitną wokół kwiaty,
Ze choć wiosna promienieje —
Już fujarka mię nie wzrusza,
Ani skrzypce mnie nie cieszą,
Kiedy w mroczną drogę śpieszę.

O! dziś tylko...
Słowa huczą mi z oddali
Betonu mocą, podźwiękiem stali,
Niewolą serce moje pętają —
Bo kulmioty marsza mu grają.

BOGINI WOJNY.

Jej postać olbrzymią, wyniosłą
W krąg chusta z płomieni okrywa
Na szyi ma z czaszek bursztyny
I burzą wyjąca się zrywa...

Pod flagą jej krwawą, ognistą,
Głów chylą się całe miliony,
I ziemia nieszczęsna aż jęczy,
I niebo się krwawi czerwono.

I w jękach tych pola się dymią,
Jak robak — człek sunie pełzając,
A kosy złej śmierci okrutnie
Wciąż mężów żelaznych ścinają.

I hufce tysiadcze się chylą
Gdzieś w nicość przepastną i czarną —
Nie wolno się skarżyć i wzdychać,
Składając jej dań tę ofiarną.

Gdy krwią się opije i łzami,
W dalekie znów strony wędruje,
Na szarych zaś polach, pożogach
Już nowe los życie gotuje.

Jej postać wyniosłą i dumną
W krąg chusta czerwona okrywa,
Na szyi ma z czaszek bursztyny
I burzą wyjąca się zrywa...

ANTANAS JASIUNAS
(* 1910 r.)

J O D Ł A T A N C E R K A .

Onegdaj padał śnieg... Białymi gałęziami
Pochyliły się nisko drzewa ośnieżone
I przyszedł srebrny księżyc, ażeby podziwiać
Diamenty jodły zielonej.

A ona — jak tancerka znużona —
Zda się, zastygła w bezruchu,
Wsparta lekko o łoża swego srebrne, zimne puchy...
O! dopóki nie skończy snów czarownych swoich,
Nie obudzi się! nie zrzuci kosztownego stroju!

O północy wiatr przybiegł i u stóp jej legł
I czekając pokornie, by wyrzekła słowo,
Zapatrzony w błyszczący diadem brylantowy,
Tego snu jej cudnego i tej ciszy strzegł.

P O K U S Y .

Mój szatan mię prowadzi,
mój Bóg miecza nie dobywał

Coraz bliżej południe życia,
jego pożoga spokój serca
w perzynę i pył rozwiewa.

Wpiły się w mój duch
milion słońc promienie,
nęcają mię i wyrwać chcą tej ziemi.

Znalazłem ja ścieżki otwarte do świątyni,
gdzie rzesze handlujących przez Chrystusa wypędzone,
gdzie z tronu złote cielce już strącone.

Wiem, że spadną na mnie oburzeń kamienie,
że przed mamoną kłamstwa czoła nie schyliłem
i gońce światła — promienie
do serca swego przyjąć się ważyłem.

Jeżeli mi rozkażesz, będę mówił, o Panie!
lecz me słowa — to walki zew,
na płaszczu moim — ziemski kurz,
na płaszczu moim — krew.

Przed nim ci tylko strachu nie zaznają,
co serca jeszcze jako dzieci mają.

Moja miłość nie tam,
gdzie usta kobiece uśmiechy ślą nam.
Moja miłość nie tam,
gdzie co dzień wino i chłód ożywczy cienia..
Moja miłość — ku zaświatom ciężenie,
pokusy moje — to czyn tworzenia.

CZŁOWIEK.

Nie całuj mię, szatanie!
Bratem twym jeszcze się nie mienię!
Me serce jeszcze zemsty nie zaznało,
nie objęły go żarem — pogardy płomienie.

Idę za tobą,
bom cuda twoje wciąż podziwiać rad —
tak ich wiele... Więc za tobą idę w ślad
i widząc, jak niszczysz wszędy dzieło Boże,
chylę czoło i — zda się — głos twój słyszę:
„Ja tworzę!”

Pomnę —
coś świętego było we mnie...
Lecz co? — Tej świętości dotąd nazwać nie umiałem,
a tyś zakrył ją płaszczem złego ciemnym
i w nowe jutro wierzyć, czekać wciąż — kazałeś.

Lecz nie zostałem twym bratem, o szatanie!
Nie mnie druzgotać twórcze wieków dzieło,
bo ja płonę pragnieniem tworzyć w Twoje imię, Panie!

B A J K A.

Poprzez dymy pociągów, co biegną w oddale
I po cichu płaczących drutach telefonów —
Przez drzwi mocno zamknięte, żelazem okute —
Poprzez światła jaskrawość — mgliste łez zasłony —

Ze sznurami żurawi na północ ciągnących —
Albo z gnomów królestwa, tajemnych podziemi —
Przylatuje cud ≠ bajka, egzotyczny motyl,
Stubarwnym deszczem błysków jak tęcza się mieni.

Wilki srogie litują się doli sieroczej...
Mała stopka dziecięca siedem mil przemierza...
A tam Egli*) małżonka, co ma postać węża,
Zabijają źli bracia na morskim wybrzeżu...

Tu znów pająk z kruszyną wznosi się do nieba
I ludzką gwarzą mową ptaszę, kamień, drzewa...
Głupi człeczek wędruje na swym ślepym koniu,
Szczęścia szuka wytrwale, choć świat go wyśmiewa...

Wszystko wkoło promienne, siecią złud spowite:
Drogi, dróżki, rozstaje, gościńce i ścieże...
I tak w bajkę wsłuchany, jak w słowicze pieśni,
Nie światu i nie ludziom, ale bajce wierzę!

*) Egle — jodła.

Z W I E R Z Ę.

Żyję wśród stworów, co się zwą zwierzęta,
A moja miłość — to lasu schroniska,
A zdobycz w nocy — mych oczu ponęta,
Uczucie moje wyciem wytryska!

Ni matki, ojca... ani brata, siostry...
Na drzewie czekam zdobyczy do świtu.
Tak jak mój dawny praszczur Dinozaur,
Będę żył dotąd, aż człowiek mię schwyta.

Wiem o tym dobrze — zaraz tutaj przyjdzie —
Wśród drzew i olbrzymów on — karzełek mały...
Muszę więc ostrzyć twarde swe pazury,
Aby w potrzebie i szarpać umiały.

Słyszę... Nadchodzi!... Czaję się i rzucam,
Wpijam w serce pazury, szarpnię łono...
Wróg mój drga jeszcze na skrwawionej trawie
I drzewa słyszą, jak z rżeniem kona.

Bluzga krwi struga, plamiąc orchideje...
Agonią wroga oczy swoje sycę —
I — zwycięzca człowieka — wtedy wyc zaczynam,
A ze mną razem wyją stwory małpiolice.

S M U T E K.

Wolny przekład.

Z ciemnej, pożółkłej lampy konających błysków
Sen skrzydlaty wyfrunął — i unióś mą duszę
Na brzeg inny — jak gdyby w obrazach Rembrandta —
Na skłębionych obłoków bujne pióropusze.

Z mrocznych kątów pokoju smutek wypełził cichy
I me usta pobladłe mocno skuł milczeniem...
Już tam — na ciemnym niebie — gasną złote gwiazdy,
Tylko Saturn wciąż płonie srebrem swych pierścieni.

Noc — w bezruchu zastygła — lęka się i trwoży,
By przed świtem nie umrzeć od światła pocisków,
Bo hen! na horyzoncie miecz ognisty wznosi
Migotliwa kometa o złotym połysku.

Cicho, smętnie śpiewają gdzieś w starych ruinach
Młode, piękne Undyny odwiecznej tęsknoty...
I płynie kędyś w dale pieśni nieśmiertelność
I w bezkresach mię topi — jak te gwiazdy złote.

C Z Ł O W I E K .

Pomnik Hektorowi i Parysowi!
Pomnik Apulejuszowi!
I temu, kto przebrnie życie,
Przebrnie — i nie zawini, choć skrycie!

Rozbiło się nie dziesięcioro, lecz setki przykazań
I miliardowe formy i ludzi, i rzeczy,
Ale już w Piśmie świętym przecież powiedziano:
„Nikt człowieka z słabości jego nie uleczy“.

Widzę błędzącego na Syjonie Mojżesza,
Gdy o powrót praw dawnych do Jehowy woła,
Zdruzgotany jak człowiek, co już żyć nie zdolny —
Jak człowiek... nie jak Mojżesz Michała Anioła...

MIŁOŚĆ PRZYRODY.

„On me dit une mère, et je
suis une tombe.“

Alfred de Vigny.

Wszystkim zawsze i wszędzie — nawet na Golgocie —
Od Alfy do Omegi form życia dosięga
Poranne jasne słońce, co jednak o grzeje
Serca skryte w jedwabiach i w grubych siermięgach.

Choć ktoś kiedyś powiedział, że życie to męka,
Nawet starość chce unieść trumny swojej wieko
I żyć wszyscy pragniemy, czy nam szczęście śpiewa,
Czy też popiół pokutny już nas tylko czeka.

Ale de Vigny! Oby nie słyszeć cię nigdy!
Ani twego imienia, ni twych ksiąg szelestu!
Bo na każdej tam karcie czytam: „Zwą mnie matką“.
A jam grobem już tylko! grobem tylko jestem!

TRAGEDIA MIOTŁY.

Pęka wyschnięty asfalt ulicy
I oczy reklam kurzem zamiotło,
Gardła kanałów śmieciem ochrypły,
Hej! nie śpijże już ty, stara miotło!

Pną się pałace... baszty kościołów...
W chichocie witryn krzyczą wciąż mody...
Tam oranżada, likiery, wino —
Tu — kamień pragnie choć kropli wody!

Skrzą się kamienie... Cementów tafle...
Liczy ich miotła każdego rana.
— Co wieczór ścieraj szlam brudnych potów,
Ich łzy oślizgłe, miotło stargana!

Trzydzieści godzin choć chlaszcz na dobę,
Wciąż ślady kurzu gryzą sumienie,
Pleśń je okrywa — pod nią nie dojrzysz
Tragizmu miotły i jej istnienia.

O! ty jesienne grząskie błocisko,
Ściekiem nawozów brudne kamienie!
Miotła wciąż chlaszcze, bo słyszy wokół:
Chleba i chleba — jedno pragnienie!

Miasto zbrukane — tęskni za śniegiem,
By ukryć pod nim swój brud wstydliwie,
Więc nawet nocą nie spocznieś, miotło!
Świszcz, chlaszcz i łzami pój się, pożywiaj!

Latem znów miasto do lasów śpieszy,
Zimą — opera, balet, komedie...
— Któżby chciał poznać choćby za darmo
Starej, wytartej miotły tragedię!

MARY ZAULKÓW.

Na ulicy śnieg...
Na ulicy lód...
Z chaty pędzi głód —
tam w aleje, na ulice,
i w dzielnice za dzielnicą —
tak bez końca... tak bez końca...

Przy drzwiach restauracji,
przy wrotach teatru
wynędzniałe —
czarne postacie,
skostniałe:
„Takie już zwyczajne!
Łotry i hultaje!“

W chacie głód...
W sercu lód...
Ręce i nogi drżą —
Choć do trumny się kładź!
— „Och! dobrzy ludzie,
Dla miłości Boga!“
— „Ha s ha s ha!... Boga?
To brzydko — z małym dzieckiem
Zebrząc — dłoń wyciągać —
Idź drzewo rąbać!“

JONAS MINIUS

— „O litości nad biednym... Litości!
Dwoje dzieci z głodu umiera!
A i trzecie tu chwilowy gość...“
— „Ach, ach! napadli te włóczęgi,
Łotry!
Daj im dobre cięgi!
Tego dość!“

— „Pani Wando,
do teatru?“
— „Lepiej do baru:
Zmiana repertuaru.“
Och! ten wieczór nieszczęśliwy!
Dziecko!... twoje łyzy
na policzkach już zamarły...

A tu...
znów dzielnica za dzielnicą...
Na ulicy lód...
w izbie głód —
bieda i nędza bez końca!
Chleba! Chleba
i wolności!

O! jak trudno sięgnąć tutaj
tego nieba —
sięgnąć jego słońca!

M O D R E O C Z Y .

Modre twe oczy, dziewczyno,
Jak kwiat lnu w porannych rosach,
Lecz nad sadu jabłonianii
Błękitniejsze są niebiosa.

Twoje oczy w łzach skąpane,
Na powiekach — krople rosy,
Bo twój kraj spowity w nędzę,
Kraj — jak żebrak — głodny, bosy.

Błękit nieba też ciemnieje,
Gdy go chmur zawłoką zwały.
Przyjdzie burza... Krzywdę wielką
Będzie wieścił dym wystrzałów!

I zrozumiesz wtedy może
Wszystkie nędze, wszystkie zgrzyty,
W cieniu klonów i lip starych
Ten niepokój — dziwny, skryty.

Wtedy — może twoje oczy
Zajaśnieją bardziej modre
Niżli niebios tych błękity...

N I E U G N I E N A S B U R Z A...

Burza!... Sosny zielone chwieją się, kołyszą...
Tam — nad wodą zmaconą pochyła się trzcina...
Czy i nas ugną burze? Czy się załamiemy?
— Ból jesieni przetrwamy? — Powiedz, o jedyna!

Noc zaległa w krąg czarna, jakby noc jesieni...
— Kwitną i płaczą rosą śnieżyste jabłonie...
Po wsiach włóczą się nędze i oczy łąą mgławią —
Trud i pracę skupują na chłopskim zagonie...

— Nie wyglądaj wciąż oknem! Nie skarż się, jedyna! —
Bo nikt twoich lamentów ni płaczu nie słyszy.
A noc taka dziś ciemna, taka krwawa, sroga,
Że ran serca nie dojrzy — bólu nie uciszy.

Pomnę jeszcze te role, pobrużdżone, czarne,
Pomnę brzozy warkocze, na wietrze rozchwiane.
Wiem, że nędze i biedy wśród nocy tam błędzą —
Te nędze, co obute są w klumpie*) drewniane.

Podaj rękę! Uściśnij! — Niech dajna zadzwoni!
A wicher niech zaszumi i sosny pozgina!
I nam może dzień jutra przynieść gromy, burze,
Lecz nie zdoła nas ugiąć! — Powiedz, o jedyna!

*) Klumpie — drewniane chodaki, noszone przez lud litewski.

STRZASKANA RELIKWIA.

Czy wczesną wiosną, czy późną jesienią
W wonnej oranżerii moich młodych dni,
Dopóki życia jeszcze nie poznałem,
Kwitła relikwia, co to w sercu tkwi.

I szczęście moje było promienniejsze
Niż całe niebo, niż czar ziemskich snów...
Zwróć mi to szczęście, o Ty, „Agnus Dei“!
Choć jeden kwiatek niech zakwitnie znów!

O życie, życie! — Śliskie twoje zbocza —
Więc i cudownej mej relikwii kwiat,
Pomiędzy mnóstwem ostrych, nagich złomów,
Na skałę życia rozstrzaskany padł...

NASZ BÓG JEST WIELKI!

Jakżeś wielki, potężny w całym swym wszechświecie!
Jak potężna budowa Twoich myśli wielkich!
Czuję tchnienie Twojej mocy i Twój gest szeroki
I... diabelskie uśmiechy Twoich stworów wszelkich.
Wielkiś, Boże! Tyś wielki!

W przewspaniałym pałacu Twojej Boskiej wszechmocy
Jako robak ten marny w ciemnościach się wiję.
Lecz widzę, że i gwiazdy mrugają zdziwione:
— Przebacz, że się dziwimy, jak wszystko, co żyje,
Ześ tak wielki, tak wielki!

Niezmierna moc Twoja! — Czy Ci jej nie staje,
Ze marnością Swych stworzeń pragniesz ją pomnożyć?
Chcesz, bym pełną z śmietnika w zgniliznę nawozu,
Dań Ci składał z mej nędzy — rab Twój korny, Boże?
O, Tyś wielki! Tyś wielki!

Czy nie starczą Twojej chwale cherubinów hołdy
Ani pienia serafów, składane w ofierze?
Czy majestat Swój czujesz, jeno gdy Cię wielbi
Spiekłymi usty człowiek — stwór najlichszy — zwierzę?
Wszakżeś wielki! tak wielki!

Tyś możny Pan Zastępów, Absolut Wszechmocy!
Nic dorównać nie zdoła wszechpotędze Twojej
Poprzez wieków tysiące i na wieki wieków...
Więc wielbimy Twe Imię, cierpiąc głód i znoje.
O! Tyś wielki! Tyś wielki!

WIEZIENIE.

Tutaj tak ciasno, że brak i powietrza,
Nawet na słowo miejsca jest za mało.
A ja słowami jeszcze radbym zasiać
Nie tylko ziemię, ale wszechświat cały.

O! ja rozmawiać bym chciał ze światami!
Chcę je wygwizdać, bić brawo w potrzebie,
Rękami pragnę pogłaskać też słońce,
Potem z gwiazdami nocować na niebie.

Błękity niebios chciałbym połaskotać,
Nawet planety przemierzyć ja roję,
Wsparty o ziemię, gdzieś na księżyc sięgać,
By tam wygodnie złożyć głowę swoją.

Chcę wszystkie gwiazdy zaprosić do siebie,
Aby swą wolę mocarną objawić,
— O! bo mię strasznie, strasznie swędzą dłonie! —
W szatański skandal chciałbym się zabawić.

Podburzyć całą przeciw niebu ziemię,
Gwiazdy i księżyc pokłócić ze słońcem —
I iść... Przebojem brać świat... postarzały,
Nowych form bytu — dzisiaj być mu gońcem!

W P A R K U.

Gdy wieczór cichutko już mruży oczy
I zawiązuje czarną chustę nocy —
Do parku biegnę wesoło, ochoczo,
Gdzie radość i szczęście życia dni złocą.

I widzę znowu swoją wieś rodzinną,
Dumną w niedoli, co w niej często gości,
Słyszę, jak woła stamtąd szczęście moje,
Co się zbłąkało już dzisiaj w ciemności...

Wracam... Ulica... Już mię nic nie nęci...
Ciężko... I radość w piersi znowu ginie —
Widzę jak szczęście odemnie odlata
Na pierwszej z brzegu jadąc limuzynie...

K O R E K T U R A.

Sprawdzałem kilka razy swoją korekturę:
Nigdzie błędu, nieprawdy, ani też obłudy,
Bo łyż wszystkich jednakie, gorące i słone,
Droga wszystkim ta sama i kalwarii trudy.

Wiem nawet, że ten papier zdracą moim będzie...
Lecz czy mam swego czynu pożałować może?
Nie... bo już jestem z życiem tak dawno w rozterce,
Że chcę z nim stoczyć walkę choćby i na noże!

W I A N O.

Pusta skrzynia — nie ma wiana,
Nieotwarte stoją wrota
I, choć jesień nie nadeszła,
Już zielona więdnie ruta.

Pójdę zbierać, matuleńko,
Rosy gorzkich łez wylanych,
Może zmienia się w sznur pereł —
Będą mi bogatym wianem.

I ukradnę od słoneczka
Pęk promieni jego złotych,
I ze wszystkich — najbogatszy
Chłopcu pas złocisty splecę.

Moje oczy — jak błękity,
Jak lelije — moje ręce...
— Hejże, chłopcze! zawróć konia —
Najcenniejszym wianem nęcę!

— Płyną dni i płyną lata
Niepokoju... żalu mego:
Naszych wrót nikt nie otwiera --
Nie mam pasa złocistego...

O! Matulu, matuleńko...

PRZYPISY BIOGRAFICZNE

Podaję tutaj szczegóły z życia niektórych poetów, wyjątkowo zaś tylko przytaczam szczegóły odnoszące się także do ich twórczości literackiej, a to mianowicie w tych wypadkach, jeżeli — ze względu na układ części wstępnej niniejszej Antologii — nie zostały one już tam omówione. Podane tu wiadomości, w niewielkiej ilości, do ryczo zebrane, mają głównie na celu scharakteryzowanie środowiska, otoczenia, wykształcenia, zawodu i innych warunków, wśród których rozwijała się twórczość literacka tych pisarzy. Rozmiar treści i wielkość podanych tutaj notatek oczywiście nie jest żadną wskazówką na określenie znaczenia i pozycji danego autora w literaturze, a jest jedynie następstwem faktycznej ilości zebranego i posiadającego przeze mnie materiału biograficznego.

Zaznaczam, że w kilku litewskich tytułach dzieł zastosowano tutaj pisownię polską, a to z powodu braku czcionek litewskich odpowiedniej wielkości.

Str. XX i 11.

KRISTIJONAS DUONELAITIS

(1714—1780)

Urodził się w Prusach (w t. zw. Małej Litwie). Rodzice jego byli wolnymi rolnikami. Szkołę średnią, oraz uniwersyteckie studia teologiczne ukończył poeta, jako pruski stypendysta państwowy w Królewcu.

W ciągu kilku lat spełniał on funkcje organisty w różnych parafiach. Później został pastorem w Tolminkiemach, gdzie Litwini wówczas stanowili przeszło 30% ludności; dla nich wygłaszał w święta kazania także po litewsku.

Oprócz znanego poematu „Cztery pory roku“, Duonelaitis pisał także bajki. Posiadał wielorakie zdolności: poeta, fizyk, ogrodnik, optyk.

Str. XX i 13.

DIONIZAS POŠKA

(1760—1831)

Pochodził z bogatej szlachty żmudzkiej i był właścicielem majątku Bordzie na Żmudzi. Piastowany urząd pisarza sądu ziemskiego w Rosieniach porzucił, jako nie odpowiadający jego zainteresowaniom. Natomiast rozmiłowany był w studiach i badaniach kultury litewskiej. Troskliwie gromadził starożytności, pamiątki i dokumenty starej kultury, które przechowywał w swym sławnym, przeszło 1000-letnim dębie „Baublisie“.

Poza głównym swym dziełem, o którym mowa w części wstępnej niniejszej książki, napisał: „Rozmyślenia wieśniaka = rolnika o narodzie i języku litewsko-żmudzkiem“ a ponadto pisał satyry, epigramaty i dumy historyczne.

Prowadził też studia językowe i pracował nad słownikiem litewskim.

Str. XX i 15.

ANTANAS STRAZDAS

(1763—1831)

Pochodził z rodziny chłopskiej. Po ukończeniu seminarium duchownego w Worniach, został księdzem. Choć był człowiekiem wykształconym, jednak nie doczekał się wyższego stanowiska w hierarchii kościelnej; przez całe życie był wikarym i to w podrzędnych parafiach. Przyczyną tego był przypuszczalnie fakt, że będąc człowiekiem prostym i blisko zżytym z ludem, którego niedolę odczuwał całym sercem, nie umiał się zbliżyć i podporządkować wyższemu duchowieństwu, które wówczas rekrutowało się z warstw wyższych. W latach późniejszych Strazdas został przez władze kościelne suspendowany z powodu przekroczenia celibatu i małżeńskiego pożycia z kobietą, z którą miał też dzieci.

Był to prawdziwy poeta ludu, to też i lud go cenił i kochał, nie odstępując go nawet wówczas, gdy oficjalnie nie mógł spełniać funkcji duchownych.

Pisał sielanki, pieśni świeckie i kościelne, które dotychczas przetrwały u ludu, jakkolwiek nie wszystkie były opublikowane drukiem.

Str. XXII i 22.

ANTANAS BARANAUSKAS (BARONAS)

(1825—1902)

Urodził się w Oniksztach. Ojciec poety, poddany chłop królewski, mając liczną rodzinę, postanowił najzdolniejszego syna wykształcić, by w ten sposób zmniejszyć ciężar utrzymania pozostałych. Oddał więc Antanasa na specjalne kursa dla pisarzy, po ukończeniu których, poeta pracował w tym fachu przez kilka lat.

Pierwsze swoje wiersze, pod wpływem polskiego otoczenia, w którym się znajdował, pisał poeta po polsku. Talentem swoim zwrócił uwagę na siebie i dzięki poparciu onikszyńskiego proboszcza kształcił się dalej. Wybierając zawód duchowny skończył seminarium duchowne w Worniach. Tam poznał wielu uczących się litwinów i zaczął pisać po litewsku. Dalsze swe studia kontynuował i ukończył w duchownej akademii w Petersburgu, gdzie przez kilka lat był profesorem. Wróciwszy do Kowna wykłada w tamtym seminarium duchownym religię i język litewski przez lat 20. W roku 1897 mianowany biskupem w Sejnach, gdzie też dokonał swego żywota.

Oprócz wspomnianego już poematu „Lasek Onnikszyński“ znany jest jeszcze jego utwór p. t. „Podróż do Petersburga“ (Kelonie i Peterburka).

Str. XXII i 25.

VINCAS KUDIRKA

(1858—1899)

Urodził się we wsi Pożery (Pażeriai) powiatu wilkowyskiego. Pochodził z zamożnej rodziny wieśniaczej. Uczęszczał do gimnazjum w Mariampolu, gdzie prawie wszyscy nauczyciele byli Polakami. Kudirka pilnie studiował literaturę polską i sam też czuł się Polakiem. Litewskie poczucie narodowe wystąpiło u poety dopiero w czasie jego warszawskich studiów uniwersyteckich, a to na skutek zapoznania się i lektury narodowego czasopisma litewskiego „Ausra“ (Zorza), wydawanego nielegalnie w Prusach. Odtąd swoje wszechstronne zdolności i życie poświęcił Kudirka dla Litwy.

W r. 1881 wstąpił na uniwersytet warszawski, gdzie studiował zrazu filologię, a potem przeniósł się na medycynę. Jako student medycyny za tłumaczenie „Kapitału“ Marksa, został uwięziony na dwa lata. W roku 1889 już jako lekarz wrócił do Litwy, gdzie za wydawanie czasopisma „Varpas“ (Dzwon) znów dostał się do więzienia.

Pobyty w więzieniach zrujnował wątłe zdrowie poety i mimo leczenia się na Krymie i nad Adriatykiem zmarł w r. 1899 w Nowem Mieście w Litwie.

Zasługi Kudirki dla narodu litewskiego są ogromne; wydając Varpas przyczynił się do utrzymania i budzenia ducha narodowego wśród szerokich rzesz Litwinów.

Str. XXIII i 29.

PRANAS VAIČAITIS

(1876—1901)

Pochodził ze średnio zamożnej rodziny włościańskiej. Uczęszczał do gimnazjum mariampolskiego. Oddany przez ojca do seminarium duchownego w Sejnach, nie przystąpił do egzaminów i odtąd sam musiał pracować na siebie. Przy pomocy prof. WALTERA skończył studia uniwersyteckie w Petersburgu w r. 1900. Już jako student zaczął pracować dla Litwy, ogłaszając swoje utwory literackie w „Ukininkasie“ i czasopiśmie litwinów amerykańskich „Jedność Litwinów“ (Wienybie Letuwininku). Za wiersze patriotyczne został uwięziony. W więzieniu wystąpiły u poety pierwsze oznaki gruźlicy, która też w młodym wieku położyła kres jego życiu.

Piękne, pełne smutku i uczucia są jego liryki, elegie, pieśni patriotyczne, historyczne i inne.

Str. XXIII i 31.

JONAS MAČIULIS — MAIRONIS

(1862—1932)

Pochodził z zamożnej rodziny włościańskiej. Uczył się w gimnazjum kowieńskim, gdzie już w VI-jej klasie za swoje opracowania zdobył opinię literata. Po ukończeniu szkoły średniej w r. 1883 studiował filologię i historię na uniwersytecie kijowskim, lecz po roku wstępuje do seminarium duchownego w Kownie, gdzie wpływy polskie były bardzo silne. Tam poznaje ks. Baranuskasa (Baranowskiego), wicerektora seminarium i zaczyna pisać po litewsku. Pisze mianowicie do nielegalnej „Auszry“ i innych pism. Przed wyjazdem na dalsze studia teologiczne do akademii duchownej do Petersburga, wręcza ks. Baranowskiemu swój poemat „Litwa“, który jednak nie zrobił należytego wrażenia. W r. 1892 kończy akademię w Petersburgu i zostaje profesorem seminarium duchownego w Kownie. Niebawem przeniesiony w charakterze profesora do akademii duchownej w Petersburgu, pracuje tam przez lat 15. W r. 1909 wraca

jako rektor do seminarium duchownego do Kowna, gdzie wykłada filozofię teologii. Po powstaniu Uniwersytetu Witolda Wielkiego, zostaje powołany w charakterze profesora wydziału teologicznego. Wykłada teologię moralną, a przez krótki czas także historię literatury litewskiej. Na tych stanowiskach rektora seminarium duchownego i profesora uniwersytetu pozostaje do śmierci.

Oprócz dzieł przytoczonych w części wstępnej niniejszej książki pisał jeszcze dramaty („Gdzie zbawienie?“, „Śmierć Kiejstuta“ i „Witold u Krzyżaków“ i inne).

Str. XXVI i 41.

MOTIEJUS GUSTAITIS

(1870—1927)

Pochodził z Suwalszczyzny. Gimnazjum skończył w Mariampolu, seminarium duchowne w Sejnach. Studiował na uniwersytetach w Rzymie, Fryburgu i w Krakowie. Uzyskał stopień doktora filozofii za rozprawę o „Sonetach krymskich“ Adama Mickiewicza.

Przed wojną światową uczył religii w gimnazjum mariampolskim a po odzyskaniu niepodległości, został dyrektorem gimnazjum w Łoździejach, gdzie też zmarł.

Str. XXVI i 47.

LIUDAS GIRA

(ur. 1886)

Urodził się w Wilnie. Jeszcze w r. 1912 był inicjatorem i redaktorem kilku pism polskich w Wilnie i Kownie. Od roku 1918 stale mieszka w Kownie. Pisać zaczął młodo, jeszcze do pism litewskich, wydawanych zagranicą w czasie zakazu publikowania druków litewskich alfabetem łacińskim.

Dłuższy czas był on dyrektorem litewskiego teatru państwowego w Kownie (1921—1926) i jest dotychczas znanym krytykiem teatralnym.

Ostatnio poeta redaguje pismo „Nowości Literackie“ (Literaturos Naujenos) i bierze czynny udział w organizacji życia literackiego.

Oprócz wymienionych w części wstępnej utworów napisał jeszcze: „Zemsta“ (Kersztas), „Wschodząca jutrzeńka“ (Beausztanti auszrele), „Goście“ (Sweczaj), „Kwiat paproci“ (Paparčio žiedas) i kilka utworów dramatycznych, granych na scenie kowieńskiej. Zajmuje się obecnie między innymi opracowaniem nieznanych listów Elizy Orzeszkowej i Marii Konopnickiej.

Str. XXVII i 62.

VINCAS MYKOLAITIS — PUTINAS

(ur. 1893)

Urodził się w pow. mariampolskim. Wyższe studia ukończył na uniwersytecie fryburskim i monachijskim, gdzie studiował: literaturę, filozofię i sztukę. Od roku 1923 wykłada jako profesor historię literatury litewskiej na uniwersytecie kowieńskim. Obecnie Putinas piastuje godność prezesa litewskiego Pen-Clubu.

Str. XXVII i 58.

MYKOLAS VAITKUS

(ur. 1883)

Urodził się w m. Gargzdai koło Kłajpedy. Ojciec nauczył go czytać po polsku, a on sam nauczył się po litewsku. W r. 1895 wstąpił do gimnazjum w Poładze a później do gimnazjum w Libawie. Poświęciwszy się stanowi duchownemu, ukończył seminarium duchowne w Kownie, a potem akademię duchowną w Petersburgu i studiował też w Insbruku. Obecnie jest kanonikiem.

Str. XXVIII i 78.

EDMUNDAS STEPONAITIS

(1892—1908)

Urodził się w powiecie szackim. Po ukończeniu szkoły miejskiej w Szakach, udał się Steponaitis do Kowna, gdzie pracował w drukarni jako zecer. Zmarł w 16 roku życia na zapalenie mózgu.

Rozmiałowany w rosyjskiej literaturze, nawiązał nawet korespondencję z Tolstojem. Wiersze zaczął pisać w roku 1906, mając lat 14. Młody i obiecujący a przedwcześnie zmarły talent.

Str. XXVIII i 82.

ZIGMAS GĖLĖ — GAIDAMAVIČIUS

(1894—1912)

Skończył gimnazjum w Szawlach i studiował na uniwersytecie kijowskim filologię. Ostra chroba mózgu spowodowała jego przedwczesną śmierć w 18 roku życia. Wiersze zaczął pisać będąc jeszcze

uczniem III. i IV. klasy gimnazjalnej. Zbiór jego poezyj wydało stowarzyszenie litewskie w Ameryce (Wienybie Lietuvininku), lecz młodemu pieśniarzowi nie było danem ujrzeć tego pierwszego i zarazem ostatniego wydania jego wierszy.

Str. XXVIII i 98.

PETRAS VAIČIŪNAS

(ur. 1890)

Urodził się w powiecie wołkowyskim. Do szkoły średniej uczył się w Wołkowysku; za akcję w ruchu rewolucyjnym w roku 1905 wydany został z gimnazjum i wykluczony ze wszystkich szkół w Rosji. Po ciężkich trudach uzyskał już po rewolucji maturę w Petersburgu. Próbował on różnych zawodów i studiów. W roku 1921, z chwilą utworzenia teatru dramatycznego w Kownie, został zaangażowany jako dramaturg.

Wajczunas obok szeregu utworów lirycznych napisał wiele utworów scenicznych, jak: „Maski“ (Zemietos kaukies), „Zmacony spokój“ (Sudrumstoji ramybie), „Patrioci“ (Patrijotaj), „Bożki i ludzie“ (Stabaj ir žmonies), „Zmartwychwstanie“ (Prisikielimas); „Grzeszny anioł (Nuodemingas angelas) i „Gra złota“ (Aukso žajsmas), tłumaczone na język łotewski i rosyjski; „Nowi ludzie“ (Naujeji žmonies), tłumaczone na język łotewski i czeski.

Oprócz polskich autorów przetłumaczył na język litewski z obcych literatur: Schillera „Intrygę i miłość“, „Zbójców“, „Don Carlo sa“; Hamsuna: „Zabawa życia“, „Zachodnia zorza“, a dalej tłumaczył Ibsena, Wilde'a, Reutta i t. d.

Str. XXIX i 56.

VINCAS KRĖVĖ — MICKEVIČIUS

(ur. 1884)

Urodził się w Mereczu. Nauki pobierał w Wilnie, Kazaniu i Kijowie, gdzie w r. 1908 złożył na tamt. uniwersytecie egzamin ze złoty tym medalem. Przez pewien czas studiował na uniwersytecie lwowskim. Stopień doktora filozofii uzyskał na uniwersytecie w Kownie. Do r. 1920 był nauczycielem gimnazjalnym w Baku. Tam był od roku 1919 do 1920 konsulem rządu litewskiego w Republice Azerbejdżańskiej na Kaukazie.

Pisał też początkowo po polsku.

Str. XXIX i 86.

FAUSTAS KIRŠA

(ur. 1891)

Pochodzi z Jeziorasów. Pracuje od szeregu lat w dziennikarstwie. Znany symbolista.

Str. XXX i 90.

BALYS SRUOGA

(ur. 1896)

Skończył szkołę średnią w Poniewieżu, potem studiował w instytucie leśnym i na uniwersytetach w Petersburgu, Moskwie i Monachium. Był nauczycielem gmnazjalnym w Wilnie, następnie redagował dziennik „Ltwa“ (Lietuva) i „Wiadomości Kłajpedzkie“ (Kłajpedos Žinios). W roku 1924 habilitował się na uniwersytecie kowieńskim, gdzie obecnie jest profesorem literatury rosyjskiej.

Str. XXX i 106.

KAZYS BINKIS

(ur. 1893)

Sam poeta pisząc i sobie w autobiografii: „Pierwszy raz urodziłem się w r. 1893 i, o ile pamiętam, ani razu dotychczas nie umarłem. Do lat 14-tu mieszkałem we wsi Gudule. Zbierałem grzyby, łowiłem ryby, nocami wyprowadzałem konie na pastwisko, a zimą łąpałem gile, szczygły i znowu je wypuszczałem, ponieważ w izbie czasami ginęły od zaczadzenia. Z chłopcami rzadko kiedy się wadziłem. Byłem stanowczo uprzedzony do pasania trzody chlewnej lub bydła, nie chcąc odbierać zwierzętom swobody. Nadzwyczaj lubiłem pożary i widma, których mnóstwo w swoim życiu widziałem. Przeto dotychczas wierzę w zjawy. We wsi miałem niezupełnie pochlebną o sobie opinię. Przezywano mnie „pędziwiatrem“, „wietrznikiem“. Takie przezwiska bardzo mi się podobały, bo zawsze zazdrościłem wicherom swobody“.

Uczęszczał do szkół i potem był na uniwersytecie w Berlinie, lecz, jak sam poeta pisze, ani jednego zakładu nie ukończył. Brał udział w różnych ruchach społecznych, zajmował najrozmaitsze stanowiska, aż w końcu poświęcił się niemal wyłącznie dziennikarstwu, gdzie znany jest ze swych wierszowanych felietonów pisanych pod pseudonimem „Alijoszius“.

Str. XXX i 135.

SALYS SEMERYS

(ur. 1898)

Urodził się w Wilkowyszkach. Chodził do gimnazjum tamże oraz w Wilnie i Woroneżu. Studia filologiczne odbywał na uniwersytecie kowieńskim. Od roku 1927 mieszka w Kłajpedzie, gdzie wykłada literaturę litewską w miejscowym gimnazjum.

W roku 1924 grupa poetycka „Cztery Wiatry” wydała pierwszy zbiór jego poezyj p. t.: „Granat w piersiach”.

Str. XXX i 125.

JUOZAS TYSLIAVA

(pisarz współczesny)

Urodził się w Suwalszczyźnie. Samouk o wykształceniu domowym. Był współpracownikiem futurystycznego czasopisma literackiego „Cztery Wiatry” (Keturi viejaj). Dużo podróżował po Europie zachodniej i północnej. W roku 1929 wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie był w ciągu kilku lat i redagował czasopismo miejscowych Litwinów „Jedność” (Vienybe).

Zaczął pisać bardzo młodo, pisze: poezje, felietony, nowelki.

Str. XXX i 74.

JULIUS JANONIS — VAIDILOS AINIS

(1896—1917)

Był synem włościanina. Uczęszczał do gimnazjum w Szawlach, później w Woroneżu. W r. 1916 przeniósł się do Petersburga gdzie zarzucono mu udział w ruchu rewolucyjnym, za co został skazany na więzienie, z którego podczas rewolucji w r. 1917 został zwolniony.

Zaczął pisać bardzo młodo. Nie ma w jego poezji ani radości, ani chęci życia. Ciężkie warunki życia przygniotły go doszczętnie. Zmarł tragicznie, śmiercią samobójczą, rzucając się pod pociąg w 21 roku życia. Pośmiertny zbiór jego wierszy wydano w Woroneżu w r. 1938.

Str. XXX i 147.

KAZYS BORUTA

(ur. 1905)

Pochodził z okolic Mariampola z rodziny włościańskiej. Uczęszczał w Mariampolu do gimnazjum i seminarium nauczycielskiego.

skąd został wydalony za udział w rozruchach pierwszomajowych.

W roku 1924 wstąpił poeta na uniwersytet w Kownie, gdzie studiował: literaturę, filologię i historię. Wydalony z uniwersytetu za swoje przekonania polityczne, wyjechał w r. 1926 z kraju i dalsze studia kontynuował na uniwersytecie w Wiedniu. Podróżował bardzo wiele. Powróciwszy w r. 1931 do Litwy, został znowu w r. 1933 ukarany za swoje przekonania polityczne więzieniem, skąd w roku 1935 został zwolniony na skutek amnestii.

Pisać zaczął od wczesnej młodości w różnych czasopiśmie lewicowych jak: „Jutrzenka“ (Auszrinie), „Burza“ (Audra), „Praca“ (Darbas).

Niezależnie od swej oryginalnej twórczości poetyckiej, o czym mówię na innym miejscu, zajmuje się Boruta ostatnio przekładami R. Rollanda, H. Ibsena, A. Tołstoja, W. Korolenki oraz amerykańskiej laureatki Nobla, Pearl S. Buck i innych.

Str. XXXI i 162.

ANTANAS VENCLOVA

(ur. 1906)

Syn wieśniaka. W r. 1925 ukończył gimnazjum mariampolskie, a w r. 1932 wydział filologiczny uniwersytetu kowieńskiego, gdzie studiował literaturę litewską, francuską i literatury słowiańskiej.

Był jednym z współpracowników czasopisma „Trzeci Front“ (Treczias Frontas). Wydał 2 tomy poezyj i tom nowel. Tłumaczył na język litewski: Dickensa, Maupassanta i innych. Napisał też studium o symbolizmie litewskim.

Str. XXXI i 167.

SALOMĖJA NERIS — BAČINSKAITE

(ur. 1904)

Po ukończeniu gimnazjum w Wilkowyszkach, studiowała na uniwersytecie w Kownie. Była przez kilka lat nauczycielką w gimnazjum w Łódziejach i Poniewieżu. Wiele podróżowała: po Niemczech, Austrii, Szwajcarii, Włoszech i Szwecji. Po zamążpójściu za rzeźbiarza Bernarda Bugas'a, wyjechała wraz z nim na studia do Paryża. Przez pewien czas mieszkając w Kownie zajmowała się przekładami z obcych literatów i była współpracowniczką pisma „Trzeci Front“. Laureatka literackiej nagrody państwowej za r. 1938.

Str. XXXI i 174.

KAZYS INČIŪRA

(ur. 1906)

Urodził się w powiecie poniewieskim. W Poniewieżu skończył gimnazjum. Po studiach filologicznych na uniwersytecie Witolda Wielkiego w Kownie i ukończeniu Szkoły Dramatycznej, występował on przez pewien czas jako artysta dramatyczny w teatrze kowieńskim. W 1934 roku został zaangażowany na spekerą do radia kowieńskiego. Pracował też w dziennikarstwie.

W r. 1928 wydał pierwszy zbiór poezji p. t. „Z młodością“ (Su jaunyste), potem zbiór nowel p. t.: „Fatima wróżka“, następnie utwory sceniczne „Córka ochotnika“, „Plątanina“ (Pajniava), powieść „Dumałem nad jeziorkiem“ (Ant ežerelio dumojau) oraz szereg wierszy i nowel. W teatrze grane były jego utwory: „Vincas Kudirka“ i „Ojczyzna“ (Gimtoji žemie). Oprócz tego napisał libretta do pierwszych litewskich oper, wystawianych w Teatrze Państwowym w Kownie, jak „Grażyna“ Karnaviczusa (według Adama Mickiewicza) i „Trzy talizmany“ (Trys talismanai) Raczunasa. Do tekstów Inczury skomponowali muzykę St. Szimkus („Na cześć bojowników o niepodległość Litwy“) i K. Griauzdie („Młoda Litwa“). W r. 1936 wydał „Podania litewskie“ (Letuvos kraszto podavimaj).

Str. XXXI i 190.

JONAS KOSSU — ALEKSANDRAVIČIUS

(ur. 1904)

Pochodził z rodziny rzemieślniczej. Po przejściu szkoły ludowej, porzucił rzemiosło, któremu miał się poświęcić, odbył studia gimnazjalne i uniwersyteckie w Kownie, gdzie ukończył wydział filozoficzny.

Dotychczasowa działalność jego poetycka ogranicza się do wydania dwu tomików wierszy.

SKOROWIDZ AUTORŌW LITEWSKICH

- Abraham z Kulwy (Culviensis) p. Kulvietis.
Aleknavičius Kajetonas XXI, 20.
Aleksandravičius Jonas (Aleksandrowicz Jan) p. Kosu XXXI, 190, 265.
Alijošius p. Binkis.
Augustaitytė — Vaičiūnienė I. p. Vaičiūnienė.
Ažukalnis — Zagurskis Valerijonas XXII.
Babickis (Babickas) Petras XXXI, 207.
Baczyńska — Bugasowa Salomea p. Bačinskaitė.
Bačinskaitė — Neris Salomėja XXXI, 167, 262.
Baranauskas Antanas XXII, 22, 255.
Baranowski Antoni p. Baranauskas.
Baronas Antonas p. Baranauskas.
Beniuševičiūtė — Žimantienė Julija p. Žimantienė.
Biliūnas Jonas (Jan) XXIV.
Binkis Kazys (Kazimierz) XX X, 106, 260.
Bitė p. Petkevičaitė.
Boruta Kazys (Kazimierz) XXX, 147, 261.
Brazdžionis Bernardas XXXI, 194.
Bretkūnas Jonas (Bretkun Jan) XIX.
Buivydaitė Bronė 122.
Bujwidówna Bronisława p. Buivydaitė.
Butkus Juozas (Józef) XXX, 114.
Butkų Juzė p. Butkus.
Cvirka Petras (Piotr) XXXI.
Czurlonisowa Zofia p. Čiurlionienė.
Čiurlionienė Kymantaitė Sofija XXVIII.

Dambrauskas Adomas p. Jakštas.
 Daukantas Simanas XXI.
 Daukša Mikalojus (Dauksza Mikołaj) XX.
 Dąbrowski Adam p. Jakštas.
 Dičpetris Aleksys 223.
 Donalitius Chrystian p. Duonelaitis.
 Dovydėnas Liudas (Ludwik) XXXI.
 Dowkont Szymon p. Daukantas.
 Drozdowski Antoni p. Strazdas.
 Dulkė Klemensas 224.
 Duonelaitis Kristijonas XX, 11, 253.
 Gaidamavičius — Gėlė Zigmas XXVIII, 82, 258.
 Gajdamowicz Zygmunt p. Gaidamavičius.
 Genys Pranas (Franciszek) 221.
 Gėlė Zigmas p. Gaidamavičius.
 Giedraitis Jozepas Arnulfas XXI.
 Giedraitis Merkelis (Melchior) XIX.
 Giedroyć Józef Arnold p. Gedraitis.
 Giedroyć Melchior p. Giedraitis.
 Gimžauskas Silvestras XXII.
 Gimzewski Sylwester p. Gimžauskas.
 Gira Liudas (Ludwik) XXVI, 47, 257.
 Gira Syrijos Vytautas (Witold) XXXI, 196.
 Graičiūnas Jonas (Jan) XXXI, 210.
 Grušas Juozas (Józef) XXXI.
 Gustaitis Motiejus (Maciej) XXVI, 41, 257.
 Herbaczewski Józef Albin p. Herbačiauskas.
 Herbaczewski Szczęsny XXVI.
 Herbačiauskas Juozas Albinas XXVI.
 Inčiūra Kazys (Inczura Kazimierz) XXXI, 174, 263.
 Ivanaskaitė — Pšibilauskienė Sofija p. Pšibilauskienė.
 Ivinskis Laurynas (Iwiński Wawrzyniec) XXI.
 Jakštas Adomas XXIII, 40.
 Jakubėnas Alfonsas XXXI, 158.
 Jakubėnas Kazys (Kazimierz) XXXI, 155.
 Janonis Julius XXX, 74, 261.

Jasiūnas Antanas (Antoni) 232.
 Juodasis — Lastas Adomas 83.
 Jūrgelionis Kleopas 72.
 Jurkūnas Ignas (Ignacy) XXIX.
 Kalėdų Kaukė p. Jurgelionis.
 Karuža Petras (Piotr) 183.
 Kėkštas Mačys Jonas 40.
 Kirša Faustas (Kirsza Faustyn) XXIX, 86, 260.
 Kossu — Aleksandravičius Jonas XXXI, 190, 263.
 Krėvė — Mickevičius Vincas XXIX, 56, 259.
 Kruminas Juozas (Józef) 243.
 Kudirka Vincas XXII, 25, 255.
 Kudyрко Wincenty p. Kudirka
 Kulvietis Abromas XIX.
 Lastas Adomas p. Juodasis.
 Lazdynų Pelėda p. Ivanauskaitė.
 Linkevičius Mykolas 216.
 Linkiewicz Michał p. Linkevičius.
 Lukauskaitė H. 226.
 Łukowska H. p. Lukauskaitė.
 Maczulewicz Jan p. Maironis.
 Maironis — Mačiulis Jonas XXIII, 31, 256.
 Mažvydas Vaitkūnas Martynas XIX.
 Mažvydas Vilentas Bartlomėjus XIX.
 Miciute Ona (Anna) 249.
 Mickiewicz Wincenty p. Krėvė.
 Mikuckis Juozas (Józef) 61.
 Minius Jonas (Jan) 240.
 Miškinis Antanas (Antoni) XXXI, 184.
 Montvila Vytautas XXXI, 153.
 Montwił Witold p. Montvila.
 Moźwid Wajtkun Marcin p. Mažvydas Vaitkūnas.
 Moźwid Wilent Bartłomiej p. Mažvydas Vilentas.
 Mykolaitis — Putinas Vincas XXVII, 62, 258.
 Nėris Salomėja p. Bačinskaitė.
 Nezabitauskas Kajetonas XVI.

Niezabitowski Kajetan p. Nezabitauskas.
 Olechnowicz Kajetan p. Aleknavičius.
 Oriņtāitē Petrē (Petronela) 203.
 Paszkiewicz Dionizy p. Poška.
 Pečkauskaitē Marija XXIV.
 Petkevičaitē Gabrielē XXIV.
 Petkevičius Merkelis (Melchior) XIX.
 Petrenas XXX.
 Pieczkowska Maria p. Pečkauskaitē.
 Pietaris Vincas (Wincenty) XXIV.
 Pietkiewicz Melchior p. Petkevičius.
 Pietkiewiczówna Gabriela p. Petkevičaitē.
 Poška Dionizas XVI, XX, 13, 254.
 Przybylewska z Iwanowskich Zofia p. Ivanauskaitē.
 Pšibilauskienē — Ivanauskaitē Sofija XXIV.
 Pumpuras 95.
 Pumputis Danas (Daniel) 247.
 Putinas p. Mykolaitis.
 Radauskas Henrykas 235.
 Rainis Juozas (Józef) 119.
 Rapagelionis Stanislovas XIX.
 Rapajłowicz Stanisław (Rapagellonus) p. Rapagelionis.
 Rēza Jonas (Jan) XIX.
 Rēza Liudvikas (Ludwik) XXI, XXXIV.
 Rimydis Antanas XXX, 138.
 Rudowski Henryk p. Radauskas.
 Rutkauskas Benediktas 200.
 Rutkowski Benedykt p. Rutkauskas.
 Santvaras Stasys (Stanisław) 131.
 Savickis Jūrgis (Jerzy) XXXI.
 Sidabraitē Alē 180.
 Siugždinis Vacys (Wacław) 238.
 Sķabēika Leonas 165.
 Sruoga Balys (Bolesław) XXX, 90, 260.
 Stanevičius Simanas XVI, XXI, XXXIV, 19.
 Staniewicz Emeryk XXXIV.

Staniewicz Szymon p. Stanevičius.
 Steponaitis Edmundas XXVIII, 78, 258.
 Storostas Vilhelmas p. Vydūnas.
 Strazdas — Strazdelis Antanas XX, 15, 254.
 Suchockis Vladas 160.
 Symonaitytė Jieva XXXI.
 Symonajtisówna Ewa p. Symonaitytė.
 Szyrwid Konstancy p. Širvydas.
 Šatrijos Ragana p. Pečkauskaitė.
 Šeinius p. Jurkunas.
 Šemerys Salys XXX, 135, 261.
 Šimkus Jonas (Szymkus Jan) 188.
 Širvydas Konstantinas XX.
 Tartulis Petrėnas XXXI.
 Tilvytis Teofilis 142.
 Tulauskaitė Gražina 202.
 Tułowska Grażyna p. Tulauskaitė.
 Tumas — Vaižgantas Juozas (Józef) XXIX.
 Tysliava Juozas (Józef) XXX, 125, 261.
 Tyrų Duktė p. Buivydaitė.
 Urbonas Jonas (Jan) 230.
 Vaičaitis Pranas (Franciszek) XXIII, 29.
 Vaičiūnas Petras (Piotr) XXVIII, 98, 259.
 Vaičiulaitis Antanas (Antoni) XXXI.
 Vaičiūnienė — Augustaitytė I. 178.
 Vaidilos Ainis p. Janonis.
 Vaitkus Mykolas (Michał) XXVII, 58, 258.
 Vaižgantas Juozas (Józef) p. Tumas.
 Valančius Motiejus XXI.
 Valiūnas Silvestras XXI.
 Venclova Antanas (Antoni) XXXI, 162, 262.
 Vienožindys — Vienožinskis Antanas XXII, 24.
 Vienuolis p. Žukauskas.
 Vydūnas XXIII.
 Wieniożyński Antoni p. Vienožindys.
 Wolenowicz Sylwester p. Valiūnas.

Wołonczewski Maciej p. Valančius.
Zagórski Walerian p. Ažukalnis.
Zobarskas Steponas (Stefan) 225.
Zupka Kazys (Kazimierz) 219.
Žemaitė p. Žimantienė.
Žengė p. Žlabis.
Žimantienė — Beniuševičiutė Julija XXIV.
Žirgulis Kazys (Kazimierz) 245.
Žlabis — Žengė Juozas (Józef) 144.
Žukauskas — Vienuolis Antanas XXVIII.
Žukowski Antoni p. Žukauskas.
Żymontowa z Benuszewiczów Julia p. Žimontenė.

S P I S R Z E C Z Y

	Str.
PRZEDMOWA	V
SŁOWO WSTĘPNE	IX
SŁOWO O ROZWOJU LITERATURY LITEWSKIEJ	XIII
ANTOLOGIA POEZJI LITEWSKIEJ	1
Dajna I	3
Dajna II	3
Dajna III	4
Dajna IV	5
Dajna V	5
Dajna VI	7
Dajna VII	8
Dajna VIII	9
Dajna IX	10
Kristijonas Duonelaitis:	
Zimowe troski	11
Jesień	12
Dionizas Poška:	
Chłop żmudzki	13
Antanas Strazdas:	
Dajna sieroty (wiersz bez tytułu)	15
I przyleciał kruk czarny	17
Simanas Stanevičius:	
Koń i niedźwiedź	19
Kajetonas Aleknavičius:	
Czapka Kuby	20
Antanas Baranauskas:	
Lasek Oniksztyński	22
Antanas Vienožinskis:	
Wszystko mi jedno	24

	Str.
Vincas Kudirka:	
Hymn narodowy litewski	25
Serce matki	25
Nie ten człek wielki...	26
Pragnienie	27
Jonas Mačys Kėkštās:	
W bezbrzeżach oceanu (wiersz bez tytułu)	28
Pranas Vaičaitis:	
Pomnik	29
Chciałem diamenty wyrwać tej ziemi...	30
Opuszczają mię siły...	30
Jonas Mačiulis-Maironis:	
Jeżeli kiedy pęta opadną...	31
Jurata i Kastitis	32
Mogily bohaterów	35
Nad Jeziorem Czterech Kantonów	37
Po śmierci poety	39
Adomas Dambrauskas-Jakštās:	
Morskie fale	40
Motiejus Gustaitis:	
Marzyciel	41
Z młodych serc	42
Dzwon zatopiony	43
Z raudy	45
Liudas Gira:	
Wilia (Triolety)	47
Trzeba młodości	49
Poranek	49
Stara pieśń	50
Morze	51
Trzy jesiony	52
Moje sny	54
Vincas Krėvė - Mickevičius:	
Wiersz bez tytułu (Na ojczulka dworze...)	56
Mykolas Vaitkus:	
Słowo i dusza	58
Błyszczący pyłek	59
Triolety	59
Majowy śnieg	60

	Str.
Juozas Mikuckis:	
Ery	61
Vincas Mykolaitis - Putinas:	
Modlitwa	62
Litwa	63
W jesienną noc	64
Ze złoconej ramy	65
Na szczycie	69
Z góry	69
Zgasły światła...	70
Pieśń rybaków	71
Kleopas Jurgelionis - Kalėdų Kaukė:	
Wiersz bez tytułu (Pusto...)	72
Morze i dziewczęta	73
Julius Janonis - Vaidilos Ainis:	
Czy widziałeś?	74
Wojsko pracy	75
Nowe światy	76
Nie płaczcie nad mogiłą...	77
Edmundas Steponaitis:	
Do poety	78
Dwa obrazy	79
Zorza Litwy	80
Gdybym w swej piersi wolę zolbrzymił...	81
Zigmas Gaidamavičius - Zigmas Gėlė:	
Krzyż	82
Adomas Juodasis - Lastas:	
Harmonia snów	83
Babcia	84
Oczekiwanie	85
Faustas Kirša:	
Nocą	86
Jasno... słonecznie...	87
Śpiew ojczyzny	88
Wschód słońca na morzu	89
Balys Sruoga:	
Więzienie	90
Pieśń o zachodzącym słońcu	91
Szlakami bogów	92
Kosiarz	94

	Str.
Pumpuras:	
Obudzony wajdelota	95
Petras Vaičiūnas:	
Wiersz bez tytułu (Kto tęsknotą na ziemi...)	98
Królewnie wschodu	98
Poeta	99
Przed podróżą	100
Zaproszenie	101
Preludium	102
Słoneczno-zielona zabawa	103
Spiesz się!	105
Kazys Binkis:	
Pędziwiatr	106
Ściany mojej komnaty	107
Triolety	108
Jedwabio = skrzydłne chmurki	110
Wiersz bez tytułu (Patrzą z podziwem me oczy...)	111
Botanika	112
Za biurkiem usadowili się rządem...	113
Juozas Butkus - Butkų Juzė:	
Poecie	114
Wiersz bez tytułu (Przeklinam was lata...)	115
Wiersz bez tytułu (Dzień cudów...)	115
Wiersz bez tytułu (Temu światu na powiekach...)	116
Wiersz bez tytułu (Cały świat płacze...)	116
Wiersz bez tytułu (A dusza twoja...)	117
Wiersz bez tytułu (A moja dusza...)	117
Pieśń kosiarza	118
Ach! Gdybym mógł się ukryć...	118
Juozas Rainis:	
Sonata morza	119
Mój dom	120
Nadzieja	121
Bronė Buividaitė - Turų Duktė:	
Słowo poety	122
Wiersz bez tytułu (Matka, grabiąc siano...)	123
Wiersz bez tytułu (Swoim śpiewem radosnym...)	124
Juozas Tysliava:	
Mój rumak	125
Mój klejnot	126
Elli	127

	Str.
Zycie we śnie	128
Kwiatniki i błękity	129
Spojrzeniem zaczaruję...	130
Pieśń o mleku	130
Statys Santvaras:	
Ptak mórza	131
Człowiek	132
W moim mrocznym pokoju...	133
Drewniana skrzynia	134
Salys Šemerys:	
Balet Bałtyku (wiersz bez tytułu)	135
Po miejsku	137
Antanas Rimydis:	
Twórczość	138
Stacja kolejowa	139
Głód	140
Nie będę pytał...	141
Teofilis Tilvytis:	
Spiew morza o wolności	142
Juozas Žlabis - Žengė:	
Wiosenna gramatyka	144
Kazys Boruta:	
Litwa Krzyżów	147
Chrystus za kratami	148
Bajka	148
Noc ściemniała jeszcze gniewniej..	149
Burza i ukochana	150
Przed więzieniem	151
Obce niebo	152
Vytautas Montvila:	
To samo ciemne więzienie...	153
Sto wiosen (wiersz bez tytułu)	154
Kazys Jakubėnas:	
List	155
Mur	156
Czerwony śnieg	157
Alfonsas Jakubėnas:	
Idea	158
Jaśminy	159

	Str.
Vladas Suchockis:	
Śpiew robota	160
Uściśnij mię, matuś miła!	161
Antanas Venclowa:	
Credo	162
Z cyklu „Czerwoni jeźdźcy“	163
Ekspres	164
Leonas Skabeika:	
Zycie	165
Pod skrzydłami czarnego anioła	166
Salomėja Bačinskaitė - Salomėja Neris:	
Biały poemat	167
Spalcie mnie!	168
W płonące ognisko...	169
Sokoły	170
Tak ukochana...	170
Powracam...	171
Osiwił sad...	172
Dzwoń, wolności lato	173
Kazys Inčiūra:	
Już wieczór zabłądził w doliny..	174
Baśń sadu	174
Człowiekowi	175
Dwaj królewicze	176
Co wieczór...	177
I. Augustaitytė - Vaičiūnienė:	
Nie opuszczę ojczyzny	178
Do kwiatu szczęścia	179
Alė Sidabraitė::	
Jedziemy na grzyby	180
Moja pieśń	180
Twoje oczy	181
O nędzarzu	182
Petras Karuža:	
Na błękitnych wodach Nilu...	183
Ziemia obiecana	183
Antanas Miškinis:	
Szczęście w jesiennym palcie	184
Wieczór jesienny	185

	Str.
Jak wiosna mię wołała...	186
Romans	187
Jonas Šimkus:	
Program	188
W kancelarii	189
Jonas Kossu - Aleksandravičius:	
Ach, jak mi dobrze!	190
Płatek śniegu	191
Imago mortis	193
Bernardas Brazdžionis:	
Ognisty słup	194
O, nie patrz, matko, przez okno!	195
Ziemska radość	195
Vytautas Sirijos Gira:	
Rekord	196
Płatek śniegu	197
Łyżka wody	198
Jesień	199
Benediktas Rutkauskas:	
O Boże!	200
Zbudzone życie	200
Grażina Tulauskaitė:	
Utopiona gwiazda	202
Przerwany sen	202
Petrė Orintaitė:	
Wzory mej tkaniny	203
Pieśni cór ziemi	205
Petras Babickis (Babickas):	
Tak bym pragnął...	207
Co dzień	208
W noc wigilijną	209
Jonas Graičiūnas:	
Osioł	210
Życie jak płatki śniegu	211
Fata Morgana	214
Uleciały z żurawiami...	215
Mykolas Linkevičius:	
Nadchodzi Bóg..	216
Jesień	217
Modlitwa na polu	218

	Str.
Kazys Zupka:	
Moja mała ballada	219
Bolesny interwał	220
Pranas Genys:	
Ziemia żmudzka	221
Wielka godzina	222
Aleksys Dičpetris:	
Ach, szoferze, szoferze!	223
Klemensas Dulkā:	
Moja radość	224
Steponas Zobarskas:	
Panicz	225
H. Lukauskaitė:	
Litwa	226
Gazeciarz	227
Przyjaciele	228
O sobie	229
Jonas Urbonas:	
Moja droga	230
Bogini wojny	231
Antanas Jasiūnas:	
Jodła tancerka	232
Pokusy	232
Człowiek	234
Henrikas Radauskas:	
Bajka	235
Zwierzę	236
Smutek	237
Vacys Siugždinis:	
Człowiek	238
Miłość przyrody	239
Jonas Minius:	
Tragedia miotły	240
Mary zaułków	241
Juozas Kruminas:	
Modre oczy	243
Nieugnie nas burza	244
Kazys Žirgulis:	
Strzaskana relikwia	245
Nasz Bóg jest wielki!	246

Danas Pumputis:	
Więzienie	247
W parku	248
Korektura	248
Ona Miciute:	
Wiano	249
PRZYPISY BIOGRAFICZNE	250
SKOROWIDZ AUTORÓW LITEWSKICH	265
SPIS RZECZY	271
SPROSTOWANIE DOSTRZEŻONYCH OMYŁEK I BRAKÓW	280